JEROME DAVID SALINGER

BUSZUJĄCY W ZBOŻU

(Przełożyła Maria Skibniewska)

1.

Jeżeli rzeczywiście gotowi jesteście posłuchać tej historii, to pewnie najpierw chcielibyście się dowiedzieć, gdzie się urodziłem, jak spędziłem zasmarkane dzieciństwo, czym się zajmowali moi rodzice, co porabiali, zanim przyszedłem na świat, no i wszystkie tym podobne bzdury w guście „Dawida Copperfielda", ale ja wcale nie mam ochoty wdawać się w takie gadki, od razu wolę was szczerze uprzedzić. Po pierwsze nudzą mnie te kawałki, a po drugie moich staruszków krew by chyba zalała tam i z powrotem, gdybym coś napisał o ich sprawach osobistych. Okropnie są drażliwi na tym punkcie, zwłaszcza ojciec. Bardzo mili, złego słowa o nich nie powiem, ale drażliwi jak diabli. Zresztą nie zamierzam pisać całej historii swojego życia, nic w tym rodzaju. Chcę tylko opowiedzieć wariacką przygodę, która mi, się zdarzyła około Bożego Narodzenia ostatniej zimy, zanim się tak wykończyłem, że musiałem tu przyjechać na odpoczynek. Powtórzę to, co opowiedziałem D.B., a D.B. - to, rozumie się, mój brat. Mieszka w Hollywood. Niedaleko ma stamtąd do tej mojej dziury, więc przyjeżdża prawie na każdy weekend. W przyszłym miesiącu pewnie będę mógł wrócić do domu, D.B. mnie odwiezie. Ma właśnie nowego jaguara. Fajna mała maszyna, angielska, dwieście mil kropi jak nic na godzinę. Kosztowała blisko cztery patyki. D. B. Ma teraz forsy jak lodu. Dawniej było z nim gorzej. Póki siedział w domu, pisał prawdziwe książki. Wydał pierwszorzędny tom opowiadań „Tajemnica złotej rybki", możeście słyszeli. Najlepsza była właśnie „Tajemnica złotej rybki". O takim pętaku, który nie pozwalał nikomu nawet patrzeć na swoją złotą rybkę, bo ją kupił za własne pieniądze. Cholernie mi się podobało. Ale teraz D. B. siedzi w Hollywood i zaprzedał się filmowcom. Niczego na świecie tak nie nienawidzę, jak kina. Słyszeć o nim nie chcę.

Zacznę od tego dnia, kiedy wyjechałem z „Pencey". „Pencey" to prywatna szkoła średnia w Agerstown, w Pensylwanii. Słyszeliście chyba o niej. A już co najmniej musieliście zauważyć reklamę. Ogłasza się w stu ilustrowanych pismach, zawsze tym samym obrazkiem: chłopak konno skacze przez płotek. Jakby w „Pencey" nic innego człowiek nie robił, tylko grał w polo od rana do nocy. A ja tam przez cały czas nawet szkapy z bliska nie widziałem. Pod obrazkiem jest taki napis: „Od 1888 roku kształtujemy charaktery i oświecamy umysły, wychowując chłopców na wspaniałych młodzieńców".

Wszystko to bujda. Ani w „Pencey", ani w żadnej innej szkole nie kształtują charakterów. Nie spotkałem też wspaniałych młodzieńców z oświeconym umysłem itd. No, może dwóch. Najwyżej! Ale ci, zdaje się, już tacy do „Pencey" przyjechali.

Wracając do rzeczy: była tego dnia sobota i mecz piłki nożnej z drużyną z Saxon Hali. Wielki szum się robiło koło tego meczu, bo to ostatnie spotkanie w roku; taki był nastrój, że jakby ukochana szkoła nie wygrała, to chyba sobie w łeb palnąć z rozpaczy. Jakoś o trzeciej po południu wdrapałem się cholernie wysoko na Thomsen Hill, gdzie stoi rozwalona armata z czasów Wojny Rewolucyjnej. Stamtąd masz jak na patelni całe boisko, obie drużyny ganiające po polu. Głównej trybuny nie widać za dobrze, ale słyszałem wrzask; po stronie „Pencey" publika ryczała okropnie, bo tam siedziała cała nasza szkoła, mnie jednego tylko brakowało, a po stronie Saxon Hali ledwie kto miauknął, bo drużyna gości, jak zwykle, mało swoich kibiców ściągnęła.

Babek nigdy dużo na meczach nie bywa. Tylko seniorom wolno swoje dziewczęta przyprowadzać. Okropna ta nasza buda pod każdym względem. Lubię od czasu do czasu wybrać się gdzieś, gdzie można popatrzeć na dziewczęta, nawet jeżeli drapią się albo nosy wycierają, albo zwyczajnie śmieją się czy gadają między sobą. Selma Thurmer, córka naszego dyrektora, dość często pokazywała się na zawodach sportowych, ale Selma nie należała do babek, za którymi się szaleje. Zresztą bardzo była sympatyczna, kiedyś jadąc z Agerstown siedziałem przy niej w autobusie i trochę z sobą rozmawialiśmy. Dość ją lubiłem. Miała za duży nos, paznokcie obgryzione aż do krwi i przypinała sobie sztuczne piersi sterczące na pół mili, ale jakoś człowiekowi było jej żal. Co mi się w niej podobało, to że nie przechwalała się, jaki z jej ojca wielki człowiek. Pewnie sama rozumiała, że jej stary to obłudnik i fajtłapa.

Znalazłem się na szczycie Thomsen Hill zamiast na dole, na boisku, dlatego że właśnie wróciłem dopiero co z Nowego Jorku z drużyną szermierzy. Na swoje nieszczęście byłem kapitanem tej drużyny. Wyszła z tego wielka heca. Pojechaliśmy rankiem do Nowego Jorku na spotkanie z reprezentacją szkoły McBurneya. Tylko że wcale nie doszło do spotkania. Zostawiłem florety, cały sprzęt, wszystko - w kolei podziemnej. Nie moja wina. Wciąż musiałem patrzeć na plan, żeby nie przegapić stacji, na której mieliśmy wysiąść. No i wróciliśmy do „Pencey" około pół do trzeciej zamiast wieczorem na kolację. Przez całą powrotną podróż moja drużyna nie odzywała się do mnie. Nawet się nieźle ubawiłem.

Poza tym nie poszedłem na boisko z drugiej jeszcze przyczyny: chciałem pożegnać się z nauczycielem historii, starym Spencerem. Zachorował na grypę, więc myślałem, że już go nie zobaczę przed feriami gwiazdkowymi. Ale on napisał do mnie, żebym przed wyjazdem do domu koniecznie do niego zajrzał. Wiedział, że po świętach już nie wrócę do „Pencey".

Zapomniałem o tym napisać: wylali mnie z budy. Miałem już nie wracać po świętach, bo zawaliłem cztery przedmioty, nie pracowałem i w ogóle. Kilka razy mnie ostrzegali i namawiali, żebym się wziął do nauki, zwłaszcza przed egzaminami międzysemestralnymi,

kiedy rodzice przyjechali na rozmowę ze starym Thurmerem - aleja nie słuchałem. W końcu mnie wylali. Często zresztą wylewają stąd chłopców. W „Pencey” pilnują wysokiego poziomu szkoły. To fakt.

Słowem przyszedł grudzień, a zimno było, szczególnie na tej głupiej górze, jak wszyscy diabli. Miałem na sobie płaszcz wiosenny, ręce gołe. Na tydzień przedtem ktoś mi ukradł z mego pokoju wielbłądzie palto, a z nim razem rękawiczki na futrze, bo były w kieszeni. W „Pencey” roi się od złodziei. Chłopcy przeważnie pochodzą z bogatych rodzin, a mimo to wciąż się trafiają kradzieże. Im droższa szkoła, tym więcej złodziei, słowo daję! Stałem więc koło tej rozwalonej armaty, patrzałem z góry na mecz i portkami trząsłem z zimna. Właściwie to nawet nie bardzo patrzałem na mecz. Naprawdę zatrzymałem się tam dlatego, że chciałem poczuć, że się żegnam z „Pencey”. Bo już nieraz wyjeżdżałem ze szkół i różnych miejscowości, a wcale nie czułem, że się z nimi rozstaję. Nie cierpię tego. Wszystko mi jedno, niech pożegnanie będzie smutne albo nieprzyjazne, ale niech wiem, że się żegnam. Bez tego człowiekowi jakoś głupio.

Udało mi się tym razem. Nagle przypomniałem sobie coś, co pomogło mi odczuć, że się stąd wynoszę. Stanął mi raptem w pamięci pewien dzień, jakoś w październiku, kiedy z Robertem Tichenerem i Paulem Campbellem kopaliśmy piłkę na placu przed budynkiem szkolnym. Ci dwaj koledzy to sympatyczne chłopaki, zwłaszcza Tichener. Do obiadu zostało niewiele czasu, ciemno się już robiło, ale my bawiliśmy się dalej. Wreszcie tak już było ciemno, że nie widzieliśmy prawie piłki, ale nie mieliśmy wcale ochoty przerwać gry, W końcu musieliśmy dać spokój. Nauczyciel, który wykłada biologię, pan Zambezi, wytknął głowę z okna którejś klasy i kazał nam wracać na kwaterę, żeby się przygotować do obiadu. Jeśli uda mi się w porę przypomnieć sobie coś w tym rodzaju, mam, czego mi potrzeba: pożegnanie, jak się należy; przynajmniej zwykle to wystarcza. Skoro więc to załatwiłem, zrobiłem w tył zwrot i puściłem się biegiem w dół na drugą stronę pagórka, ku domowi Spencera. Spencer nie mieszkał w obrębie osiedla szkolnego, a przy Anthony Wayne Avenue.

Biegłem cały czas aż do głównej bramy, tam przystanąłem na chwilę, żeby odsapnąć. Trzeba wam wiedzieć, że mam dech trochę krótki. Po pierwsze - dużo palę, a raczej paliłem. Tu kazali mi rzucić palenie. Po drugie urosłem w ciągu przeszłego roku o sześć i pół cala. Tym sposobem właśnie złapałem gruźlicę i musiałem tu przyjechać na te wszystkie cholerne badania i tym podobne przyjemności. W gruncie rzeczy jestem mniej więcej zdrowy.

No, więc kiedy odzyskałem dech, przebiegłem przez drogę nr 204. Gołoledź była diabelna i omal się nie wywaliłem. Sam nie wiem dlaczego tak się spieszyłem, po prostu miałem taką fantazję. Ledwie się znalazłem za drogą, wydało mi się, jak gdybym zniknął.

Było to już takie zwariowane popołudnie, ziąb okropny, słońca ani na lekarstwo, a ilekroć człowiek przeciął jakąś drogę, miał wrażenie, że znika.

Zadzwoniłem do drzwi starego Spencera jak na pożar. Przemarzłem do szpiku kości. Uszy mnie bolały, palce zgrabiały, że ledwie mogłem nimi poruszać. „Żywo, żywo! - powiedziałem niemal na głos. - Rusz się tam jeden z drugim i otwieraj!” W końcu otworzyła mi stara pani Spencer. Nie trzymali służącej, zawsze sami otwierali. Spencerowie nie mieli za wiele forsy.

- Holden! - zawołała pani Spencer. - Jak to miło, że przyszedłeś! Chodź, kochaneczku. Zmarzłeś, co?

Miałem wrażenie, że szczerze się ucieszyła. Lubiła mnie. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Wskoczyłem migiem.

- Dzień dobry pani - powiedziałem. - Jak się czuje pan Spencer?

- Dawaj ten płaszcz, kochanku - odparła. Wcale nie dosłyszała pytania o zdrowie pana Spencera. Trochę była przygłucha.

Powiesiła mój płaszcz w schowku, a ja tymczasem przygładziłem ręką włosy. Strzygę się na jeża, więc grzebienia i szczotki rzadko mi potrzeba.

- Co u pani słychać? - spytałem tym razem głośniej, żeby usłyszała.

- Wszystko dobrze - odpowiedziała zamykając szafę. - A u ciebie?

Z tonu poznałem, że stary Spencer musiał jej powiedzieć o wylaniu mnie ze szkoły.

- W porządku - odparłem. - Jak się czuje pan Spencer? Chyba już minęła ta grypa?

- Czy minęła! Ach, Holdenie, mój mąż zachowuje się jak skończony... no, jak nie wiem co... Jest w swoim pokoju, kochanku. Możesz tam wejść.

2.

Każde z nich miało własny pokój. Oboje mieli po siedemdziesiątce albo i więcej, i mimo to umieli się cieszyć z różnych rzeczy, oczywiście trochę idiotycznie. To co napisałem, brzmi podle, ale nie chciałem być złośliwy. Chciałem tylko wyrazić, że bardzo dużo myślałem o starym Spencerze, a jeśli człowiek myślał o nim za dużo - zaczynał się dziwić, po co on, u licha, jeszcze żyje. Był strasznie zgarbiony i ledwie się w skórze trzymał, a w klasie, jeżeli mu przy tablicy upadła kreda, któryś chłopak z pierwszego rzędu musiał się zrywać, podnosić i podawać mu ją do ręki. Mnie się to wydawało okropne. Ale jeżeli człowiek myślał o nim tyle, ile trzeba, nie za dużo, wtedy jakoś się rozumiało, że staremu Spencerowi nie jest źle na świecie. Na przykład pewnej niedzieli, kiedy z paru kolegami byłem u niego, bo zaprosił nas na czekoladę, pokazywał nam stary, podniszczony kilim indiański, który wspólnie z żoną kupił od jakiegoś Navajo w rezerwacie Yellowstone. Widać było, że Spencer ma nieziemską frajdę z tego nabytku. No i o to mi właśnie chodzi: że człowiek stary jak świat umie się cieszyć z kupionego kilimu.

Drzwi były otwarte, ale i tak zapukałem, przez grzeczność. Od razu go zobaczyłem. Siedział w wielkim, obitym skórą fotelu, cały zawinięty w ten swój indiański kilim, o którym wspomniałem. Podniósł głowę.

- Kto tam? - krzyknął. - Caulfieid? Wejdź, wejdź, chłopcze!

Poza lekcjami zawsze wrzeszczał. Czasem to było nawet dość denerwujące.

Ledwie wszedłem, prawie pożałowałem, że się z tą wizytą wybrałem. Spencer czytał „Atlantic Monthly”, obstawiony dokoła całą baterią butelek i proszków, a pokój cuchnął lekarstwem na katar - „kropelkami Vicksa” - które się zapuszcza do nosa; to było trochę przygnębiające. W ogóle nie przepadam za chorymi. A tutaj przygnębił mnie tym bardziej strój Spencera, bo staruszek miał na sobie okropnie smutny, zniszczony płaszcz kąpielowy, chyba jeszcze sprzed potopu. W ogóle nie lubię widoku starych ludzi w szlafrokach albo w pidżamach. Zawsze widzi się te ich zapadnięte piersi. No, a nogi! Na plaży czy w innych tym podobnych miejscach nogi starych wydają się okropnie białe i łyse.

- Dzień dobry panu - powiedziałem. - Dostałem pana liścik. Bardzo dziękuję. - Napisał, żebym do niego koniecznie wpadł i pożegnał się przed wyjazdem na wakacje, skoro już nie mam wrócić do szkoły. - Ale niepotrzebnie pan pisał. Ja bym i tak przyszedł się pożegnać.

- Siadaj tu, chłopcze - powiedział stary Spencer. Wskazał przy tym na łóżko.

Siadłem.

- A jak z pańską grypą, panie profesorze?

- Mój chłopcze, żebym się czuł chociaż trochę lepiej, to bym musiał wezwać doktora - powiedział i tak go ten dowcip zachwycił, że aż się zachłysnął ze śmiechu. Wreszcie wyprostował się i spytał: - A dlaczego to nie jesteś na meczu? O ile wiem, idzie dziś wielka gra.

- A tak. Byłem. Tylko że właśnie przyjechałem z Nowego Jorku z drużyną szermierzy - odparłem. Nie macie pojęcia, jakie twarde było łóżko Spencera.

Potem stary zrobił diabelnie poważną minę. Wiedziałem z góry, że tak będzie.

- A więc opuszczasz nas, hę? - powiedział.

- Tak, panie profesorze.

Wtedy zaczął po swojemu kiwać głową. Nie spotkałem na świecie drugiego człowieka, który by tyle kiwał głową, co stary Spencer, i nigdy nie mogłem dociec, czy on tak kiwa dlatego, że rozmyśla, czy też po prostu dlatego, że jest miłym staruszkiem, który już własnego tyłka od łokcia nie odróżnia.

- Co ci powiedział doktor Thurmer, chłopcze? Podobno mieliście z sobą długą rozmowę.

- Mieliśmy. Fakt. Chyba ze dwie godziny siedziałem w jego gabinecie.

- No i co ci powiedział?

- No... mówił o życiu, że to jest gra, i tak dalej, i że trzeba się trzymać prawideł. Bardzo był miły. To znaczy, nie rzucał się wcale, nic z tych rzeczy. Tylko mówił, że życie to jest gra, i tak dalej... Wie pan.

- Życie jest grą, mój chłopcze. Życie jest grą, której prawideł należy przestrzegać.

- Wiem, proszę pana. Wiem.

Gra, a jakże. Ładna gra! Jeżeli znalazłeś się po tej stronie, po której są asy. to i owszem, można grać, przyznaję. Ale jeżeli trafiłeś na drugą stronę, gdzie nie ma ani jednego asa - to co to za gra? Guzik. Nie ma gry.

- Czy doktor Thurmer napisał już do twoich rodziców? - spytał stary Spencer.

- Mówił, że w poniedziałek napisze.

- A ty ich zawiadomiłeś?

- Nie, proszę pana, nie zawiadamiałem, bo zobaczę się przecież z nimi pewnie w środę wieczorem, jak Przyjadę do domu.

- A jak przyjmą tę nowinę? Co myślisz?

- No... zdenerwują się bardzo - powiedziałem. - Porządnie się zdenerwują. To już moja czwarta szkoła. - Potrząsnąłem głową. - Cholera! - powiedziałem.

Często mówię „cholera”. Może dlatego, że w ogóle nam niewyparzoną gębę, a może dlatego, że czasami zachowuję się dziecinnie jak na swój wiek. Wtedy miałem szesnaście lat - teraz mam siedemnaście - a czasem zachowuję się, jakbym miał trzynaście. Aż śmiesznie, bo wzrostu mam sześć i pół stopy i siwe włosy. Słowo daję, fakt. Na jednej połowie głowy - na prawej - mam tysiące siwych włosów. Miałem je od maleńkości. No i mimo to potrafię się tak zachowywać jak dwunastoletni pętak. Wszyscy mi to mówią, a najczęściej ojciec. Trochę w tym jest prawdy, ale nie cała prawda. Ludziom zawsze się zdaje, że wiedzą całą prawdę. Co do mnie, gwiżdżę na to, ale nieraz już mnie nudzi, kiedy powtarzają mi wszyscy w kółko, żebym pamiętał o swoim wieku. Czasem przecież postępuję, jakbym był znacznie starszy, niż jestem - słowo daję! - ale tego ludzie nigdy nie zauważają.

Stary Spencer zaczął znów kiwać głową. A także - dłubać w nosie. Udawał, że go tak z wierzchu podszczypuje, ale naprawdę pakował wielki paluch do komina. Pewnie myślał, że może sobie pozwolić, skoro tylko ja jestem w pokoju. Niech tam, ale wstręt bierze patrzeć, jak ktoś dłubie w nosie.

Wreszcie się odezwał:

- Miałem zaszczyt poznać twoją matkę i ojca, kiedy przed paru tygodniami przyjechali na rozmówkę z dyrektorem Thurmerem. Bardzo szanowni ludzie.

- A tak, proszę pana. Bardzo mili.

Szanowni. Nienawidzę tego słowa. Taka lipa. Rzygać mi się chce, jak je słyszę.

Nagle stary Spencer zrobił taką minę, jakby mu przyszedł do głowy jakiś wspaniały argument, ostry jak brzytwa, i myślałem, że mi go zaraz wyrąbie. Wyprostował się w fotelu, pokręcił na siedzeniu. Fałszywy alarm. Wziął tylko z kolan to swoje pismo „Atlantic Monthly”, i spróbował je przerzucić na łóżko obok mnie. Spudłował. Strzelał z odległości ledwie dwóch stóp, a mimo to spudłował. Wstałem, podniosłem pismo, położyłem na łóżku, i nagle aż mnie poderwało, żeby uciekać z tego pokoju. Czułem, że zaraz usłyszę okropne kazanie. Właściwie samo kazanie może bym wytrzymał, ale słuchać morałów i jednocześnie wąchać krople na katar, i jeszcze w dodatku patrzeć na starego Spencera w pidżamie i płaszczu kąpielowym - to za wiele. Naprawdę za wiele.

Zaczęło się, jak przewidywałem.

- Co się z tobą dzieje, chłopcze? - powiedział stary Spencer. Bardzo surowo, jak na niego. - Ile miałeś przedmiotów w tym semestrze?

- Pięć, proszę pana.

- Pięć. A z ilu masz niedostatecznie?

- Z czterech. - Przesunąłem się trochę. Nigdy w życiu nie siedziałem na równie twardym łóżku. - Z angielskiego stoję dobrze - powiedziałem - bo wszystkie te kawałki od „Beowulfa” do „Lorda Randala” przechodziłem jeszcze w szkole w Whooton. Tak że właściwie wcale nie potrzebowałem się niczego uczyć, tylko od czasu do czasu pisałem wypracowania.

Nawet mnie nie słuchał. Prawie nigdy nie słuchał, co się do niego mówiło.

- Z historii obciąłem cię, bo nie umiałeś dosłownie nic.

- Wiem, proszę pana. Cholera. Wiem. Pan nie mógł postąpić inaczej.

- Dosłownie nic - powtórzył. Diabli mnie biorą, jak ktoś powtarza to, co już raz powiedział, mimo że mu się za pierwszym razem przyznało rację. Ale on powtórzył swoje po raz trzeci: - Nic a nic, dosłownie. Bardzo wątpię, czy bodaj raz w ciągu całego semestru otworzyłeś podręcznik. No co, otworzyłeś? Mów prawdę, chłopcze.

- Parę razy zaglądałem do niego - odparłem. Nie chciałem staremu robić przykrości. On ma bzika na Punkcie historii.

- Zaglądałeś, hę? - powiedział tonem wyraźnie 15 drwiącym. - Twoja praca egzaminacyjna leży tam, na bieliźniarce. Na samym wierzchu. Podaj mi ją, proszę.

To był z jego strony podły chwyt, ale nie miałem wyboru, wstałem, znalazłem swoją pracę, podałem ją Spencerowi. Potem usiadłem znowu na tym jego betonowym łóżku. Cholera, pojęcia nie macie, jak żałowałem, że wpadłem pożegnać się ze starym.

Przede wszystkim trzymał moją pracę w ręku z takim obrzydzeniem, jakby to było psie łajno, czy coś w tym rodzaju.

- Uczyliśmy się o Egipcjanach od czwartego listopada do drugiego grudnia - rzekł. - Wybrałeś sobie temat wypracowania sam. Czy chcesz posłuchać, co miałeś o tym do powiedzenia?

- Nie, panie profesorze, wolałbym nie - odparłem.

Ale on i tak zaczął czytać. Nie sposób powstrzymać belfrów, jeśli się przy czymś uprą. Na nic nie zważają i robią swoje.

- *Egipcjanie byli starą rasą kaukaską zamieszkującą jeden z krajów Afryki Północnej. Ta ostatnia, jak wiadomo, jest największym kontynentem wschodniej półkuli.*

Musiałem siedzieć cicho i słuchać tych bredni. Spencer zrobił mi paskudny kawał.

- Egipcjanie są dla nas dziś nadzwyczaj interesujący z wielu różnych powodów. Nowocześni uczeni do tej pory nie odkryli, jakich tajemniczych środków używali Egipcjanie do zawijania swoich umarłych, których twarze nie uległy rozkładowi w ciągu niezliczonych stuleci. Ta intrygująca zagadka stanowi wręcz wyzwanie dla nowoczesnej nauki dwudziestego wieku.

Skończył czytanie i podniósł wzrok znad mojej pracy. W tej chwili już go zacząłem prawie nienawidzić.

- Twój „esej", jeśli tak można go nazwać, na tym się kończy - rzekł Spencer, wciąż okropnie drwiącym głosem. Nigdy bym się nie spodziewał po staruszku takiego sarkazmu. - Jednakże dodałeś na dole strony mały liścik do mnie - rzekł.

- Pamiętam, pamiętam - wpadłem mu w słowa z pośpiechem, bo nie chciałem, żeby i to jeszcze głośno przeczytał. Ale nic nie mogło go powstrzymać. Rozpędził się stary na całego.

- Szanowny Panie Profesorze - czytał głośno. - Więcej nie wiem o Egipcjanach. Jakoś nie mogłem się do nich zapalić, chociaż wykładał Pan Profesor bardzo interesująco. Nie będzie mi przykro, jeżeli mnie Pan Profesor obleje, bo i tak już zawaliłem wszystkie inne przedmioty, z wyjątkiem angielskiego. Łączę wyrazy szacunku

Holden Caulfieid

Odłożył to moje idiotyczne wypracowanie i spojrzał na mnie z takim triumfem, jakby mi wlepił suchego seta w ping-ponga czy coś w tym rodzaju. Nigdy mu chyba nie daruję, że przeczytał mi głośno te wygłupy. Gdyby to on do mnie napisał, ja z pewnością nie czytałbym mu tego na głos, słowo daję. Przecież ten głupi przypis dodałem tylko po to, żeby się nie potrzebował martwić oblewając mnie na egzaminie.

- Masz mi za złe, chłopcze, że cię oblałem? - spytał.

- Nie, proszę pana, na pewno nie - odparłem. Dużo bym dał, żeby przestał wciąż mówić do mnie per „chłopcze".

Na zakończenie Spencer chciał odrzucić moją pracę na łóżko. Oczywiście tym razem także spudłował, i znów musiałem wstać, podnieść maszynopis i odłożyć go na „Atlantic Monthly". Może się uprzykrzyć takie przedstawienie bisowane co dwie minuty.

- Cóż byś ty zrobił na moim miejscu? - spytał. - Powiedz szczerze, chłopcze.

Wiedziałem, było mu naprawdę okropnie głupio, że mnie oblał. Zacząłem więc pleść, co ślina przyniesie na język, byle go pocieszyć. Mówiłem, że jestem kretyn i tak dalej; że na jego miejscu postąpiłbym tak samo jak on i że większość ludzi wcale nie zdaje sobie sprawy, jak trudna jest rola nauczycieli. Bzdury w tym guście. Stare, oklepane frazesy.

Najzabawniejsze, że plotąc tak trzy po trzy myślałem przez cały czas o czymś innym. Mieszkam stale w Nowym Jorku i myślałem o stawie w południowej części Parku Centralnego. Zastanawiałem się, czy będzie zamarznięty, kiedy przyjadę, a jeżeli zamarznie, co się stanie z kaczkami. Głowiłem się, co robią kaczki, kiedy lód ścina cały staw. Czy ktoś po nie przyjeżdża ciężarówką i zabiera je do zoo albo gdzie indziej, czy też może same po prostu odlatują?

Ma się, swoją drogą, trochę talentu. Chcę przez to powiedzieć, że gadałem jak z nut, chociaż jednocześnie myślałem o kaczkach. Nie potrzeba wysilać zbytnio mózgownicy, kiedy się mówi do belfra. Ale przerwał mi znienacka potok wymowy. Zawsze lubił mi przerywać.

- A jak ty się na to zapatrujesz, chłopcze? Bardzo mnie to interesuje. Bardzo mnie interesuje.

- Na wyrzucenie z „Pencey” i w ogóle na te sprawy? - spytałem. Wolałbym, żeby stary Spencer zasłonił tę swoją zapadniętą pierś. Widok wcale nie był piękny.

- Jeśli się nie mylę, miałeś również jakieś trudności w poprzednich szkołach, w Whooton i w Elkton Hills.

Tym razem nie brzmiało to już tylko sarkastycznie, ale jakby trochę złośliwie, - W Elkton Hills właściwie nie miałem wielkich trudności - odparłem. - Nie wylali mnie. Sam po prostu rzuciłem tę szkołę.

- A dlaczego, czy wolno wiedzieć?

- Dlaczego? To długa historia, proszę pana. Bardzo skomplikowana.

Nie chciało mi się zwierzać z tych spraw Spencerowi. I tak by nie zrozumiał. Nie jego parafia. Główną przyczyną mojego zerwania z Elkton Hills było to, że nie mogłem wytrzymać wśród tamtejszych obłudników. W tym sęk. Wszystko tam było tylko na pokaz. Równie fałszywego człowieka jak dyrektor tej budy, pan Haas, w życiu nie spotkałem. Dziesięć razy gorszy od starego Thurmera. W niedzielę, na przykład, Haas krążył między rodzicami, którzy przyjeżdżali odwiedzić chłopców, i witał się z gośćmi. Umiał czarować, ale nie wysilał się dla tych rodziców, którzy byli starzy i wyglądali biednie czy niezdarnie. Szkoda, żeście nie widzieli, jak traktował rodziców tego kolegi, z którym dzieliłem pokój. Jeżeli matka któregoś chłopca była grubą, nieszykowną kobieciną, a ojciec nosił tandetne ubranie z przesadnie wypchanymi ramionami i podniszczone czarno-białe buty - stary Haas

podawał im dwa palce, uśmiechał się fałszywie i prędko przechodził dalej, żeby przez półgodziny skakać koło innych, bardziej interesujących rodziców. Ścierpieć nie mogę takich numerów. Do szału mnie doprowadzają. Tak mnie to przygnębia, że wściekam się po prostu. Dlatego nienawidziłem budy w Elkton Hills.

Stary Spencer znów mnie o coś zapytał, ale nie dosłyszałem. Zamyśliłem się o dyrektorze z Elkton Hills.

- Słucham pana? - spytałem.

- Czy nie masz jakiś konkretnych kłopotów w związku z opuszczeniem naszej szkoły?

- Trochę kłopotów mam, oczywiście. Pewnie że tek... ale nie za wiele. Przynajmniej na razie. Powiedział bym, że jeszcze to do mnie nie dotarło. Zwykle trwa dość długo, zanim się czymś przejmę na dobre. Tymczasem myślę tylko o tym, że w środę pojadę do domu. Taki już jestem głupi.

- Czy ty się wcale a wcale nie niepokoisz t) swoją przyszłość, chłopcze?

- Ależ tak, niepokoję się, proszę pana. Jakżeby inaczej. Oczywiście, że się niepokoję. - Zastanawiałem się przez chwilę. - Ale nie za bardzo. Nie za bardzo.

- Przyjdzie to z czasem - rzekł Spencer. - Przyjdzie z pewnością, chłopcze. Ale już będzie za późno!

Przykro mi było, kiedy o mnie w ten sposób mówił. Jakbym już nie żył. Brzmiało to okropnie przygnębiająco.

- Bardzo możliwe - powiedziałem.

- Chciałbym ci przemówić do rozsądku, chłopcze. Staram ci się jakoś dopomóc. Staram się dopomóc, ile w moich siłach.

Naprawdę miał najlepsze chęci. To się czuło. Ale nie mogliśmy się porozumieć, jak gdybyśmy stali na dwóch przeciwnych biegunach.

- Wiem, proszę pana - powiedziałem. - Bardzo dziękuję. Szczerze. Ja to naprawdę doceniam. Słowo daję. - Wstałem z łóżka. Nie wytrzymałbym następnych dziesięciu minut, nawet gdyby chodziło o moje życie. - Tylko że teraz już muszę iść. Mam w sali gimnastycznej różne swoje rzeczy, które trzeba pozbierać i zapakować przed wyjazdem. Muszę już iść.

Spencer popatrzył na mnie i znów zaczął kiwać głową z okropnie poważnym wyrazem twarzy. Nagle zrobiło mi się go cholernie żal. Ale nie mogłem tam dłużej wysiedzieć, byliśmy przecież na dwóch różnych biegunach, stary Spencer pudłował, ilekroć usiłował coś przerzucić na łóżko, miał taki ponury szlafrok i pokazywał spod niego pierś, a krople na katar cuchnęły w całym tym zagrypionym pokoju nieznośnie.

- Proszę pana, niech pan się o mnie nie martwi - powiedziałem. - Słowo daję. Wszystko będzie dobrze. To tylko taki przejściowy okres. Każdy przecież ma w życiu, takie gorsze okresy, prawda?

- Nie wiem, chłopcze, nie wiem.

Nie cierpię takich odpowiedzi.

- Z pewnością, z pewnością, proszę pana. Słowo daję. Niech pan się nie martwi o mnie. - Prawie że położyłem rękę na jego ramieniu. - Dobrze?

- Nie wypiłbyś filiżanki gorącej czekolady? Żona zaraz by zrobiła...

- Chętnie bym wypił, ale naprawdę już muszę iść. Lecę do tej sali gimnastycznej. Bardzo dziękuję. Dziękuję serdecznie.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Głupio było okropnie. Ale i smutno cholernie.

- Napiszę do pana profesora. Niech pan uważa na tę swoją grypę.

- Do widzenia, chłopcze.

Kiedy zamknąłem drzwi jego pokoju i przechodziłem przez salonik, zawołał coś za mną, ale nie słyszałem dokładnie. Prawie pewien jestem, że krzyknął: „Powodzenia!” Może jednak się mylę. Bardzo bym chciał się mylić. Nigdy bym za kimś nie wrzeszczał: „Powodzenia!” Bo jak się nad tym zastanowić, okropnie brzmi taki okrzyk.

3.

Większego łgarza ode mnie w życiu nie spotkaliście. Nie ma na to rady. Nawet kiedy idę do kiosku kupić tygodnik ilustrowany, a ktoś mnie pyta, dokąd się wybieram - odpowiadam jak z nut, że idę do opery. Okropny nałóg. Toteż gdy powiedziałem staremu Spencerowi, że muszę iść do sali gimnastycznej po swoje rzeczy, skłamałem bezczelnie. Nigdy tam nie trzymałem swoich przyborów sportowych.

W „Pencey” mieszkałem w nowym skrzydle, które się nazywało „Ossenburger Memoriał”. Lokowano tam tylko uczniów trzeciej i czwartej klasy. Ja byłem w trzeciej, mój lokator - w czwartej. Nazwano ten budynek ku czci Ossenburgera, byłego wychowanka „Pencey”. Facet zbił gruby majątek na przedsiębiorstwie pogrzebowym. A wszystko dzięki temu, że na obszarze całego kraju pozakładał filie swojej firmy, która podejmuje się grzebać nieboszczyków po pięć dolarów od sztuki. Żebyście zobaczyli tego Ossenburgera! Bardzo możliwe, że po prostu pakuje ich do worków i topi w rzece. No, ale uczelni ofiarował kupę forsy i dlatego ochrzczono nowe skrzydło gmachu jego nazwiskiem. Na pierwszy w roku mecz piłki nożnej przyjechał olbrzymim cadillakiem, a my musieliśmy wstać na trybunach i zafundować mu „lokomotywę” - tak się u nas nazywa huczna owacja. Nazajutrz w kaplicy Ossenburger wygłosił do nas przemowę, która trwała około dziesięciu godzin. Najpierw opowiedział pół setki starych kawałów, żeby nam pokazać, jaki z niego równy chłop. Potem zaczął się zwierzać, że nigdy się nie wstydzi, kiedy ma kłopoty czy coś w tym rodzaju, paść na kolana i modlić się do Boga. Pouczał nas, że zawsze, gdziekolwiek się znajdziemy, powinniśmy się modlić, rozmawiać z Bogiem i tak dalej. Mówił, że trzeba uważać Jezusa za przyjaciela. Oznajmił, że on stale do niego przemawia. Nawet wtedy, kiedy prowadzi wóz. Tym mnie wprost zastrzelił. Od razu wyobraziłem sobie tego spasionego faryzeusza, jak wrzuca pierwszy bieg i prosi Jezusa, żeby mu zesłał kilku sztywnych do pochówku. Jedyny naprawdę udany dowcip trafił się w połowie przemówienia. Ossenburger właśnie opowiadał nam, jaki to z niego był kiedyś elegant i hulaka, gdy nagle pewien koleś siedzący w rzędzie przede mną, Edgar Marsalla, puścił bąka, aż się rozległo pod sufit. Bardzo ordynarnie się zachował, na dobitkę w kaplicy, ale śmiesznie było okropnie. Byczy chłopak ten Marsalla. Myślałem, że dom wyleci w powietrze. Nikt prawie nie roześmiał się głośno, a Ossenburger gadał dalej, jakby nigdy nic, ale Thurmer, nasz dyrek, oczywiście wszystko zauważył ze swojego miejsca po prawicy mówcy, obok ambony. Mało go krew nie zalała. Na razie nic nie powiedział, dopiero następnego wieczora zatrzymał nas w gmachu szkolnym na dodatkowe

zajęcia i palnął do nas mowę. Powiedział, że chłopak, który zakłócił spokój w kaplicy, nie jest godny uczelni „Pencey". Próbowaliśmy namówić Marsallę, żeby powtórzył swój numer podczas tej przemowy dyrka, ale nie był w nastroju. Odbiegłem od tematu, a chciałem tylko wytłumaczyć, gdzie kwaterowałem w „Pencey": w nowym skrzydle imienia Ossenburgera.

Z przyjemnością wróciłem po wizycie u starego Spencera do mojego pokoju, bo wszyscy jeszcze byli na meczu, a w nowym skrzydle ogrzewanie działało pierwszorzędnie. Poczułem się bardzo swojsko. Zdjąłem marynarkę i krawat, odpiąłem pod szyją koszulę, włożyłem na głowę czapkę, którą sobie kupiłem tego dnia w Nowym Jorku, Była to dżokejka, czerwona, z bardzo, ale to bardzo wysuniętym daszkiem. Zobaczyłem ją na wystawie sklepu sportowego, kiedy wyleźliśmy z tunelu kolei podziemnej, zaraz po tym, jak zauważyliśmy, że te przeklęte florety zostały w wagonie. Kosztowała ledwie dolara. Kładłem ją daszkiem do tyłu, na wariata, to fakt, ale tak mi się podobało. Fajnie w niej wyglądałem. Siadłem sobie z książką w fotelu. W każdym pokoju były dwa fotele. Jeden się nazywał mój, drugi - Warda Stradlatera, który ze mną mieszkał. Oba miały poręcze zdezelowane, bo stale ktoś na nich przysiadał, ale poza tym fotele były dość wygodne.

Tę książkę, którą wtedy czytałem, wziąłem z biblioteki przez omyłkę. Dali mi inną, niż chciałem, ale spostrzegłem się dopiero po powrocie do swojego pokoju. Wpakowali mi „W afrykańskim buszu" Isaka Dinesena. Bałem się, że to będą nudy na pudy, ale nie: książka okazała się dobra. Uczyć się nie lubię, ale czytam dużo. Najulubieńszym moim autorem jest D. B. - mój brat - a po nim zaraz Ring Lardner. Dostałem od brata jedną książkę Lardnera na urodziny, przed samym swym wyjazdem do „Pencey". Były w tym tomie zabawne, zwariowane sztuki, a także opowiadanie o policjancie, który kontrolował ruch na jezdni i zakochał się w ślicznej dziewczynie, stale przekraczającej dozwoloną szybkość. Biedak jest żonaty, więc nie może się z tą ślicznotką ożenić ani nic. Dziewczyna rozwala wóz i ginie, bo swoim zwyczajem gazuje za prędko. Wzięła mnie ta historia. Lubię takie książki, żeby od czasu do czasu można było się pośmiać. Czytam mnóstwo klasyków, jak na przykład: „Powrót na rodzinną glebę" i tym podobne, dość chętnie; czytam dużo książek o wojnie, a także sensacyjne powieści, lubię je, ale nie wzruszają mnie zanadto. Dopiero wtedy wiem, że mnie książka naprawdę zachwyciła, jeżeli po przeczytaniu myślę o jej autorze, że chciałbym z nim się przyjaźnić i móc po prostu telefonować do niego, ile razy przyjdzie mi ochota. Ale takich pisarzy nie ma wielu. Do tego Isaka Dinesena mógłbym zatelefonować, owszem. Do Ringa Lardnera też, ale D.B. powiedział mi, że on już umarł. Są jednak takie książki, jak na przykład: „W niewoli uczuć" Somerseta Maughama. Czytałem to zeszłego lata. Dobre, nie ma co mówić, ale nie miałbym ochoty telefonować do Somerseta Maughama. Sam nie wiem,

dlaczego. Po prostu nie jest to typ, z którym chce się pogadać przez telefon. Już raczej zadzwoniłbym do starego Thomasa Hardy. Lubię Eustację Vye.

No, więc włożyłem nową czapkę, siadłem w fotelu i zabrałem się do czytania „W afrykańskim buszu". Właściwie już tę książkę przeczytałem, ale chciałem do paru rozdziałów wrócić jeszcze raz. Ledwie przerzuciłem kilka kartek, usłyszałem, że ktoś rozsuwa drzwi od kabiny z natryskiem. Nawet nie oglądając się wiedziałem, kto to taki: Robert Ackley, kolega zza ściany. W naszym skrzydle między pokojami były kabiny z natryskiem - jedna na dwa pokoje - i Ackley kilkadziesiąt razy dziennie właził tamtędy do nas. Z całego domu chyba tylko jeden Ackley - prócz mnie oczywiście - nie poszedł na mecz. Ackley w ogóle prawie nigdzie nie chodził. Dziwny chłopak. Należał do seniorów, czwarty rok był w „Pencey", ale nikt inaczej go nie wołał, jak po nazwisku: Ackley. Nawet Herb Gale, chociaż mieszkał z nim we wspólnym pokoju, nie mówił nigdy o nim Bob czy chociaż Ack. Jeżeli się kiedyś ożeni, własna żona będzie się chyba zwracała do niego też per Ackley. Był z typu tych okropnie wyrośniętych chłopców - mierzył blisko sześć stóp i cztery cale - co to się zawsze trochę garbią, i miał obrzydliwe zęby. Przez cały ten czas, kiedy z nim sąsiadowałem, ani razu go nie przyłapałem na myciu zębów. Zawsze wydarły się wstrętnie omszałe i mdliło mnie, kiedy w sali jadalnej patrzyłem na gębę Ackleya wypchaną kartoflami albo fasolą. Na dobitkę był okropnie pryszczaty. Inni chłopcy miewali pojedyncze pryszcze na czole albo na brodzie, ale on miał całą twarz w krostach. Jakby tego było mało, odznaczał się jeszcze nieznośnym charakterem. Miał też różne paskudne przywary. Prawdę mówiąc, nie szalałem za nim.

Czułem, że stoi tuż za mną, na stopniu pod natryskiem, i patrzy przez szparę, czy nie ma gdzieś w pobliżu Stradlatera. Nie cierpiał Stradlatera i nigdy nie wchodził do naszego pokoju, jeżeli on tu był. Zresztą Ackley nikogo nie lubił.

Zlazł ze stopnia i wszedł do pokoju.

- Ej! - powiedział. Mówił to zawsze takim tonem, jakby był okropnie znudzony albo okropnie zmęczony. Nie chciał, żebyś myślał, że przyszedł cię odwiedzić czy coś w tym rodzaju. Chciał, żebyś myślał, że przyszedł przez omyłkę czy może z litości.

- Ej! - odpowiedziałem, nie podniosłem jednak oczu znad książki. Mając do czynienia z gościem takim jak Ackley, przepadłbyś, gdybyś oderwał wzrok od książki. Właściwie tak czy owak przepadłeś, ale ratujesz kilka minut nie przerywając lektury natychmiast.

Zaczął się kręcić po całym pokoju, bardzo rozlazłe, jak to on, i coraz to brał do ręki jakiś przedmiot z biurka albo z szafki, twoje własne rzeczy, jak najbardziej osobiste. Nie da się powiedzieć, jak czasem grał człowiekowi na nerwach.

- Jak poszło z tą szermierką? - spytał. Po prostu chciał mi przerwać czytanie i popsuć przyjemność. Szermierka go ani ziębiła, ani grzała w gruncie rzeczy. - Myśmy wygrali czy tamci?

- Nikt nie wygrał - odparłem. Ale w dalszym ciągu patrzałem w książkę.

- Co? - spytał. Zawsze kazał sobie każde zdanie powtarzać dwa razy.

- Nikt nie wygrał - powiedziałem. Zerknąłem spod oka, co on tam majstruje na mojej szafce. Oglądał fotografię Sally Hayes, z którą chodziłem kiedyś w Nowym Jorku. Miał tę fotkę w ręku po raz tysięczny chyba od czasu, jak u mnie stała. Zawsze po zakończeniu inspekcji odstawiał ją nie tam, gdzie należało. Robił to umyślnie. To się czuło.

- Nikt nie wygrał? - powiedział. - Jak to?

- Zostawiłem florety i cały kram w kolejce podziemnej. - W dalszym ciągu nie patrzyłem na Ackleya.

- W kolejce? O rany! To znaczy, żeś zgubił sprzęt?

- Wsiedliśmy na złą linię. Musiałem wciąż wstawać, żeby sprawdzać trasę na planie przylepionym do ściany wagonu.

Ackley obszedł pokój i stanął między mną a oknem.

- Ej! - powiedziałem. - Odkąd byłeś łaskaw tu przyjść, czytam po raz dwudziesty do samo zdanie.

Każdy inny zrozumiałby aluzję. Ale nie Ackley.

- Jak myślisz, czy każą ci zapłacić? - spytał.

- Nie wiem, ale mam to w nosie. Ackley, dziecino, może byś usiadł czy coś w tym rodzaju? Cholernie zasłaniasz światło. - Nie cierpiał, kiedy się do niego mówiło: dziecino. Zawsze mówił, że jestem smarkacz, bo miałem szesnaście lat, a on osiemnaście. Wściekał się, kiedy go nazywałem dzieciną.

Sterczał dalej przede mną. To był właśnie taki typ, który nigdy się nie odsunie, jeżeli go prosisz, żeby ci nie zasłaniał światła. Oczywiście w końcu się ruszy, ale znacznie później, niżby to zrobił, gdybyś go nie prosił.

- Co ty tam takiego czytasz? - spytał.

- Książkę.

Odgiął książkę, żeby zobaczyć tytuł.

- Dobre?

- To zdanie, które czytam od kwadransa, jest Pasjonujące - odparłem. Umiem się zdobyć na sarkazm, jeżeli jestem w odpowiednim humorze. Ale on nie zrozumiał przytyku. Znów zaczął łazić po pokoju, grzebiąc łapami w osobistych rzeczach moich i Stradlatera. W

końcu odłożyłem książkę na podłogę. Nie sposób czytać w obecności takiego typa jak Ackley. Nie da rady.

Rozwaliłem się w fotelu i obserwowałem koleżkę Ackleya gospodarującego w moim pokoju jak u siebie. Zmęczony byłem podróżą do Nowego Jorku i całym tym dniem, więc zacząłem ziewać. Potem przyszła mi fantazja, żeby się trochę powygłupiać. Czasem lubię się wygłupiać, po prostu z nudów. Okręciłem na głowie czapkę daszkiem do przodu i naciągnąłem na oczy. Tym sposobem nie widziałem oczywiście świata bożego.

- Zdaje się, że ślepnę - powiedziałem straszliwie ochrypłym głosem. - Mamusiu kochana, jak tu okropnie ciemno!

- Słowo daję, wariat - rzekł Ackley.

- Mamusiu kochana, podaj mi rękę. Dlaczego nie chcesz mi podać ręki?

- O Jezu, przestań się zachowywać jak smarkacz. Macałem przed sobą rękami jak ślepiec, ale nie wstając z fotela. Powtarzałem wciąż: „Mamusiu kochana, dlaczego mi nie chcesz podać ręki?" Błaznowałem oczywiście. Czasami bawią mnie takie hece. Zresztą wiedziałem, że Ackley piekielnie się tym denerwuje. Ten chłopak zawsze we mnie budził sadystę. Często robiłem sobie sadystyczną zabawę jego kosztem. W końcu uspokoiłem się jednak. Przekręciłem czapkę z powrotem daszkiem do tyłu i opadłem w fotelu.

- Czyje to? - spytał Ackley. Trzymał w ręku podwiązki Stradlatera. Nie ma takiej rzeczy, której by Ackley nie wyciągnął z twojej szafy. Choćby to był gumowy pas do ćwiczeń lekkoatletycznych. Powiedziałem mu, że to podwiązki Stradlatera. Cisnął je na jego łóżko. Wyjął z bieliźniarki, więc rzucił oczywiście gdzie indziej.

Przysiadł na poręczy fotela Stradlatera. Nigdy nie siadał w fotelu. Zawsze tylko na poręczy.

- Skąd, u diabła, wytrzasnąłeś tę czapkę? - spytał.

- Z Nowego Jorku.

- Ile dałeś?

- Dolara.

- Okradli cię. - Zabrał się do czyszczenia paznokci zapałką. Wiecznie dłubał koło swoich paznokci. Było to nawet zabawne. Zęby miał stale zielonkawe od pleśni, uszy brudne jak cholera, ale pazury czyścił nieustannie. pewnie mu się zdawało, że dzięki temu jest nadzwyczaj schludnym chłopcem. Dłubiąc zapałką znowu popatrzył na moją czapkę. - W naszych stronach takie czapki noszą myśliwi. W takiej czapce strzela się do jeleni - powiedział.

- Diabła tam jelenie! - Zdjąłem czapkę i przyjrzałem się jej z bliska. Zmrużyłem jedno oko, jakbym do niej celował. - Strzela się do ludzi - oświadczyłem. - Ja w tej czapce strzelam do ludzi.

- Twoi starzy już wiedzą, że cię wylali ze szkoły?

- Nie.

- A gdzie, do licha, podziewa się Stradlater?

- Jest na meczu. Ma tam randkę. - Ziewnąłem. Ziewałem wciąż, twarz mi się nie zamykała. Przede wszystkim w pokoju było niemożliwie gorąco. Sen człowieka morzył. W „Pencey” albo się marznie na kość, albo się zdycha od upału.

- Wielki człowiek, Stradlater! - powiedział Ackley. - Słuchaj, pożycz mi na chwilę nożyczek, dobrze? Masz tu gdzieś pod ręką nożyczki?

- Nie. Już je zapakowałem. Są w walizce na najwyższej półce w szafie.

- Daj je na chwilkę - rzekł Ackley. - Mam taką zadrę na paznokciu, muszę ją obciąć.

Jemu to nie robiło różnicy, czy nożyczki są w walizce, czy nie, i że będziesz po nie musiał sięgać na najwyższą półkę. No, ale ściągnąłem tę walizkę. Mało brakowało, a byłbym się zabił przy tej okazji. Kiedy otworzyłem drzwi ściennej szafy, zwaliła mi się prosto na łeb rakieta Stradlatera razem z drewnianą prasą. Rozległo się głośne: „brzdęk” i zobaczyłem wszystkie gwiazdy. A wój Ackley omal nie pękł ze śmiechu. Piał po prostu tym swoim kogucim chichotem. Nie mógł się uspokoić przez cały czas, kiedy ja szamotałem się z walizą i wyjmowałem dla niego nożyczki. Ackley właśnie z takich rzeczy śmieje się do rozpuku, jeżeli komuś kamień wali się na głowę czy coś w tym rodzaju.

- Ty masz wspaniałe poczucie humoru, dziecino - rzekłem. - Ale może ci już ktoś to powiedział? Chętnie bym ci służył za impresaria. Postaram się dla ciebie o występy w programie radiowym. - Siadłem z powrotem w swoim fotelu, a on tymczasem obcinał twarde jak róg pazury. - Może byś to raczej robił nad stołem - powiedziałem. - Obcinaj paznokcie nad stołem, dobrze? Nie mam ochoty dziś wieczorem chodzić bosymi nogami po obrzynkach twoich pazurów.

Ale on w dalszym ciągu śmiecił na podłogę. Taki niechluj. Słowo daję.

- Z kim Stradlater ma randkę? - spytał. Prowadził ścisłą ewidencję flirtów Stradlatera, chociaż go tak nienawidził.

- Nie wiem. A bo co?

- Tak sobie. Nie znoszę tego sukinsyna. Tal sukinsyn, że ścierpieć go nie mogę.

- On za to szaleje za tobą. Mówił mi, że uważa cię za prawdziwego księcia - odparłem. Często, kiedy błaznuję, nazywam ludzi książętami! Żeby było mniej nudno.

- Zawsze odstawia ważniaka - rzekł Ackley. - Nie znoszę sukinsyna. Myślałby kto, że...

- Słuchaj, bądź łaskaw obcinać paznokcie nad stołem, dobrze? - przerwałem mu. - Prosiłem cię już pięćdziesiąt razy...

- Odstawia ważniaka - ciągnął Ackley. - A nie jest nawet inteligentny, sukinsyn. Zdaje mu się, że jest inteligentny. Zdaje mu się, że jest naj...

- Ackley! Rany boskie, będziesz trzymał łapy nad stołem, czy nie? Pięćdziesiąt razy cię prosiłem.

Dla odmiany zaczął teraz obcinać paznokcie nad stołem. Nie było na niego innego sposobu, jak dobrze wrzasnąć.

Przyglądałem mu się przez chwilę. Wreszcie powiedziałem:

- Zły jesteś na Stradlatera, bo kiedyś zrobił ci uwagę, że mógłbyś przynajmniej od czasu do czasu myć zęby. Nie chciał cię obrazić, chociaż powiedział to na cały głos. Pewno, nie jego rzecz, ale nie miał zamiaru ci ubliżyć Po prostu tłumaczył ci, że wyglądałbyś i czułbyś się lepiej, gdybyś od czasu do czasu czyścił zęby.

- Myję zęby. Czego się czepiasz?

- Nie, nie myjesz. Dobrze uważałem i wiem, że nie myjesz - powiedziałem. Ale bez złośliwości, było mi go nawet trochę żal. Każdemu przecież musi być przykro, jak mu koledzy mówią, że ma brudne zęby. - Stradlater to równy chłopak. Niczego sobie. Nie znasz go i w tym sęk.

- A ja ci powiadam, że to sukinsyn. Zarozumiały sukinsyn.

- Zarozumiały, to fakt, ale pod wieloma względami bardzo przyzwoity. Naprawdę - powiedziałem. - Pomyśl: dajmy na to, jeżeli zobaczysz na nim krawat albo Jakąś rzecz, która ci się spodoba. Przypuśćmy, że cholernie ci się podoba jego krawat, mówię to tylko dla przykładu. Wiesz, co Stradlater zrobi? Prawdopodobnie od razu zdejmie ten krawat i podaruje ci go. Naprawdę. Albo... wiesz, co zrobi? Podrzuci go wieczorem na twoje łóżko czy coś w tym rodzaju. W każdym razie odda ci ten krawat. Większość chłopaków na jego miejscu...

- E, do diabła! - rzekł Ackley. - Jakbym miał tyle forsy co on, tak samo bym robił.

- Nie! - potrząsnąłem głową. - Nie, ty byś nie robił, dziecino. Gdybyś miał tyle forsy, co on, byłbyś jednym z naj...

- Przestań do mnie mówić „dziecino”! Co, do cholery, mógłbym być twoim ojcem.

- Nie mógłbyś! - Potwornie mi czasem grał ten Ackley na nerwach. Nigdy nie przepuścił okazji, żeby mi przypomnieć, że ma osiemnaście lat, a ja tylko szesnaście. - Po pierwsze, nie przyjąłbym cię za żadne skarby do rodziny.

- No, więc nie nazywaj mnie...

Nagle drzwi się otwarły i wpadł Stradlater jak po ogień. Zawsze się spieszył. Ze wszystkiego robił wielką chryję. Podbiegł do mnie, klepnął mnie najpierw w prawy, potem w lewy policzek, żartem, ale drażniły mnie te jego głupie żarty.

- Słuchaj! - zawołał. - Wybierasz się gdzieś wieczorem?

- Nie wiem jeszcze. Może. Co, u diabła, śnie pada czy jak?

Stradlater miał śnieg na płaszczu.

- A pada. Słuchaj! Jeżeli nigdzie się nie wybierasz może byś mi pożyczył tej swojej marynarki w pepitkę?

- Kto wygrał mecz? - spytałem.

- Dograli na razie dopiero do połowy - powiedział Stradlater. - Nie zgaduj. Potrzebujesz dziś tej kurtki czy nie? Pochlapałem jakimś świństwem swój flanelowy garnitur.

- Nie potrzebuję, ale nie mam ochoty, żebyś mi ją rozepchał w ramionach i w ogóle - odparłem. Byliśmy Drawie równi wzrostem. Stradlater jednak ważył dwa razy więcej ode mnie. Miał okropnie szerokie bary.

- Nie rozepcham! - W mig znalazł się przy mojej szafie. - Jak się masz, Ackley! - zwrócił się do Ackleya. Bądź co bądź Stradlater zawsze był uprzejmy. Pewnie, że w tej jego uprzejmości tkwiło trochę fałszu, ale nigdy nie omieszkał przywitać się z Ackleyem serdecznie jak z każdym innym.

Ackley mruknął coś półgębkiem. Nie chciał odpowiedzieć, ale nie miał odwagi całkiem zignorować Stradlatera, więc mruknął ni to, ni owo. Potem rzekł do mnie:

- To już chyba pójdę. Do widzenia.

- Serwus - odpowiedziałem. Nigdy mi serce nie pękało z żalu, kiedy Ackley wynosił się z naszego pokoju.

Stradlater już ściągał kurtkę, krawat i resztę.

- Ogolę się na chybcika - powiedział. Miał już całkiem przyzwoity zarost. Fakt.

- Gdzie podziałeś babkę? - spytałem.

- Czeka w bocznym skrzydle.

Wziął neseser z przyborami toaletowymi i z ręcznikiem pod pachą wyszedł. Bez koszuli. Lubił się popisywać nagim torsem, bo zdawało mu się, że jest cholernie pięknie zbudowany. Zresztą miał rację. Muszę to przyznać.

4.

Nie miałem właściwie nic do roboty, więc poszedłem za nim do umywalni, żeby pogadać przez ten czas, kiedy się będzie golił. Znaleźliśmy się w toalecie sami, bo chłopcy jeszcze nie wrócili z meczu. Gorąco było piekielnie, a szyby zapełniały od pary. Rzędem pod ścianą ciągnęło się dziesięć umywalni. Stradlater zajął środkową, ja przysiadłem na sąsiedniej, po prawej stronie, i zacząłem kręcić kurkiem od zimnej wody; to otwierałem go, to zamykałem - taki mam zwyczaj, to u mnie nerwowe. Stradlater goląc się gwizdał „Pieśń Indii”. Gwizd miał okropnie przenikliwy i stale fałszował, a jak na złość zawsze sobie wybierał najtrudniejsze melodie, niełatwe nawet dla mistrza w gwizdaniu, na przykład „Pieśń Indii” albo „Morderstwo na Tenth Avenue”. Fuszerował potwornie.

Pamiętacie, że mówiłem o niechlujstwie Ackleya. Otóż Stradlater także był brudasem, chociaż na inny sposób. Stradlater był brudasem utajonym. Wyglądał zawsze jak lalka, ale zobaczylibyście brzytwę, której używał do golenia. Zardzewiała diabelnie, wiecznie zasmarowana mydłem, oblepiona włosami i brudem. Nigdy jej nie czyścił ani nie wycierał. Jak się wyelegantował, wyglądał porządnie, ale kto go znał tak jak ja, ten wiedział, że w gruncie rzeczy Stradlater był brudasem. Dbał o swój wygląd i elegancję dlatego, że był w sobie bez pamięci zakochany. Zdawało mu się, że na całej zachodniej półkuli nie ma ładniejszego chłopaka niż on. Zresztą przyznaję, był przystojny. Należał do tych ładnych chłopców, których fotografię zwykle zauważają rodzice, kiedy się im pokazuje szkolny album pamiątkowy. „A to kto?” pytają. Taka zawodowa piękność ze szkolnego albumu. Znałem w „Pencey” mnóstwo chłopców o wiele, moim zdaniem, przystojniejszych od Stradlatera, ale ci nie wyglądali tak efektownie na fotografiach w albumie. Ten miał nos za długi, innemu uszy odstawały. Sprawdziłem to niejeden raz.

No, więc siedziałem na umywalni obok Stradlatera, który się golił, i kręciłem nerwowo kurkiem, to puszczając wodę, to zatrzymując. Na głowie wciąż miałem czerwoną dżokejkę, daszkiem do tyłu. Szalenie się z tej czapki cieszyłem.

- Słuchaj no - rzekł Stradlater. - Zgodzisz się oddać mi wielką przysługę?

- Jaką? - spytałem. Bez zbytniego entuzjazmu. Stradlater stale prosił o wielkie przysługi. Tacy ładni chłopcy, którym się zdaje, że są asami, mają to już w zwyczaju. Po prostu dlatego, że sami są w sobie zakochani, myślą, że wszyscy się w nich kochają na zabój i że każdy marzy o usłużeniu im. Właściwie to jest nawet dość zabawne.

- Wychodzisz gdzieś wieczorem? - spytał.

- Może. A może nie. Jeszcze nie wiem. Bo co?

- Mam około stu stron historii do przeczytania na poniedziałek. Nie napisałbyś za mnie wypracowania z angielskiego? Pytam się, bo będę miał okropną chryję, Jeżeli w poniedziałek nie oddam tego przeklętego wypracowania. Co powiesz?

Ironia losu, słowo daję.

- To mnie wyrzucają z budy, a ty prosisz, żebym za ciebie pisał twoje cholerne wypracowanie? - odparłem.

- No, wiem. Ale fakt, że będzie chryja, jeżeli go 35 w poniedziałek nie oddam. Jesteś kolega czy nie? Bądźże człowiekiem. Napiszesz?

Nie od razu odpowiedziałem. Takiemu typowi ja Stradlater chwila niepewności tylko na zdrowie wychodzi.

- Jaki temat? - spytałem wreszcie.

- Dowolny. Jakikolwiek opis. Może być opis pokoju. Albo domu. Albo jakiejś miejscowości, w której kiedyś byłeś. Rozumiesz. Wszystko jedno co. Byle opis. - Mówiąc to ziewnął szeroko. Diabli mnie biorą, jak ktoś się tak zachowuje. Ziewa bezczelnie, kiedy prosi kolegę o wielką przysługę. - Tylko nie napisz za dobrze - powiedział. - Sukinsyn Hartzell uważa ciebie za asa w angielskim, a wie, że mieszkasz ze mną w tym samym pokoju. Więc proszę cię, nie pakuj wszystkich przecinków i takich tam różności wszędzie, gdzie należy.

To także jedna z tych bezczelności, na które mnie diabli biorą. Jeżeli ktoś pisze dobre wypracowania, taki i typ mówi o przecinkach. Stradlater nigdy nie omieszka powiedzieć czegoś w tym rodzaju. Próbuje ci wmówić, że idiotyzm jego własnych wypracowań polega wyłącznie na złym rozmieszczeniu przecinków. Pod tym względem Stradlater nie różnił się od Ackleya. Kiedyś siedziałem obok Ackleya na meczu koszykówki. Mieliśmy w drużynie wspaniałego chłopaka, nazywał się Howie Coyle; z połowy boiska strzelił prosto do kosza i nawet deski nie trącił. Ackley przez cały czas w kółko powtarzał, że to dlatego, że Coyle ma doskonałą budowę do gry w koszykówkę. Nienawidzę takiego gadania.

Po chwili znudziło mi się tak siedzieć na umywalni, więc odsunąłem się parę kroków i zacząłem wystukiwać taniec marynarski, po prostu tak dla hecy. Nie umiem dobrze stepować, ale w umywalni kamienna podłoga doskonale się do tego tańca nadawała. Małpowałem pewnego aktora filmowego. Widziałam go w komedii muzycznej. Unikałem na ogół kina jak trucizny, al6 naśladowanie aktorów bardzo mnie bawi. Stradlater goląc się oglądał mój występ w lustrze. Przynajmniej jednego widza koniecznie mi potrzeba. Okropny ze mnie ekshibicjonista.

- Jestem synem gubernatora - mówiłem podrygując konwulsyjnie i miotając się po całej łazience. - Ojciec nie pozwala mi zostać tancerzem. Chce mnie wysłać na studia do Oxfordu. Ale ja mam taniec we krwi. - Stradlater śmiał się, chłopak ma niezłe poczucie humoru. - Dziś premiera w „Zieffeid Follies”! - Brakowało mi już tchu. Łatwo się zasapuję w ogóle. - Ale pierwszy tancerz nawalił. Spił się jak bela. Kogo będą więc musieli wziąć na jego miejsce? Mnie. Synka mojego papy!

- Skąd masz tę czapkę? - spytał Stradlater. Miał na myśli oczywiście moją dżokejkę. Dopiero teraz ją zauważył.

Ponieważ i tak już dech mi do reszty zaparło, zakończyłem występ. Zdjąłem czapkę i przyjrzałem się jej po raz setny.

- Kupiłem dziś rano w Nowym Jorku. Podoba ci się?

Stradlater kiwnął głową.

- Fajna - rzekł. Ale podlizywał mi się oczywiście, bo natychmiast po tym dodał: - Słuchaj, napiszesz to wypracowanie czy nie? Muszę wiedzieć.

- Jeżeli będę miał czas, to napiszę, a jak nie, to nie - odparłem. Znowu przysiadłem na umywalni obok Stradlatera. - Z kim masz randkę? - zapytałem. - Z małą Fitzgerald?

- Do diabła z małą Fitzgerald. Mówiłem ci przecież. ze skończyłem z tą kozą.

- Naprawdę? To wiesz co, odstąp mi ją. Poważnie mówię. Jest w moim guście.

- A bierz ją sobie... Tylko że za stara dla ciebie.

Nagle - bez przyczyny właściwie, po prostu dlatego, byłem w nastroju do błazeństw - coś mi strzeliło do głowy, żeby skoczyć z umywalni i założyć Stradlaterowi półnelsona. Na wypadek gdybyście nie wiedzieli, co to takiego, wyjaśniam, że jest to chwyt w walce zapaśniczej polegający na otoczeniu szyi przeciwnika ramieniem, no i uduszeniu go na śmierć - jeśli wola. Skoczyłem rzuciłem się na koleżkę niczym wściekła pantera.

- Puszczaj, Holden, na Boga! - krzyknął Stradlater. Wcale mu nie w smak były te figle. Golił się przecież. - Co wyprawiasz? Chcesz, żebym sobie łeb uciął?

Ale ja nie puszczałem. Założyłem mu pierwszorzędnego nelsona.

- Proszę bardzo, spróbuj się uwolnić. Trzymam cię jak w kleszczach.

- O Jezu! - Stradlater odłożył brzytwę i znienacka szarpnął ramionami, wyłamując się z mojego uścisku. Chłop był bardzo silny. A ja jestem z tych słabszych. - No, dość głupstw - powiedział i znów zaczął się golić. Zawsze golił się dwa razy, żeby wyglądać przepięknie. Tę swoją starą, brudną brzytwą.

- Z kim się umówiłeś, jeżeli nie z małą Fitzgeraid? - spytałem. Siadłem z powrotem na umywalni obok niego. - Może z Phyllis Smith?

- Nie. Był taki projekt, ale potem się wszystko pokręciło. Teraz mam randkę z koleżanką tej babki, z którą chodzi Bud Thaw... Ej! Byłbym zapomniał. Ona mówi, że ciebie zna.

- Kto mnie zna?

- Moja babka.

- Tak? A jak się nazywa? - spytałem bardzo zaciekawiony.

- Zaraz... zaraz... jak ona się nazywa? Aha! Jean Gallagher.

O mało trupem nie padłem z wrażenia.

- Jane Gallagher - poprawiłem Stradlatera. Ze rwałem się z umywalni, kiedy wymówił jej nazwisko. Słowo daję, o mało trupem nie padłem. - Pewnie, że ją znam. Zaprzeszłego lata podczas wakacji mieszkała, tuż koło nas, w sąsiednim domu. Miała psa, olbrzymiego dobermana. Dzięki niemu zawarliśmy, można powiedzieć, znajomość. Bo ten pies stale przychodził do naszego ogrodu.

- O Jezu, Holden, przecież zupełnie mi zasłaniasz światło - przerwał Stradlater. - Czy musisz sterczeć akurat w tym miejscu?

Ale ja byłem strasznie podniecony. Fakt.

- Gdzie ona jest? - spytałem. - Chętnie bym się z nią przywitał i tak dalej. Gdzie ona jest? W bocznym skrzydle?

- Tak.

- Przy jakiej okazji zgadało się o mnie? Czy ona teraz jest w B.M.? Mówiła, że może będzie w B.M. albo też w Shipley. Jak to się stało, że o mnie wspomniała? - Naprawdę byłem bardzo podniecony. Bardzo.

- Nie mam pojęcia. Rusz się, dobrze? Siedzisz na moim ręczniku - powiedział Stradlater. Rzeczywiście siedziałem na tym jego głupim ręczniku.

- Jane Gallagher! - mówiłem. Nie mogłem się uspokoić. - Rany boskie!

Stradlater smarował sobie włosy brylantyną. Moją brylantyną.

- Jest tancerką - powiedziałem. - Balet i tak dalej. Ćwiczyła po dwie godziny dziennie, nawet w najgorsze upały. Martwiła się, że od tego mogą jej nogi zbrzydnąć, pogrubieć w łydkach. Grywaliśmy z nią całymi dniami w warcaby.

- W co grywaliście całymi dniami?

- W warcaby.

- W warcaby! O Jezu!

- A właśnie. Nie chciała nigdy ruszać swoich dam. Jak zrobiła damkę, to jej nie chciała z miejsca ruszyć. Zostawiała ją w ostatnim rzędzie. Wszystkie damki ustawiała pod

sznurek na brzegu warcabnicy. Wcale ich nie używała. Lubiła, jak stały sobie tak wszystkie rzędem. ;

Stradlater milczał. Takie historie mało kogo interesują.

- Jej matka należała do tego samego klubu co my - ciągnąłem. - Czasem nosiłem za graczami kije, żeby sobie trochę zarobić. Parę razy chodziłem też z jej matką.

Stradlater nie bardzo słuchał, co gadałem. Szczotkował swoje wspaniałe loki.

- Powinien bym skoczyć i przynajmniej się z nią przywitać - powiedziałem.

- To czemu nie skaczesz?

- Zaraz polecę.

Stradlater rozczesywał na nowo przedziałek. Potrzebował chyba całej godziny na uczesanie.

- Jej rodzice się rozwiedli. Matka wyszła drugi raz za jakiegoś obrzydliwego pijaka - opowiadałem. - Chudy facet z włochatymi nogami. Pamiętam go. Stale chodził w szortach. Jane mówiła, że on pisze sztuki czy coś w tym rodzaju, ale nie widziałem, żeby się czymś zajmował, tylko trąbił whisky i słuchał wszystkich możliwych detektywek nadawanych w radio. I łaził nago po domu. Przy Jane, przy wszystkich.

- Co ty powiesz! - zdziwił się Stradlater. Coś go wreszcie naprawdę zainteresowało. Ta historia o pijaku, który łaził nagi po domu, nie krępując się obecnością Jane. Stradlater bardzo lubił te rzeczy.

- Miała okropnie smutne dzieciństwo. Nie bujam.

Ale to już Stradlatera nie wzruszyło. Zainteresował się tylko pieprznymi szczegółami.

- Jane Gallagher. Panie Jezu! - Nie mogłem się otrząsnąć z wrażenia. Słowo daję, nie mogłem. - Powinien bym zejść na dół i przywitać się z nią.

- Więc czemu, do diabła, nie idziesz, zamiast powtarzać to w kółko? - rzekł Stradlater.

Podszedłem do okna, ale nic nie było przez nie widać, tak zaszło mgłą w parnocie łazienki.

- Na razie nie mam melodii - odparłem. Rzeczywiście nie byłem w nastroju. Do takich spotkań trzeba mieć nastrój. - Myślałem, że jest w Shipley. - Przez chwilę kręciłem się po łazience. Nie miałem właściwie nic innego do roboty. - Podobał się jej mecz? - spytałem.

- Chyba tak. Nie wiem.

- Mówiła ci, że grywaliśmy w warcaby? Co ci mówiła?

- Nie wiem. Przecież ledwie się z nią zapoznałem - powiedział Stradlater. Skończył przygładzanie swoich pięknych włosów. Odkładał już brudne przybory toaletowe do neseseru.

- Słuchaj. Pozdrów ją ode mnie. Będziesz pamiętał?

- Dobra - zgodził się Stradlater, wiedziałem jednak prawie na pewno, że tego nie zrobi. Takie typy jak on nigdy nie spełniają tego rodzaju poleceń.

Wrócił do naszego pokoju, ale ja zostałem jeszcze chwilę w łazience myśląc o Jane. Wreszcie poszedłem za nim.

Stradlater właśnie wiązał krawat przed lustrem. Spędzał pół życia przed lustrem. Siadłem w fotelu i przyglądałem mu się czas jakiś.

- Słuchaj - powiedziałem. - Nie mów jej, że mnie wylali z budy. Nie powiesz?

- Dobra.

Stradlater miał jedną wielką zaletę. Nie trzeba mu było każdego szczegółu tłumaczyć jak Ackleyowi. Głównie chyba Całego, że go to mało obchodziło. Tak, na pewno dlatego. Z Ackleyem było inaczej. Ackley lubił wtykać nos w cudze sprawy.

Stradlater wbił się w moją marynarkę.

- Bój się Boga, staraj się nie rozpychać jej tak n wszystkie strony - powiedziałem. - Ledwie dwa razy miałem ją na sobie.

- Dobra. Gdzie, u diabła, podziały się papierosy?

- Na biurku. - Stradlater nigdy nie pamiętał, gdzie co położył. - Pod szalikiem.

Wetknął paczkę papierosów do kieszeni. Do mojej kieszeni. Odwróciłem czapkę daszkiem do przodu dla odmiany. Nagle zacząłem się denerwować. Jestem w ogóle bardzo nerwowy.

- Gdzie się z nią wybierasz? - spytałem. - Już coś zaplanowałeś?

- Nie, jeszcze nie wiem. Do Nowego Jorku, jeśli czasu starczy. Wzięła przepustkę tylko do wpół do dziesiątej.

Nie podobał mi się jego ton, więc powiedziałem:

- Może dlatego, że nie wiedziała, jaki jej się trafi przystojny i czarujący chłopak. Gdyby wiedziała, zwolniłaby się do wpół do dziesiątej, ale rano.

- Pewnie, że tak - odparł Stradlater. Niełatwo dawał się speszyć. Za bardzo był zarozumiały. - Ale mówmy bez żartów. Napisz za mnie to wypracowanie. - Włożył palto, gotów już do wyjścia. - Nie wysilaj się zanadto, byle to miało charakter opisowy. Dobra?

- Zapytaj ją, czy wciąż lubi jeszcze ustawiać damy rzędem na warcabnicy.

- Dobra - rzekł Stradlater, ale wiedziałem, że nie spyta. - No, serwus. - i trzasnął drzwiami.

Siedziałem przez jakieś pół godziny po jego odejściu w fotelu. Siedziałem i nic nie robiłem. Myślałem o Jane i o tym, że Stradlater umówił się z nią na randkę. Nerwy mnie ponosiły, diabli mnie brali. Wspomniałem już, że Stradlater był okropnie łasy na te rzeczy.

Znienacka pojawił się znów Ackley. Swoim zwyczajem wlazł przez kabinę z natryskiem. Po raz pierwszy tym całym głupim życiu ucieszyłem się z jego wizyty. Oderwał moje myśli od tamtych spraw.

Sterczał mniej więcej do obiadu, wyliczając wszystkich chłopaków w „Pencey”, których nie cierpiał, i wyciskając ogromnego wągra na brodzie. Żeby chociaż używał przy tej czynności chustki do nosa. Wątpię, czy miał w ogóle chustkę, jeśli chcecie wiedzieć prawdę. W każdym razie nigdy nie widziałem, żeby Ackley posługiwał się chustką do nosa.

5.

W sobotę wieczorem jedliśmy w „Pencey” nieodmiennie to samo co zawsze danie. Miała to być wielka feta: befsztyki. Założę się o tysiąc dolarów, że zgadłem dlaczego zarząd szkoły to robił: w niedzielę przyjeżdżał zwykle tłum rodziców i stary Thurmer wykombinował, że każda matka spyta najdroższego synka, co jadł poprzedniego wieczora na kolację, a synek odpowie: „Befsztyka”. Co za lipa! Trzeba by zobaczyć te befsztyki. Małe, twarde jak podeszwa, można by na nich nóż połamać. Do tego zawsze podawano piure z ziemniaków, pełne jakiś gruzłów, a na deser budyń z chleba, którego nikt do ust nie brał, z wyjątkiem pętaków z najniższych klas, bo ci się oczywiście nie znają na niczym, no i typów w rodzaju Ackleya - bo ten by zżarł każde świństwo.

Za to na dworze, kiedy wyszliśmy z jadalni, było bardzo ładnie. Śnieg leżał na trzy cale, a jeszcze wciąż nowy sypał jak szalony. Bardzo to ładnie wyglądało i wszyscy rzucili się lepić piguły; rozhasaliśmy się po całym terenie, zabawa była może trochę dziecinna, ale naprawdę pierwszorzędna.

Nie miałem umówionej żadnej randki, więc z przyjacielem, który nazywał się Mai Brossard i należał do drużyny zapaśniczej, postanowiliśmy pojechać autobusem do Agerstown i tam coś przekąsić, a może nawet wstąpić do kina na jakiś głupi film. Żaden z nas nie miał ochoty przesiedzieć całego wieczora w budzie. Spytałem Mała, czy nie ma nic przeciw temu, żeby zabrać Ackleya na trzeciego. Chodziło mi o to, że Ackley nigdy nic nie robił w sobotnie wieczory i tkwił w swoim pokoju, a za całą rozrywkę musiało mu wystarczyć wyciskanie wągrów albo coś w tym rodzaju. Mai odparł, że wprawdzie nic nie ma przeciw temu, ale też się do tego nie pali. Nie bardzo lubił Ackleya. Poszliśmy obaj do swoich pokojów, żeby się ubrać; kładąc kalosze i płaszcz zawołałem na Ackleya i spytałem, czy chce iść z nami do kina. Przez kabinę z natryskiem musiał mnie słyszeć, ale nie od razu odpowiedział. Są takie typy, co nigdy nie odpowiadają od razu: Ackley do nich należy. Wreszcie przylazł, stanął na stopniu pod natryskiem i przez rozsunięte drzwi zapytał, kto prócz mnie wybiera się do Agerstown. Zawsze musiał z góry wiedzieć, z kim się spotka. Przysiągłbym, że nawet w razie rozbicia statku, gdybyś wyciągnął Ackleya z wody, zapytałby, kto wiosłuje, zanimby się zgodził wsiąść do łodzi ratunkowej. Powiedziałem mu, że idzie z nami Mai Brossard. Mruknął:

- Ten kundel... No, niech tam. Poczekaj chwilkę.

Myślałby kto, że robi nam wielką łaskę. Marudził chyba z godzinę. Czekając, aż się wygrzebie, otworzyłem okno i gołymi rękami ulepiłem kulę ze śniegu. Śnieg doskonale się nadawał na piguły. Jednakże nie strzeliłem. Już, już miałem rzucić, celując w samochód zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy. Ale w ostatnim momencie coś mnie powstrzymało. Wóz wyglądał ślicznie, cały bielutki. Wziąłem dla odmiany na cel pompę, ale pompa także wydała mi się ładna i biała. W końcu zrezygnowałem w ogóle ze strzału. Zamknąłem okno i zacząłem spacerować po pokoju z kulą w ręku ugniatając ją mocniej. Miałem ją w dalszym ciągu w garści, gdy w chwilę później biadałem razem z Brossardem i Ackleyem do autobusu. Kierowca odemknął drzwi i kazał mi ją wyrzucić. Powielałem mu, że nie zamierzam nikogo ani nic rozbijać ale nie uwierzył. Ludzie nigdy jedni drugim nie wierzą.

I Brossard, i Ackley znali film, który właśnie wyświetlano w Agerstown, więc wstąpiliśmy tylko coś przekąsić i pograliśmy trochę w mechaniczne kręgle, a potem, znów autobusem, wróciliśmy do „Pencey". Nie żałowałem, że mnie film ominął. Była to jakaś komedia z Cary Grantem, oczywiście bzdura. Zresztą miałem już nieraz sposobność zakosztować kina w towarzystwie Brossarda i Ackleya. Wyli ze śmiechu jak hieny, chociaż wcale nie było z czego. Nie sprawiało mi przyjemności siedzenie obok nich w kinie.

Mniej więcej kwadrans przed dziewiątą byliśmy już z powrotem w internacie. Brossard, nałogowy bridżysta, poszedł szukać partnerów. Ackley dla odmiany utknął na dobre w moim pokoju. Tyle tylko, że tym razem zamiast na poręczy fotela Stradlatera ulokował się na moim łóżku, rozwalił się jak długi i przytknął twarz do mojej poduszki, Zaczął ględzić jak zawsze monotonnym głosem, skubiąc przy tym po kolei wszystkie swoje wągry. Sto razy próbowałem dać mu delikatnie do zrozumienia, co o tym myślę, ale nie mogłem się go pozbyć w żaden sposób, Wciąż tym samym monotonnym głosem opowiadał o jakiejś dziewczynce, którą rzekomo przygruchał sobie poprzedniego lata. Słyszałem tę historię po raz pięćdziesiąty, ale za każdym razem w innej wersji. Czasem chwalił się, że ją skosił w buicku swego kuzynka, a w pięć minut później twierdził, że ją dopadł pod pomostem na jakiejś plaży. Nigdy nie miał kobiety, mógłbym się założyć. Wątpię nawet, czy dotknął w życiu dziewczyny bodaj palcem. Wreszcie musiałem mu wprost powiedzieć, że obiecałem napisać za Stradlatera wypracowanie, więc niech się wyniesie do diabła, żebym się mógł skupić. Ostatecznie wyszedł, ale trwało to cholernie długo, jak zawsze z Ackleyem. Zostałem sam. Włożyłem pidżamę i płaszcz kąpielowy, a na głowę dżokejkę, i zabrałem a" do pisania.

Miałem kłopot, bo nie przychodził mi na myśl żaden pokój ani dom, który bym mógł opisać tak, jak wedle wskazówek Stradlatera należało. Wobec tego napisałem historię rękawicy, której mój brat Alik używał do baseballu. Temat jak najbardziej nadawał się do

opisu. Naprawdę, Alik grał jako lewy filder, rękawica była na lewą rękę, on zresztą był mańkutem. Rękawica zasługiwała na opis dlatego, że na palcach, na dłoni, na grzbiecie, cała była pokryta wierszami. Alik wykaligrafował je zielonym atramentem, żeby mieć coś do czytania na boisku w chwilach wolnych od akcji. Alik już nie żyje. Kiedy mieszkaliśmy w Maine, zachorował na białaczkę i umarł, osiemnastego lipca 1946 roku. Lubilibyście go, gdybyście go znali. Był o dwa lata młodszy ode mnie, ale chyba pięćdziesiąt razy inteligentniejszy. Wyjątkowo inteligentny chłopak. Nauczyciele stale pisali do matki listy oświadczając, że to dla nich prawdziwa radość mieć takiego ucznia jak Alik w klasie, A nie pisali tego tylko przez grzeczność. Szczerze tak myśleli. On zresztą był nie tylko najinteligentniejszy z całej rodziny. Był też pod wszystkimi względami najmilszy. Nigdy się na nikogo nie złościł. Mówią, że rudzi zwykle bywają zapalczywi, ale on, chociaż miał włosy rude, nie złościł się nigdy. Żeby wam dać pojęcie, jakiego koloru miał głowę, opowiem pewną historyjkę. Zacząłem grać w golfa mając ledwie dziesięć lat. Pamiętam, tego lata, kiedy już kończyłem dwunasty rok, chodząc za piłką nagle pomyślałem sobie, że jeśli się nagle obejrzę - zobaczę Alika. Odwróciłem się prędko; Patrzę, a tu rzeczywiście zza ogrodzenia - bo teren Golfowy był ogrodzony - sterczy coś czerwonego; Alik Przysiadł na siodełku roweru, o jakie dobre sto trzydzieści metrów za mną, żeby obserwować, jak mi się wiedzie. Takie miał czerwone włosy. Ale mówię wam, miły był smyk jak rzadko. Nieraz przy stole, jeżeli mu się coś zabawnego przypomniało, śmiał się tak serdecznie, że o mało z krzesła nie spadał. Miałem trzynaście lat kiedy rodzice postanowili mnie zaprowadzić do psychoanalityka na badania, ponieważ wytłukłem wszystka szyby w garażu. Rodzicom nie mam tego za złe Szczerze - nie mam żalu. Po śmierci Alika całą noc spędziłem w garażu i waliłem pięścią w szyby po prostu z wściekłości. Chciałem jeszcze potłuc okna w dużym samochodzie, który wtedy mieliśmy, ale rękę już miałem rozharataną okropnie i nic nie mogłem więcej zrobić. Przyznaję, głupio to było z mojej strony, nie bardzo jednak wiedziałem, co robię, no i trzeba było znać małego Alika. Do tej pory ręka mnie czasem boli, i nie mogę zacisnąć porządnie pięści - tak naprawdę z całych sił - ale to małe zmartwienie. Nie zamierzam przecież zostać chirurgiem ani skrzypkiem, ani niczym w tym rodzaju.

No, więc na ten temat napisałem wypracowanie dla Stradlatera. O rękawicy baseballowej Alika. Miałem ją z sobą, schowaną w walizie, więc wyciągnąłem ją i przepisałem z niej wszystkie wiersze. Zmieniłem tylko imię, żeby nikt się nie domyślił, że chodzi o mojego brata, a nie o brata Stradlatera. Nie zachwycał mnie zbytnio ten pomysł, ale nic innego, co by można opisać, nie przyszło mi do głowy. Zresztą pisanie o tym sprawiało mi pewną przyjemność. Zmarudziłem całą godzinę, bo musiałem stukać na źle utrzymanej

maszynie Stradlatera, która się wciąż zacinała. Własnej nie mogłem użyć, ponieważ ją ode mnie pożyczył kolega z innego skrzydła internatu.

Kiedy uporałem się z robotą, było już chyba wpół do jedenastej. Nie czułem się jednak wcale zmęczony, więc chwilę jeszcze wyglądałem przez okno. Śnieg przesz padać, lecz co chwila dochodził warkot samochodu, który nie mógł się wykopać z zaspy. Rozlegało się też chrapać Ackleya. Przez kabinę natryskową słychać było z sąsiedniego pokoju każdy szmer. Ackley miał zatoki zajęte, nie mógł we śnie swobodnie oddychać. Ileż ten chłopak miał defektów: zatoki, pryszcze, sine zęby, cuchnący oddech, łamiące się paznokcie. Czy kto chciał, czy nie chciał, musiał się trochę litować nad tym zwariowanym łajdakiem.

6.

Pewne rzeczy trudno sobie przypomnieć. Myślę o tej chwili, kiedy Stradlater wrócił z randki z Jane. Nie mogę sobie dokładnie uprzytomnić, co robiłem w momencie, gdy usłyszałem kroki tego głupca na korytarzu. Prawdopodobnie patrzyłem wciąż jeszcze przez okno, ale przysięgam, że nie pamiętam. Dlaczego? Bo cholernie się gryzłem. Jeżeli się czymś naprawdę gryzę, odechciewa mi się żartów. Często w takich razach robi mi się tak niedobrze, że powinien bym iść co prędzej do toalety. Ale nie idę. Tak jestem zgnębiony, że nie chcę się ruszyć z miejsca. Nie chcę żadnym poruszeniem przerywać zgryzoty. Gdybyście znali Stradlatera, gryźlibyście się także. Nieraz umawialiśmy się z nim na randkę we dwie pary, więc wiem, co mówię. Stradlater nie zna skrupułów. Fakt.

Podłoga w korytarzu była pokryta linoleum, z daleka słyszałem kroki, coraz bliższe, aż Stradlater wszedł do pokoju. Nie pamiętam nawet, gdzie siedziałem, kiedy wchodził: na parapecie okna, we własnym fotelu czy może w jego fotelu. Przysięgam, że nie wiem.

Wszedł klnąc, że zimno na dworze. Potem spytał:

- Gdzie, u diabła, podziali się wszyscy? Cicho w całym domu jak w trupiarni.

Nie warto było na to odpowiadać. Jeżeli w swojej głupocie nie rozumiał, że w sobotnią noc koledzy albo śpią, albo wyjechali na niedzielę do domów, albo poszli się gdzieś zabawić - nie zamierzałem strzępić sobie języka, żeby mu to wyjaśnić. Zaczął się rozbierać. Ani cłowa nie powiedział o Jane. Ani słowa. Ja też się nie odezwałem. Przyglądałem mu się tylko. Podziękował jednak za pożyczenie kurtki, powiesił ją na wieszaku i zamknął w szafie ściennej.

Z kolei rozwiązując krawat spytał, czy napisałem dla niego wypracowanie. Powiedziałem, że jest gotowe i że leży na jego łóżku. Podszedł więc do łóżka i odpinając guziki koszuli zaczął czytać. Stał tak i czytając gładził się po piersiach i po żołądku z okropnie głupią miną. Miał zwyczaj głaskać własne piersi i żołądek. Kochał się w samym sobie. Nagle krzyknął:

- Boże święty, coś ty narobił, Holden! Przecież to jest o jakiejś rękawicy baseballowej.

- No i co z tego - odparłem lodowatym tonem.

- Jak to, co z tego? Przecież ci mówiłem, że ma być o jakimś pokoju albo domu, albo o czymś w tym guście.

- Mówiłeś, że ma być opis. Dlaczegóż by nie opis rękawicy?

- A niech to diabli! - Zły był okropnie. Wściekał się ze złości. - Że też ty wszystko zawsze musisz przekręcić. - Popatrzył na mnie. - Nic dziwnego, że cię wylali z budy - powiedział. - Nic, ale to nic, nie robisz tak, jak się należy. Słowo daję. Nic, nigdy.

- Racja, oddaj mi to wypracowanie - rzekłem. Wyrwałem mu kartki z ręki. Podarłem na strzępy.

- Co ci znowu do głowy strzeliło? - wykrzyknął.

Nie odpowiedziałem. Cisnąłem strzępki papieru do kosza. Wyciągnąłem się na swoim łóżku i zapaliłem Papierosa. Nie wolno było palić w sypialniach, ale późnym wieczorem, kiedy reszta albo spała, albo hulała poza szkołą, pozwoliłem sobie; nikt przecież nie mógł wywęszyć dymu - Zresztą zrobiłem to na złość Stradlaterowi. Szału dostawał, jeżeli ktoś łamał przepisy. Sam nigdy w sypialni palił. Ja nieraz ryzykowałem.

W dalszym ciągu słowa nie pisnął o Jane. W końcu więc pierwszy zaczepiłem o ten temat.

- Późno wracasz, jeżeli ona zwolniła się tylko do wpół do dziesiątej. Pewnie się spóźniła, co?

Siedział na brzegu łóżka i obcinał paznokcie u nóg, kiedy zadałem to pytanie.

- Kilka minut - odparł. - Kto, u diabła, słyszał w sobotę zwalniać się tylko do wpół do dziesiątej?

Boże święty, jak ja go nienawidziłem.

- Byliście w Nowym Jorku? - spytałem.

- Coś ty, chory? Jakim cudem moglibyśmy być w Nowym Jorku, jeżeli ona miała zwolnienie tylko do wpół do dziesiątej?

- A to pech.

Podniósł na mnie wzrok.

- Słuchaj - rzekł - jeżeli chcesz palić, może byś poszedł do umywalni, co? Ty i tak wysiadasz z budy, ale ja muszę tutaj przesiedzieć aż do dyplomu.

Ani drgnąłem. Słowo daję. Paliłem dalej jak lokomotywa. Tyle tylko, że obróciłem się trochę na bok i patrzałem, jak Stradlater obcina sobie paznokcie u nóg. Co za buda. Stale musiał człowiek patrzeć, jak ktoś sobie obcina pazury albo wyciska wągry czy coś w tym rodzaju.

- Pozdrowiłeś ją ode mnie? - spytałem.

- Owszem.

Założę się, że skłamał, kundel.

- I co ona na to? A spytałeś, czy zawsze jeszcze ustawia damki na brzegu warcabnicy?

- Nie, nie spytałem. Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz? Że myśmy w warcaby grali przez cały wieczór?

Nie odpowiedziałem. Boże, jak go nienawidziłem.

- Jeżeli nie pojechaliście do Nowego Jorku, to gdzieście byli? - zapytałem znów po jakimś czasie. Trudno mi było opanować głos, tak się trząsłem cały. Nerwy mnie ponosiły. Czułem, że coś się stało niedobrego.

Stradlater skończył zabiegi około swoich paluchów. Wstał z łóżka, już tylko w kalesonach, nagle ogromnie rozbawiony. Podszedł, nachylił się nade mną i zaczął mnie niby żartem poszturchiwać.

- Przestań - powiedziałem. - Gdzie z nią byłeś, skoro nie jeździliście do Nowego Jorku?

- Nigdzie. Siedzieliśmy sobie po prostu w aucie. - i znowu mnie poczęstował żartobliwą sójką w bok.

- Przestań - powtórzyłem. - Skąd wziąłeś wóz?

- Od Eda Banky.

Ed Banky był trenerem drużyny koszykówki w „Pencey". A Stradlater był oczkiem w głowie Eda, bo grał w centrum. Toteż Ed pożyczał mu swego wozu na każde zawołanie. Właściwie nie wolno było uczniom pożyczać samochodów od nauczycieli, ale sportowcy trzymali ze sobą sztamę.

Stradlater wciąż mnie niby boksował. Szczotkę do zębów, którą miał przedtem w ręku, wetknął sobie w usta.

- Coście robili? - spytałem. - Załatwiłeś ją w tym samochodzie Eda?

- Fe, jak ty się brzydko wyrażasz. Chcesz, żebym ci buzię mydłem wyszorował?

- Powiedz. Czy tak?

- Sekret zawodowy, kolesiu.

Co potem nastąpiło, pamiętam jak przez mgłę. Wiem tylko, że podniosłem się z łóżka, jakbym się zbierał do łazienki, i nagle zamachnąłem się z całej siły; chciałem trzasnąć prosto w szczotkę do zębów sterczącą z jego gęby, żeby mu ją wbić w gardło. Spudłowałem. Nie udało się. Walnąłem go gdzieś, zdaje się w głowę. Musiało drania zaboleć porządnie, ale nie tak jeszcze, jak marzyłem. Dostałby lepiej, gdyby nie to, ze biłem prawą ręką, a prawej nie mogę twardo używać. Wspomniałem już, w jaki sposób sobie tę rękę uszkodziłem.

W każdym razie w sekundę później ocknąłem się na podłodze. Stradlater, czerwony jak burak, siedział mi na piersiach, a właściwie dusił mi pierś kolanami. Ważył chyba tonę.

Jednocześnie przytrzymywał mi ręce w napięstkach, żeby nie mógł go drugi raz trzasnąć. Byłbym go chyba zabił.

- Co cię ugryzło? - powtarzał, a głupia gęba czerwieniała mu coraz bardziej.

- Weź te swoje parszywe kolana z mojej piersi - ryczałem. Naprawdę ryczałem. - Jazda, zabieraj się, draniu.

Ale on nie puszczał. Trzymał mnie wciąż mocno za przeguby, a ja kląłem, obrzucając go wyzwiskami, i zdawało mi się, że to już trwa kilka godzin. Nie pamiętam wszystkiego, co mu nagadałem. Mówiłem, że on sobie wyobraża, że mu z każdą dziewczyną wszystko wolno. Ze jego nawet nie obchodzi, czy dziewczyna ustawia rzędem damy na warcabnicy, czy nie, a nie obchodzi go dlatego, że jest głupim kretynem. Żaden kretyn ścierpieć nie może, kiedy się go nazywa kretynem.

- Zamknij się wreszcie, Holden - powiedział. Gębę miał wielką, czerwoną i głupią. - Zamknij się, ale już!

- Nie wiesz nawet, czy jej na imię Jane, czy też Jean, ty bęcwale, kretynie.

- Zamknij się, Holden, do cholery, ostatni raz cię ostrzegam - powiedział. Doprowadziłem go do wściekłości, naprawdę. - Jeżeli się nie zamkniesz, zrobię cię na szaro.

- Weź z moich piersi te swoje śmierdzące, kretyńskie kolana.

- Jeżeli cię puszczę, przestaniesz szczekać?

Nie odpowiedziałem. On powtórzył raz jeszcze:

- Holden. Jeżeli cię puszczę, przestaniesz szczekać?

- Dobra.

Zlazł ze mnie. Wstałem. Żebra mnie bolały piekielnie od ucisku tych jego obrzydliwych kolan.

- Plugawy, głupi sukinsyn, kretyn - powiedziałem. Teraz dopiero wpadł naprawdę w szał. Zaczął mi wygrażać przed nosem swoim durnym, grubym paluchem.

- Holden, ostrzegam cię ostatni raz. Jeżeli nie przestaniesz szczekać, dam ci taki wycisk...

- Dlaczego mam milczeć? - wrzasnąłem prawie.

Zawsze ta sama historia z kretynami. Nigdy nie chcecie o niczym dyskutować. Po tym można właśnie poznać kretyna. Że nie dopuszcza do inteligent...

Wtedy kropnął mnie tak, że ocknąłem się znów na podłodze. Nie pamiętam, czy mnie znokautował, ale wątpię. Znokautować przeciwnika wcale nie jest łatwo, chyba że na filmie. W każdym razie krew puściła mi się z nosa strumieniem. Kiedy otworzyłem oczy, Stradlater stał nade mną. Pod pachą trzymał neseser z przyborami toaletowymi.

- Dlaczego, do diabła, nie chciałeś zamknąć jadaczki, kiedy cię o to prosiłem? - rzekł. Był, zdaje się, mocno zdenerwowany. Strach go pewnie obleciał, że mi czaszka pękła czy coś takiego, gdy stuknąłem głową o posadzkę. Szkoda, że się tak nie stało. - Sam sobie jesteś winien. Niech to diabli - powiedział. Widać było po nim, że się nielicho przestraszył.

Nie próbowałem nawet wstawać. Leżałem długą chwilę i wymyślałem mu od sukinsynów i kretynów. Taki byłem wściekły, że ryczałem z całych sił.

- Wiesz co, Holden - powiedział Stradlater. - Idź do łazienki i obmyj twarz. Słyszysz mnie?

Powiedziałem, żeby sam poszedł obmyć swoją kretyńską gębę. To była oczywiście dziecinna odpowiedź, ale złość mnie ogłupiała. Dodałem, żeby po drodze do łazienki wstąpił do pani Schmidt i ją także załatwił. Pani była żoną portiera i miała ze sześćdziesiąt pięć lat.

Nie ruszałem się z podłogi, póki Stradlater zamknął za sobą drzwi i póki nie usłyszałem jego kroków oddalających się korytarzem w stronę łazienki. Wtedy dopiero podniosłem się. Nie mogłem znaleźć nigdzie, swojej dżokejki, wreszcie ją zobaczyłem: leżała po, łóżkiem. Wsadziłem ją na głowę, odwróciłem dziobem. A tyłu, tak jak lubiłem, podszedłem do lustra i spojrzałem n, tę własną głupią twarz. Drugiej takiej krwawej maski w życiu nie widzieliście. Krew się lała z ust, z brody, a na pidżamę i płaszcz. Trochę mnie ten widok przeraził a trochę zafascynował. Cały we krwi wyglądałem na wielkiego chojraka. Właściwie tylko dwa razy w życiu biłem się i oba razy przegrałem. Nie jestem chojrak. Jeśli chcecie wiedzieć prawdę - to raczej jestem chłopak spokojny.

Byłem pewien, że Ackley słyszał przez ścianę cały ten rumor i nie śpi. Poszedłem więc przez kabinę natryskową do jego pokoju, żeby się przekonać, co porabia, Rzadko tam wchodziłem. Ten pokój zawsze cuchnął, bo Ackley był przecież niechluj okropny.

7.

Przez rozsunięte drzwi kabiny padał z naszego pokoju wąski pas światła i dzięki temu dostrzegłem Ackleya leżącego w łóżku. Tak jak się spodziewałem, nie spał.

- Ackley - szepnąłem. - Nie śpisz?

- Nie.

Było dość ciemno, zawadziłem o czyjeś buty poniewierające się na podłodze i o mało nie runąłem głową naprzód. Ackley usiadł podparty na łokciach. Twarz miał całą zasmarowaną jakąś białą maścią: leczył swoje pryszcze. W ciemnościach wyglądał trochę jak upiór.

- A co robisz?

- Jak to, co robię? Próbowałem spać, póki nie urządziliście tego piekła w waszym pokoju. O co, u diabła, pobiliście się ze Stradlaterem?

- Gdzie tu jest światło? - Nie mogłem znaleźć wyłącznika. Obmacywałem na próżno ścianę.

- Po co ci światło? Wyłącznik masz tam, tuż przed nosem.

Wreszcie znalazłem. Przekręciłem. Ackley podniósł rękę, zasłaniając oczy od blasku.

- Jezu! - powiedział. - Co się stało? - Zobaczył rzeczywiście krew, no i w ogóle mój wygląd...

- Małe nieporozumienie ze Stradlaterem - wyjaśniłem. Siadłem na podłodze. W tym ich pokoju nigdy nie było foteli. Nie mam pojęcia, gdzie te ofermy podziały swoje. - Słuchaj, Ackley - powiedziałem - może byśmy Srali partyjkę kanasty? - Ackley przepadał za kanastą.

- Boże święty, przecież ty jeszcze krwawisz. Lepiej byś opatrzył jakoś twarz.

- Zaraz mi przejdzie. Chcesz zagrać w kanastę czy nie?

- Boże święty, co ci w głowie, Holden! Nie wiesz przypadkiem, która godzina?

- Wcale niepóźno. Ledwie jedenasta, może wpół do dwunastej.

- Ledwie jedenasta - stęknął Ackley. - Słuchaj, Przecież ja jutro muszę wstać wcześnie na mszę. A wy po nocy awantury urządzacie, jakieś bójki... O co właściwie pobiliście się tak, u diabła?

- To długa historia. Nie chcę cię teraz nudzić, Dbam o twoje zdrowie - powiedziałem. Nigdy nie zwierzałem się Ackleyowi ze swoich osobistych spraw. Po pierwsze był jeszcze durniejszy od Stradlatera. W porównaniu z nim Stradlater mógł uchodzić za geniusza. - Wiesz co? - rzekłem. - Chyba nikomu nie zaszkodzi, jeśli się prześpię dzisiaj w łóżku Ely'ego? Ely

nie wróci aż jutro wieczorem, prawda? - Wiedziałem dobrze, że Ely wcześniej się nie pokaże. Jeździł do domu prawie na każdy weekend.

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć, kiedy Ely wróci - odparł Ackley.

Rany, jak mnie ten Ackley denerwował.

- Jak to, skąd masz wiedzieć? Nigdy przecież nie wraca wcześniej niż w niedzielę wieczorem. - No tak, ale nie mogę z tego powodu zaprasza do jego łóżka każdego, komu przyjdzie fantazja.

Zastrzelił mnie tym argumentem. Nie ruszając s z podłogi, gdzie wciąż siedziałem, wyciągnąłem rękę i poklepałem go po ramieniu.

- Istne książątko z ciebie, dziecino. Czy ci to już ktoś powiedział?

- Nie... Ale ja poważnie mówię, że nie wpuszczać do jego łóżka...

- Książę! Wzór dżentelmena! Prymus! - powiedziałem. Ackley rzeczywiście był prymusem. - A może Spadkiem masz gdzieś kilka papierosów? Jeśli powiesz nie, padnę trupem.

- Kiedy naprawdę nie mam. Słuchaj, o co wyście się pobili?

Nie odpowiedziałem. Wstałem z podłogi i podszedłem do okna. Nagle poczułem się okropnie samotny. Prawie ze miałem ochotę umrzeć.

- No, o coście się pobili? - zapytał po raz nie wiem który Ackley. Nudzić to już on umiał jak nikt inny.

- O ciebie - rzekłem.

- Rany boskie! O mnie?

- Tak. Broniłem twojego honoru. Stradlater mówił, że masz podły charakter. Nie mogłem mu przecież tego puścić płazem.

To go naprawdę zaciekawiło.

- Tak mówił? Nie nabierasz mnie? Mówił to o mnie?

Powiedziałem mu wreszcie, że go zbujałem, i położyłem się na łóżku Ely'ego. Okropnie się źle czułem. Sam jak palec na świecie.

- Ten pokój cuchnie - powiedziałem. - Z daleka czuję nosem twoje skarpetki. Czy nie mógłbyś od czasu do czasu oddawać ich do pralni?

- Jeżeli ci się tutaj nie podoba, wiesz chyba, jaka na to rada - odparł Ackley. Dowcipny jak dziura w moście. - Może byś zgasił to cholerne światło.

Ale nie zgasiłem światła jeszcze przez dłuższą chwilę. Leżałem na łóżku Ely'ego i myślałem o Jane i o różnych rzeczach - Po prostu diabli mnie brali, kiedy wyobrażałem ją sobie obok Stradlatera w zaparkowanym gdzieś w kącie dochodzie tego grubego durnia - Eda

Banky. Ilekroć o tym myślałem, aż mnie podrywało, żeby wyskoczyć przez okno. Bo trzeba było znać Stradlatera - Ja go znałem. Większość chłopaków w „Pencey” - na przykład Ackley - lubiła tylko dużo gadać o swoich męski wyczynach z kobietami, ale Stradlater nie tylko gadał. Sam znałem dwie dziewczyny, które naprawdę przycisnął. Fakt.

- Opowiedz mi fascynującą historię twego życia dziecino - powiedziałem.

- A może byś w końcu zgasił to światło. Muszę rano wstać na mszę.

Wstałem, zgasiłem światło, skoro to mu było do szczęścia potrzebne. Wróciłem na łóżko Ely'ego.

- Czy ty naprawdę chcesz spać dzisiaj w tym łóżku? - spytał Ackley. Gościnny aż miło.

- Może tak. A może nie. Nie przejmuj się, Ackley.

- Ja się nie przejmuje. Tylko że byłoby okropnie nieprzyjemnie, gdyby Ely niespodziewanie wszedł i zastał kogoś w swoim łóżku...

- Uspokój się, dziecino. Nie zamierzam tu nocować. Nie chcę nadużywać twojej wzruszającej gościnności.

W parę minut później Ackley chrapał wniebogłosy, A ja leżałem wciąż w ciemnościach, usiłując nie myśleć o małej Jane i o Stradlaterze razem w tym przeklętym wozie Eda Banky. Ale nie udawało mi się nie myśleć.

Rzecz w tym, że znałem technikę Stradlatera. Właśnie to pogarszało sprawę. Kiedyś mieliśmy randkę w dwie pary w tym samym cholernym wozie Eda Banky; Stradlater ze swoją dziewczyną siedział na tylnym siedzeniu, a ja z moją na przednim. Miał drań technikę, ni ma co mówić. Zaczynał od tego, że czarował babkę tym swoim spokojnym, „szczerym” głosem - jak gdyby był nie tylko bardzo ładnym, ale także przyzwoitym „szczerym” chłopcem. Rzygać mi się chciało, kiedy tego słuchałem. Dziewczyna wciąż powtarzała: „Nie, proszę cię, nie. Proszę, proszę...” Ale Stradlater czarował dalej głosem takim uczciwym, że sam Abraham Lincoln nie miał uczciwszego, i w końcu zaległa w głębi samochodu przerażająca cisza. Było to naprawdę kłopotliwe. Nie przypuszczam, żeby tego wieczora posunął się do ostateczności, ale niewiele brakowało. Bardzo niewiele.

Kiedy tak leżałem, usiłując o tym nie myśleć, usłyszałem, że Stradlater wrócił z łazienki do naszego pokoju. - odgłosach i szmerach orientowałem się, że odkłada do szuflady swoje brudne przybory toaletowe, a potem otwiera okno. Miał bzika na punkcie wietrzenia. W chwilę później zgasił światło. Wcale się nie troszczył, gdzie ja się mogłem podziać.

Za oknami także było ponuro. Ruch samochodów ustał na ulicy. Czułem się taki osamotniony i rozbity, że przyszła mi ochota zbudzić chociaż Ackleya.

- Ackley! - szepnąłem, żeby Stradlater nie dosłyszał poprzez kabinę mego głosu. Ackley nie odpowiadał.

- Ackley! - powtórzyłem. Nic nie słyszał. Spał jak zabity. - Ackley!

Tym razem obudził się wreszcie.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - krzyknął. - Daj mi spać.

- Powiedz, jakie są warunki, jeśli ktoś chce wstąpić do klasztoru? - spytałem. Chodziła mi po głowie myśl, żeby się zamknąć w klasztorze. - Czy trzeba być katolikiem?

- Pewnie, że tak. Czy ty, kundlu jeden, po to mnie zbudziłeś, żeby zadawać takie głupie...

- Aaa, lulaj, lulaj. Nie wstąpię do klasztoru w żadnym wypadku. Przy moim pechu trafiłbym na pewno do niewłaściwego zgromadzenia. Między głupich łajdaków.

Ledwie to powiedziałem, Ackley aż zakipiał na łóżku.

- Słuchaj - rzekł. - Mów sobie, co chcesz, o mnie czy o wszystkich innych, ale jeżeli zaczynasz stroić żarty z mojej religii, to ja ci...

- Spocznij - powiedziałem. - Nikt nie stroi żartów z twojej religii.

Wstałem z łóżka Ely'ego i ruszyłem ku drzwiom. Miałem dość tego pokoju i tych głupich nastrojów. Po drodze jednak zatrzymałem się, chwyciłem dłoń Ackleya i uścisnąłem ją z całych sił, niby to serdecznie. Wyszarpnął rękę z mojego uścisku.

- Co ci znowu do głowy strzeliło? - krzyknął.

- Nic. Chciałem tylko podziękować ci, książę twoją szlachetność. To wszystko - powiedziałem zgrywając się na szczerość. - Jesteś nadzwyczajny, czyj wiesz o tym, dziecino?

- Och, ty mądralo. Jeszcze się kiedyś narwiesz...

Nie miałem zamiaru słuchać go dalej. Zamknąłem za sobą drzwi, wyszedłem na korytarz.

Koledzy albo spali, albo rozjechali się do domów na niedzielę, w korytarzu było bardzo, bardzo cicho i ponuro, Pod drzwiami pokoju, w którym mieszkali Leahy i Hoffman, leżało puste pudełko od pasty do zębów - „Kolynos”; kopałem je przed sobą aż do klatki schodowej, poszturchując pantoflem, bo miałem na nogach pantofle podszyte futerkiem. Przyszło mi na myśl, żeby zejść na dół i zajrzeć do Mała Brossarda. Nagle jednak zmieniłem zamiar, W jednej chwili, bez namysłu, postanowiłem zrobić coś zupełnie innego: zwiać z „Pencey” i to zaraz, nie zwlekając nawet do rana. Nie chciałem czekać środy i wyznaczonego terminu. Nie chciałem ani godziny dłużej tłuc się tutaj nie wiadomo po co. Było mi smutno i czułem się zanadto już samotny. Postanowiłem więc, że wynajmę sobie w Nowym Jorku pokój w hotelu, oczywiście w jakimś najskromniejszym hotelu, i przyczaję się do środy.

Potem w środę, zjawię się w domu wypoczęty i w dobrej formie. Kombinowałem, że rodzice nie dostaną chyba listu dyrka z zawiadomieniem, że mnie wylewa, wcześniej niż we wtorek, a może nawet dopiero w środę. Nie chciała spotkać się z nimi, dopóki nie dostaną tej nowiny i dopóki jej dobrze nie przetrawią. Wolałem nie być świadkiem pierwszego wrażenia. Matka w takich razach wybuchała histerycznie. Ale potem, jak już ochłonie, można się z nią jednak dogadać. Zresztą potrzebowałem czegoś w rodzaju wakacji. Nerwy miałem w proszku, fakt.

Słowem, taki sobie plan ułożyłem. Wróciłem do swego pokoju i zaświeciłem lampę, żeby się przygotować do drogi i pozbierać manatki. Część rzeczy już miałem spakowanych. Stradlater nawet się nie obudził. Zapaliłem papierosa, ubrałem się, zamknąłem obie moje walizki. Uporałem się z tym w ciągu paru minut. Umiem pakować błyskawicznie.

Ale przy pakowaniu pewien szczegół trochę mnie przygnębił. Musiałem wepchnąć do walizy nowiuteńkie łyżwy, które matka przysłała mi ledwie parę dni przedtem. To mnie zgnębiło. Jakbym widział moją matkę w sklepie u Spauldinga, bez zielonego pojęcia zadającą sto tysięcy pytań ekspedientowi - a tymczasem ja znowu wyleciałem ze szkoły. Zrobiło mi się naprawdę smutno. Spudłowała z tymi łyżwami, bo potrzebowałem wyścigowych, a przysłała hokejowe, ale i tak było mi bardzo smutno. Prawie zawsze z prezentów, które dostaję, wynika w końcu jakiś smutek.

Skończyłem z pakowaniem i przeliczyłem gotówkę. Dokładnie nie pamiętam, ile miałem, w każdym razie kabza była dość wypchana. Właśnie przed tygodniem babka przysłała mi forsę. Babka ma szeroki gest i sypie groszem chętnie. Paru klepek już jej co prawda brakuje, ma chyba ze sto lat, więc przysyła mi pieniądze jako prezent urodzinowy co najmniej cztery razy do roku. Ale chociaż kabza była niezgorzej nabita, doszedłem do wniosku, że nie zawadzi mieć jeszcze więcej. Na wszelki wypadek. Poszedłem więc na parter, zbudziłem Fryderyka Woodruffa, kolesia, który ode mnie pożyczył maszynę do pisania, i spytałem, ile by za nią dał - Chłopak był zamożny. Odpowiedział, że nie ma pojęcia i że wcale się nie pali do kupna. W końcu jednak kupił ją. W sklep taka maszyna kosztuje dziewięćdziesiąt dolarów, Woodruff nie chciał dać więcej niż dwadzieścia. Był zły, że go obudziłem.

Kiedy już byłem gotów do drogi, z walizami i całym kramem zatrzymałem się na chwilę w pobliżu schodów i po raz ostatni popatrzyłem na ten korytarz. Prawie że płakałem. Nie wiem, dlaczego. Włożyłem czerwoną dżokejkę, tak jak lubiłem - daszkiem do tyłu - i wrzasnąłem ile sił w płucach: „Dobranoc, kretyny!” Założę się, że zbudziłem wszystkich chłopaków na całym piętrze. Potem dopiero puściłem się pędem w dół. Jakiś idiota porozsypywał na schodach łupiny od orzechów, o mało nie skręciłem karku.

8.

Za późno było, żeby telefonować po taksówkę, przeszedłem więc pieszo całą drogę aż do dworca. Nie bardzo daleko, ale ziąb dokuczał jak diabli, grzęzłem w śniegu, a walizy obtłukiwały mi nogi bez miłosierdzia. Mimo to przyjemnie było oddychać świeżym powietrzem i w ogóle iść tak przed siebie. Psuło przyjemność tylko to, że na zimnie rozbolał mnie nos i to miejsce pod górną wargą, w które Stradlater dał mi blachę. Rozdusił wargę na zębach, bolało nielicho. Za to w uszy było mi rozkosznie ciepło. Nowa czapka miała nauszniki, które spuściłem, bo nie zależało mi chwilowo na elegancji. Zresztą psa z kulawą nogą nie było na ulicach. Wszyscy poszli spać.

Miałem szczęście, bo kiedy doszedłem na dworzec, okazało się, że na pociąg nie poczekam dłużej niż dziesięć minut. Tymczasem zdążyłem chwycić garść śniegu i umyłem nim sobie twarz. Wciąż jeszcze byłem trochę zakrwawiony.

Na ogół lubię jeździć koleją, zwłaszcza nocą, kiedy w wagonie palą się światła, za oknami stoją ciemności, a po korytarzu kręci się facet roznoszący kawę, sandwicze czasopisma. Zwykle kupuję kanapkę z szynką i ze cztery ilustrowane pisma. W nocy i w pociągu mogę czytać nawet idiotyczne historyjki drukowane w magazynach i nie mdli mnie od nich. - Wiecie, o czym mówię. Zakłamane opowiadanka, w których występuje bohater o kościstej szczęce, imieniem Dawid, dziewczyny z nieprawdziwego zdarzenia, różne Lindy albo Marcje, nieodmiennie podające temu idiocie Dawidowi ogień do fajki. Tak, nocą i w wagonie trawię nawet te idiotyzmy. Ale tym razem było inaczej. Nie miałem ochoty na lekturę. Siedziałem po prostu i palcem kiwnąć mi się nie chciało. Tyle tylko, że zdjąłem czapkę i schowałem ją w kieszeni.

Nagle, w Trenton, wsiadła jakaś pani i zajęła miejsce obok mnie. Właściwie cały wagon był pusty, jak bywa o tak późnej porze, ale ona, zamiast wybrać pusty przedział, siadła przy mnie, pewnie dlatego, że miała ciężką walizę, więc wolała nie taszczyć jej dalej. Postawiła walizkę na środku drogi, w samym przejściu, gdzie konduktor czy ktoś z pasażerów mógłby się o nią potknąć. Miała w butonierce orchideę, jakby wracała z jakiegoś wielkiego przyjęcia. Wyglądała na czterdzieści, może czterdzieści pięć lat, ale była bardzo przystojna. Kobiety zawsze robią na mnie wrażenie. Fakt. Nie żebym miał jakieś seksualne obsesje, chociaż w miarę mnie te rzeczy, owszem, interesują. Po prostu lubię kobiety. Chociaż zawsze stawiają walizy na środku drogi.

No więc siedzieliśmy obok siebie, aż niespodzianie mnie zagadnęła:

- Przepraszam, jeśli się nie mylę, to jest nalepka „Pencey”, prawda?

Pokazywała nalepkę na moich walizach, które wtaszczyłem na bagażnik.

- Tak, proszę pani.

Nie myliła się, na jednej z waliz zostawiłem nalepkę szkolną. Głupio z mojej strony, przyznaję.

- Ach, więc pan jest uczniem „Pencey”? - powiedziała. Miała przyjemny głos. Zwłaszcza przez telefon brzmiałby świetnie. Powinna by nosić przy sobie telefon.

- Tak, proszę pani.

- Jakie miłe spotkanie. W takim razie pewnie pan zna mojego syna. Ernest Morrow. Jest także w „Pencey”.

- Owszem, znam. Kolega z tej samej klasy.

Jej syn był bez wątpienia najgorszym łobuzem, jakiego ta buda widziała w ciągu całej swej ciemnej historii. Po wzięciu natrysku miał zwyczaj spacerować w korytarzu i mokrym ręcznikiem kropił każdego napotkanego kolegę po tyłku. No, to już wiecie, co za typ.

- O, jak to się miło składa! - ucieszyła się ta pani. Ale nie powiedziała tego głupio. Raczej dość sympatycznie. - Muszę opowiedzieć Ernestowi o naszym spotkaniu. A czy wolno spytać, jak pan się nazywa?

- Rudolf Schmidt - odparłem. Nie miałem ochoty zwierzać jej dziejów mego życia. Rudolf Schmidt nazywał się portier w naszym skrzydle mieszkalnym.

- Lubi pan szkołę? - zapytała.

- Szkołę? No, niezła buda. Raju tam oczywiście nie ma, ale nie jest gorzej niż gdzie indziej. Poziom niektórych przedmiotów jest naprawdę wysoki.

- Ernest uwielbia swoją szkołę.

- Tak. Wiem - powiedziałem, i nakręciłem znaną płytę: - Ernest doskonale przystosowuje się do warunków. Naprawdę wyjątkowo dobrze. Umie się znakomicie Przystosować.

- Tak pan myśli? - spytała. Najwyraźniej bardzo się tym zainteresowała.

- Ernest? Na pewno - powiedziałem. Przyglądałem się jej, bo właśnie zdjęła rękawiczki. Rany boskie, aż oczy bolały od świecideł.

- Złamałam paznokieć przy wysiadaniu z auta - powiedziała. Spojrzała na mnie uśmiechnęła się. Miała szalenie miły uśmiech. Bez żartów. Większość ludzi albo się wcale nie uśmiecha, albo głupio. - Czasem niepokoimy się o Ernesta, jego ojciec i ja. Czasem zdaje nam się że on nie bardzo umie żyć z ludźmi.

- Jak to?

- No, jest niezwykle wrażliwy. Nigdy się nie czuł zbyt dobrze między innymi chłopcami. Może zanadto poważnie jak na swój wiek traktuje życie.

Wrażliwy! Skonać można. Przecież ten byk Morrov, nie miał w sobie więcej wrażliwości niż deska klozetowa.

Przyjrzałem się matce Ernesta dokładniej. Wcale m nie wyglądała na idiotkę. Na oko sądząc, powinna by zdawać sobie sprawę, jaki z jej synalka numer. Ale nigdy nic nie wiadomo. To znaczy: nic nie wiadomo, kiedy się ma do czynienia z matkami. Wszystkie matki mają lekkiego bzika. Poza tym matka Ernesta wydawała mi się naprawdę bardzo miła. Zupełnie do rzeczy.

- Może pani zapali? - spytałem. Rozejrzała się wkoło.

- To, zdaje się, wagon dla niepalących, panie Rudolfie - odparła.

Panie Rudolfie! Skonać można.

- Nie szkodzi - powiedziałem. - Możemy palie póki ktoś nie zacznie krzyczeć.

Wzięła ode mnie papierosa, podałem jej ogień. Ładnie wyglądała z papierosem. Zaciągała się, owszem ale nie pochłaniała łapczywie dymu jak większość kobiet w jej wieku. Miała masę wdzięku. Jeżeli mam być zupełnie szczery, miała też masę tego, co się nazywa sex appeal. Przypatrywała mi się jakoś dziwnie.

- Może się mylę, ale coś mi się zdaje, że krew ci idzie, kochanie, z nosa - powiedziała niespodzianie.

Skinąłem głową i wyciągnąłem chustkę z kieszeń.

- Dostałem kulą śniegową - wyjaśniłem. Trafiła się twarda, zlodowaciała. - Może bym się jej przyznał co się naprawdę zdarzyło, ale opowiadanie trwałoby za długo. Bo rzeczywiście czułem do niej sympatię. Nawet trochę mi było przykro, że się przedstawiłem jako Rudolf Schmidt. - Pani syn Ernie - powiedziałem - to jeden najbardziej lubianych chłopców w „Pencey". Czy pani o tym wie?

- Nie, nie wiedziałam.

Pokiwałem głową.

- Trzeba sporo czasu, żeby go naprawdę poznać. To dziwny chłopak. Niezwykły pod wieloma względami, rozumie mnie pani? Na przykład ja, kiedy się z nim pierwszy raz zetknąłem, pomyliłem się co do niego. Zdawało mi się na początku, że to snob. Tak myślałem. Ale to nieprawda. Po prostu bardzo oryginalny charakter, którego nie można tak prędko rozgryźć.

Pani Morrow nic nie odpowiedziała, ale żebyście ją zobaczyli! Siedziała jak przymurowana do miejsca. Z matkami tak zawsze, każdą najlepiej zabawisz wychwalając jej synala, że to as nad asami. No, wtedy już puściłem starą płytę na pełne obroty.

- Czy Ernie mówił pani o wyborach? - zapytałem. - o wyborach w naszej klasie?

Potrząsnęła przecząco głową. Wprawiłem ją w istny trans. Fakt.

- Widzi pani, spora paczka chłopców chciała koniecznie wybrać Ernesta na przewodniczącego klasy. Mógł być wybrany jednogłośnie. Bo z wszystkich kolegów on jeden naprawdę nadawał się i najlepiej by dał wszystkiemu radę - powiedziałem. Rozpędziłem się już na całego. - Ale w końcu wybrany został ktoś inny, Harry Fencer. A powód? Prosty i wiadomy: Ernie nie zgodził się żebyśmy wysunęli jego kandydaturę. Taki jest nieśmiały i skromny, i w ogóle taki inny. Odmówił - Słowo daję, okropnie nieśmiały. Pani powinna wpłynąć na niego, żeby to w sobie przełamał. - Spojrzałem na nią. - Czy nic o tym pani nie wspominał?

- Ani słowa.

Pokiwałem głową.

- Jakbym widział Ernesta. On właśnie jest taki. Jedyna jego wada to nieśmiałość, zbytnia skromność. Naprawdę, dobrze by było, gdyby pani mogła go przekonać, że nie powinien z tym przesadzać.* W tym momencie zjawił się konduktor sprawdzić bilety i dzięki temu mogłem wreszcie zakończyć przedstawienie. Ale byłem rad, że jej tę gadkę zasunąłem. Wyobraźcie sobie chłopaka tego typu co Ernie Morrow, który ma zwyczaj trzepać kolegów po tyłkach mokrym ręcznikiem, a robi to naprawdę boleśnie i wcale nie przypadkiem. Tacy nie tylko w dzieciństwie są chuliganami. Nie wyrastają z tego do śmierci. Założę się jednak, że po tych wszystkich bredniach, których jej nagadałem, pani Morrow uważa teraz synala za nieśmiałego chłopaka, tak skromnego, że nie chciał nawet zostać przewodniczącym klasy. Zdaje się, że w to uwierzyła. Nigdy nic na pewno nie wiadomo. Matki w tego rodzaju sprawach nie są zbyt sprytne.

- Może pani ma ochotę na cocktail? - spytałem. Sam miałem do tego melodię. - Poszlibyśmy do wagonu restauracyjnego. Dobrze?

- Ależ, kochanie, czy panu wolno zamawiać w restauracji alkohol? - powiedziała. Ale nie brzmiało to jak morały. Była o wiele za ładna i zanadto miła. żeby prawić morały.

- No, właściwie nie, ale zwykle podają mi, bo jestem taki wysoki - odparłem. - i w dodatku mam kilka siwych włosów. - Obróciłem głowę, żeby jej pokazać moje siwe włosy. Szalenie się zdziwiła. - Niech pani pójdzie ze mną, bardzo proszę - powiedziałem. Byłoby mi strasznie przyjemnie wypić cocktail w jej towarzystwie.

- Nie, doprawdy myślę, że lepiej będzie, jeżeli nie pójdę. Ale bardzo dziękuję za zaproszenie - rzekła. - Zresztą wagon restauracyjny pewnie już zamknięty. Przecież to noc!

Miała słuszność. Zapomniałem, że jest tak późno. Znów popatrzyła na mnie i zadała to pytanie, którego się najbardziej obawiałem.

- Ernie pisał, że przyjedzie do domu w środę, że w środę dopiero zaczynają się ferie gwiazdkowe - powiedziała. - Mam nadzieję, że pana nie wezwano do domu wcześniej z powodu jakiejś choroby w rodzinie?

Pytała ze szczerym zaniepokojeniem. Czuło się, że to nie jest zwykłe wścibstwo.

- Nie, w domu wszystko w porządku - odparłem. - To raczej o mnie chodzi. Czeka mnie operacja.

- Ach, jakże mi przykro! - zawołała. Naprawdę zmartwiła się o mnie. Mnie też było przykro, że ją nabrałem, ale już nie miałem odwrotu.

- Nic poważnego, proszę pani. Tylko mały guz na mózgu.

- Ach!

Odruchowo podniosła rękę do ust, taka była przerażona.

- Wszystko będzie dobrze. Guz jest tuż pod czaszką. I zupełnie niewielki. Wytną go w ciągu dwóch minut.

Wyciągnąłem z kieszeni rozkład jazdy i zacząłem go studiować. Po prostu, żeby przerwać potok kłamstw. Bo jak raz się rozpędzę, mogę bujać godzinami, oczywiście Jeżeli jestem w nastroju. Słowo daję. Godzinami.

Potem już niewiele rozmawialiśmy. Ona czytała „Vogue", a ja patrzyłem długi czas w okno. W Newark osiadła. Na pożegnanie życzyła mi szczęścia, pomyślnego wyniku operacji i wszystkiego najlepszego w ogóle.

Nazywała mnie w dalszym ciągu Rudolfem. Zaprosiła mnie też, żebym latem odwiedził Ernesta w Gloucester, w Massachusetts. Mówiła, że mają tam dom tuż nad plażą, kort tenisowy i tak dalej. Podziękowałem grzecznie, ale powiedziałem, że w lecie będę podróżował z moją babką po Ameryce Południowej. To już była bujda nie z tej ziemi, bo moja babcia prawie się nie rusza z domu, chyba że czasem na jakiś przedpołudniowy koncert czy coś w tym rodzaju. Ale tego drania Morrowa nie odwiedziłbym przecież za żadne skarby świata, nawet gdybym miał nóż na gardle.

9.

Wysiadłem na Penn Station i przede wszystkim poszedłem do budki telefonicznej. Miałem ochotę zadzwonić do kogoś. Walizy postawiłem tuż pod drzwiami, żeby mieć je na oku, kiedy jednak znalazłem się w kabinie, ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć żadnej osoby, do której bym mógł zatelefonować. Mój brat - D.B. - był w Hollywood. Mała siostrzyczka, Phoebe, o dziewiątej leży już zawsze w łóżku, do niej więc nie było po co dzwonić. Phoebe co prawda nie gniewałaby się, nawet gdybym ją ze snu zbudził, ale sęk w tym, że nie ona odebrałaby telefon. Zgłosiliby się na pewno rodzice. Ten numer musiałem skreślić z programu. Z kolei pomyślałem o matce Jane Gallagher; zapytałbym ją, kiedy Jane rozpoczyna ferie. Ale jakoś mi to nie grało. Zresztą nie wypadało telefonować o tak późnej porze. Potem zastanawiałem się, czyby nie zadzwonić do Sally Hayes - znajomej, z którą dosyć często widywałem się w Nowym Jorku - bo wiedziałem, że w jej szkole wakacje już się zaczęły; napisała do mnie długi i fałszywy list zapraszając, żebym przyszedł w Wigilię pomóc jej ubierać choinkę i tak dalej. Bałem się jednak, że telefon odbierze jej matka, i wyobrażałem sobie, jak by na złamanie karku zawiadomiła moją matkę, że jestem w Nowym Jorku. A nawet i bez tego nie paliłem się do rozmówek z panią Hayes. Powiedziała kiedyś swojej Sally, że jestem narwany. Tak powiedziała: narwany i nie wie, czego od życia chce. Przyszło mi wreszcie do głowy, że mógłbym zatelefonować do pewnego chłopaka, który kolegował ze mną w szkole w Whooton i nazywał się Carl Luce. Ale w gruncie rzeczy, nie bardzo go lubiłem. W końcu więc do nikogo nie zadzwoniłem. Wyszedłem z budki telefonicznej po dwudziestu minutach czy coś około tego, zabrałem walizy, polazłem do tunelu, gdzie stoją taksówki, i wsiadłem do jednej z nich.

Taki byłem cholernie roztargniony, że podałem kierowcy adres rodziców, po prostu z przyzwyczajenia, odruchowo; na śmierć zapomniałem, że chcę na parę dni przyczaić się w jakimś hotelu i nie pokazywać nosa w domu, póki nie zaczną się ferie szkolne. Opamiętałem się dopiero wtedy, kiedy już byliśmy w połowie drogi przez park. Powiedziałem do kierowcy:

- Proszę zawrócić, jak tylko będzie można. Pomyliłem się w adresie. Chciałbym wrócić do śródmieścia.

Kierowca zaczął się mądrzyć.

- Tu nie wolno zakręcać. Ruch jednokierunkowy. Będę musiał chyba objeżdżać przez Dziewięćdziesiątą Ulicę.

Nie chciałem się z nim spierać.

- Dobra - powiedziałem. Nagle coś mi się przypomniało: - Ej, słuchaj pan. Pewnie pan zna te kaczki na lagunie w południowej części parku. Co? Kaczki z tego jeziorka? Może pan przypadkiem wie, gdzie się podziewają, kiedy woda zamarza? Nie wie pan tego przypadkiem?

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że mam jedną szansę na milion, żeby trafić na szofera, który by to wiedział. Obejrzał się na mnie, popatrzył jak na wariata.

- O co chodzi? - spytał. - Balona pan ze mnie robisz czy jak?

- Nie, skąd znowu. Po prostu jestem ciekawy. Nic więcej.

Zamilkł, więc ja się też nie odzywałem. Wreszcie skręciliśmy z parku w Dziewięćdziesiątą Ulicę. Wówczas szofer spytał:

- No i co dalej? Gdzie lecimy?

- Widzi pan, nie chcę zatrzymywać się w żadnym hotelu w East Side, bo tam mógłbym wpaść na znajomych, a podróżuję incognito - powiedziałem. Nie cierpię takiej dętej gadki, jak „podróżuję incognito". Ale kiedy mam do czynienia z bęcwałami, zawsze im takie wyrażonka funduję. - Może pan wie, która orkiestra gra teraz u Tafta albo w „New Yorker"?

- Pojęcia nie mam.

- No to niech mnie pan wiezie do hotelu „Edmont" - zdecydowałem. - A może zechciałby pan po drodze wstąpić razem ze mną na cocktail? Stawiam. Mam forsy jak lodu.

- Tego mi nie wolno. Dziękuję - odparł. Stanowczo był za dobrze wychowany. Taksiarz bez skazy.

Zajechaliśmy przed hotel „Edmont" i zgłosiłem się w recepcji. W taksówce włożyłem swoją czerwoną czapkę na głowę, po prostu dla zabawy, ale zdjąłem ją, nim wszedłem do hallu, żeby nie wyglądać na wariata czy coś w tym rodzaju. Trafiłem kulą w płot, bo nie wiedziałem, że w tym zapowietrzonym hotelu roi się od rozmaitych zboczeńców i kretynów. Sami wariaci.

Dali mi obskurny pokój, z okna nie było widać nic prócz drugiej ściany hotelu. Ale było mi wszystko jedno. Zanadto byłem przygnębiony, żeby dbać o piękne widoki. Posługacz, który mnie zaprowadził do numeru, miał chyba ze sześćdziesiąt pięć lat, wydał mi się okropnie stary. Podziałał na mnie Jeszcze bardziej przygnębiająco niż ten obskurny pokój. Jeden z tych łysków, co to zaczesują ostatni kosmyk włosów w poprzek głowy, żeby zasłonić łysinę. Już wolałbym świecić gołą czaszką niż robić takie sztuki. No, a przy tym piękne zajęcie dla sześćdziesięciopięcioletniego staruszka. Nosić za gośćmi walizy i czekać z wyciągniętą łapą na napiwek. Przypuszczam, że musiał być mało inteligentny czy coś takiego, ale w każdym razie wydało mi się to straszne.

Kiedy sobie poszedł, nie zdejmując palta stanąłem w oknie i patrzyłem przez niedługą chwilę. Nic innego nie miałem do roboty. Oko by wam zbielało, żebyście widzieli, co się działo naprzeciwko, w drugim skrzydle hotelu. Ci wariaci nawet nie raczyli spuszczać żaluzji w oknach. Najpierw zobaczyłem siwego starszego pana, bardzo dystyngowanego, w samych gaciach; nie do wiary, co on wyprawiał. Przede wszystkim postawił walizę na łóżku, potem wyciągnął z niej damska bieliznę i suknię i wszystko to powkładał na siebie. Prawdziwe damskie fatałaszki: jedwabne pończochy, pantofle na wysokich obcasach, biusthalter, pas elastyczny z wszelkimi szykanami i wiszącymi podwiązkami w komplecie. Na to włożył okropnie obcisłą czarną jedwabną suknię. Przysięgam Bogu. Tak wystrojony zaczął spacerować po pokoju z kąta w kąt, drobiąc kroczki jak kobieta, ćmiąc papierosa i mizdrząc się przed lustrem. W dodatku był sam w pokoju. Chyba że ktoś siedział w łazience - tego nie mogłem sprawdzić. W innym oknie, niemal wprost nad numerem tego starszego pana, zobaczyłem parę: mężczyznę i kobietę, którzy na siebie wzajemnie prychali z ust wodą. Możliwe, że to nie była woda, ale whisky z wodą, nie wiem, co tam mieli w szklankach. W każdym razie, to on brał do ust łyk tego płynu i prychał na nią, to znów ona mu się odwzajemniała, i tak opluwali się po kolei, słowo daję. Żałuję, żeście tej zabawy nie widzieli. Oboje zanosili się nieustannie od śmiechu, jakby nikt w świecie nie mógł wymyślić lepszego dowcipu. Bez blagi, ten hotel roił się od zboczeńców. Byłem chyba w całym gmachu jedynym normalnym gościem - a to niezbyt dobrze świadczy o reszcie. Miałem ochotę wysłać telegram do Stradlatera i sprowadzić go pierwszym pociągiem do Nowego Jorku, Byłby królem w tym hotelu.

Najgorsze, że widowisko tego rodzaju, choćbyś nie chciał, działa na ciebie fascynująco. Na przykład ta dziewczyna, która pozwalała sobie obryzgiwać w ten sposób twarz, była bardzo ładna. To właśnie najbardziej mnie niepokoi. W myślach jestem chyba najgorszym maniakiem seksualnym, jakiego ziemia nosi. Czasem przychodzą mi do głowy okropnie plugawe pomysły i zdaje mi się, że wprowadziłbym je chętnie w czyn, gdyby się zdarzyła sposobność. Nawet wyobrażam sobie, że mogłaby to być na swój plugawy sposób wspaniała zabawa, gdybyśmy oboje byli pijani i tak dalej i gdybym mógł bryzgać z ust wodą czy innym trunkiem w twarz dziewczynie. Ale w gruncie rzeczy ten pomysł mi się nie podoba. Jeżeli się nad nim zastanowić - świństwo. Uważam, że jeśli się nie lubi naprawdę dziewczyny, nie trzeba w ogóle z nią zaczynać zabawy, a jeśli się ją lubi, no, to chyba lubi się też jej twarz, a jak się lubi czyjąś twarz, to trzeba się z nią obchodzić delikatnie, nie można opluwać jej wodą czy wódką. Myślę nieraz, że to jest bardzo źle, że niektóre rzeczy są zarazem plugawe i szalenie zabawne. A dziewczęta niewiele pomagają, kiedy się człowiek

stara hamować, żeby nie zrobić nic zanadto obrzydliwego, i nie chciałby popsuć czegoś, co jest naprawdę ładne. Znałem parę lat temu pewną dziewczynę o wiele gorszą jeszcze pod tym względem ode mnie. Ależ była rozwydrzona! Mimo wszystko przez jakiś czas bawiło mnie to szalenie, chociaż przyznaję, że przyjemność była plugawej odmiany. Niektórych spraw seksu nie mogę zrozumieć. Sam człowiek nie wie, co się w nim dzieje. Stale ustanawiam sobie w tych rzeczach pewne prawa i zawsze je łamię bardzo prędko. W zeszłym roku postanowiłem, że nie będę się wdawał w poufałości z tymi dziewczętami, którymi w głębi serca brzydzę się tak, że mi się rzygać chce. No i nie czekałem nawet tygodnia, tego samego wieczora złamałem postanowienie. Całą noc spędziłem na całowaniu i obmacywaniu okropnej idiotki, niejakiej Anny Luizy Sherman. Seks to coś, czego pojąć nie mogę, przysięgam Bogu, że nie pojmuję.

Kiedy tak stałem w oknie hotelu, zaczęła mi po głowie chodzić myśl, żeby zadzwonić do Jane przez międzymiastową, do B.M., gdzie była w internacie, zamiast telefonować do jej domu i pytać jej matki, kiedy Jane przyjedzie do Nowego Jorku. Co prawda nie było w zwyczaju ściągać uczennic do telefonu w nocy, ale wykombinowałem, jak to zrobię. Zamierzałem przedstawić się jako wuj panny Jane Gallagher i powiedzieć osobie, która przyjmie telefon, że muszę dziewczynę zawiadomić o śmierci ciotki, zabitej w katastrofie samochodowej i dlatego muszę z nią mówić natychmiast. Taki numer na pewno by przeszedł. Jeżeli tego nie zrobiłem, to tylko dlatego, że nie miałem nastroju. Jak człowiek nie jest w nastroju, żadna taka sztuka mu się nie udaje.

Siadłem w fotelu i wypaliłem kilka papierosów. Czułem się okropnie głupio. Przyznaję, było mi głupio. Ni z tego, ni z owego wpadłem na pewną myśl. Wydobyłem portfel i zacząłem szukać adresu, który dostałem od jednego chłopaka, studenta w Princeton, poznanego na jakiejś zabawie zeszłego lata. Wreszcie znalazłem. Ledwie mogłem coś odczytać, tak się kartka sponiewierała w portfelu, w końcu jednak odcyfrowałem adres. Chodziło o dziewczynę, która nie była tak całkiem kurwą, ale od czasu do czasu dawała się na to i owo namówić - tak przynajmniej zapewniał mnie ten chłopak z Princeton. Kiedyś wprowadził ją na zabawę taneczną w Princeton i omal go za to nie wylali. Występowała podobno w jakiejś burlesce i rozbierała się na scenie do rosołu, czy coś w tym rodzaju. W każdym razie złapałem za telefon i zadzwoniłem do niej. Nazywała się Faith Cavendish, a mieszkała na rogu Broadwayu i Sześćdziesiątej Piątej Ulicy w hotelu „Stanford Arms". Na pewna nielicha spelunka.

Już myślałem, że nie zastałem jej w domu, bo długo nikt się nie odzywał. Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo! - powiedziałem. Starałem się mówić bardzo grubym głosem, żeby nie poznała, że jestem taki młody. Zresztą głos mam naprawdę dość męski.

- Halo! - odpowiedział głos kobiecy. Ale wcale nie zanadto przyjazny.

- Czy to panna Faith Cavendish?

- A kto mówi? - spytała. - Kto telefonuje o takiej zwariowanej godzinie?

Trochę mnie to speszyło.

- Rzeczywiście, trochę późno - powiedziałem jak najdoroślejszym głosem. - Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, bardzo mi zależało na porozumieniu się z panią jeszcze dzisiaj.

Słodki byłem jak miód. Umiem gadać cholernie słodko.

- Kto mówi?

- Pani mnie osobiście nie zna, ale jestem przyjacielem Eda Birdsella. Właśnie Eddie zaproponował, żebym do pani zadzwonił, jak będę w mieście, to się może razem wybierzemy gdzieś na jakiś cocktail.

- Kto zaproponował? Czyim przyjacielem pan jest?

Słowo daję, wściekała się w telefon jak tygrysica. Prawie że ryczała na mnie.

- Edmund Birdsell, Eddie - powiedziałem. Nie byłem pewien, czy on miał na imię Edmund czy Edward. Raz w życiu go tylko spotkałem na jakiejś głupiej zabawie.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku, mój panie. A jeżeli pan myśli, że mnie bawi zrywanie się ze snu po nocy...

- Eddie Birdsell. Z Princeton - powiedziałem.

Chwila milczenia. Jakbym ja widział, na pewno usiłowała odszukać zgubę w pamięci.

- Birdsell, Birdsell... Z Princeton, mówił pan? Z Uniwersytetu Princeton?

- Właśnie - powiedziałem.

- Pan także studiuje w Princeton?

- Coś w tym rodzaju.

- Aha... Jak się miewa Eddie? - spytała. - Ale pora rzeczywiście dość dziwna na telefony. Chryste Panie!

- Eddie zdrów. Polecił przekazać pani ukłony.

- Dziękuję. Nawzajem. Wspaniały chłopak. Co teraz porabia? - Nagle zrobiła się bardzo uprzejma.

- No, wie pani, po staremu - odrzekłem. Skąd, u diabła, miałem wiedzieć, co porabia Eddie. Na dobrą sprawę wcale chłopaka nie znałem. Nie wiedziałem nawet, czy jeszcze wciąż jest w Princeton. - Proszę pani - zagaiłem - może by pani zechciała spotkać się ze mną, wypilibyśmy razem jakiś cocktail tu czy tam.

- Czy pan naprawdę nie pamięta, która jest godzina? - odparła. - A w ogóle, jak pan się nazywa, jeśli wolno zapytać. - Niespodzianie zaczęła teraz mówić angielskim akcentem. - Sądząc z głosu musi pan być z tych młodszych.

Roześmiałem się.

- Dziękuję za komplement - powiedziałem salonowym tonem. - Nazywam się Holden Caulfield.

Ugryzłem się w język poniewczasie - powinienem był podać fałszywe nazwisko.

- Niechże się pan dowie zatem, panie Cawffie, że nie mam zwyczaju umawiać się w nocy na randki. Pracuję przecież.

- Jutro niedziela - zauważyłem.

- Niedziela czy poniedziałek, brak snu szkodzi na urodę. Chyba pan wie, jak to jest.

- Myślałem, że może jeden cocktail zdążylibyśmy wypić. Nie jest jeszcze wcale tak późno.

- Pan jest rzeczywiście szalenie miły - powiedziała. - Skąd pan dzwoni? Gdzie pan jest w tej chwili?

- Ja? Dzwonię z automatu.

- Ach, tak! - Długą chwilę milczała. - Doprawdy, bardzo chętnie kiedyś się z panem spotkam, panie Crawffie. Głos ma pan bardzo sympatyczny. Ale dzisiaj już za późno.

- Mógłbym przyjść do pani.

- Innym razem odpowiedziałabym: świetna myśl. Byłoby mi strasznie przyjemnie zaprosić pana na cocktail. Tylko że właśnie koleżanka, która ze mną mieszka, zachorowała. Leży tu biedaczka i od paru godzin oka zmrużyć nie mogła. Dopiero przed chwilą nareszcie się trochę zdrzemnęła.

- To pech rzeczywiście.

- Gdzie pan mieszka? Może jutro moglibyśmy wybrać się na ten cocktail?

- Jutro nie mogę - odrzekłem. - Dziś był dla mnie jedyny możliwy wieczór.

Znów palnąłem głupstwo. Nie trzeba było tego mówić.

- No to cóż... Bardzo żałuję.

- Pozdrowię od pani Eda.

- Koniecznie! Życzę panu dobrej zabawy w Nowym Jorku. Pierwszorzędne miasteczko.

- Wiem, wiem. Dziękuję. Dobranoc.

Położyłem słuchawkę. Sfaulowałem ten strzał fatalnie. Gdybym przynajmniej na cocktail ją namówił, jeśli nie na coś więcej!

10.

Było właściwie jeszcze dosyć wcześnie. Dokładnie nie pamiętam, która była godzina, ale niezbyt późna. Nie cierpię kłaść się do łóżka, jeżeli nie czuję się wcale senny ani zmęczony. Otworzyłem więc walizy, wyciągnąłem czystą bieliznę, poszedłem do łazienki, umyłem się i zmieniłem koszulę. Pomyślałem sobie, że warto by zejść na dół do Sali Lawendowej i zobaczyć, co tam się dzieje. W tym hotelu był nocny dansing właśnie w tej sali.

Kiedy zmieniałem koszulę, znowu mnie ogarnęła ochota, żeby mimo wszystko zadzwonić do małej Phoebe - mojej siostry. Okropnie korciło mnie, żeby z nią pogadać przez telefon. Nareszcie pogadać z kimś rozsądnym. Ale nie mogłem tego zaryzykować. Phoebe to jeszcze dzieciak, o tej porze od dawna już spała, a w każdym razie na pewno nie było jej w pobliżu telefonu. Zastanawiałem się, czyby jednak nie spróbować: gdyby się odezwał ojciec albo matka - mógłbym położyć słuchawkę; w końcu zrezygnowałem, bo nie widziałem żadnych szans. Domyśliliby się, że to ja, nawet gdybym słowa nie powiedział. Matka zawsze mnie poznaje. Ma nadzwyczajną intuicję. Szkoda, miałem wielką ochotę pogadać chociaż przez chwilę z Phoebe.

Żałujcie, że jej nie znacie. W życiu nie spotkaliście równie ładnej i mądrej małej dziewczynki. Naprawdę jest inteligentna. Odkąd chodzi do szkoły, zbiera same najlepsze stopnie. Szczerze mówiąc, ja jeden nie udałem się w rodzinie. Starszy mój brat - D.B. - jest pisarzem i w ogóle błyszczy; Alik, ten, który umarł, jak wam już wspominałem - był nadzwyczajny. Tylko ja się nie udałem. Popatrzyć na małą Phoebe także warto. Ma włosy rude, mniej więcej takie, jakie miał Alik, w lecie bardzo krótkie. Bo latem zakłada je za uszy. Uszy ma ładne, malutkie. Na zimę zapuszcza włosy. Czasem matka splata je w warkoczyki, czasem nie. Z warkoczykami Phoebe wygląda bardzo milutko. Ledwie skończyła dziesięć lat. Jest chuda jak ja, ale jej chudość nie wydaje się brzydka. Rusza się zwinnie jak na wrotkach. Przyglądałem jej się kiedyś, jak przebiegała Fifth Avenue w drodze do parku, i wtedy właśnie zauważyłem, że ma szczupłą sylwetkę i ruchy wrotkarza. Spodobałaby się wam na pewno. Najważniejsze, że zawsze od razu świetnie rozumie, o co chodzi, kiedy się z nią rozmawia. Można ja wszędzie wziąć ze sobą. Na przykład jeżeli ją zaprowadzić na głupi film, poznaje się na głupocie filmu. A jeżeli ją zaprowadzić na dobry film - Phoebe wie, że film jest dobry. Kiedyś razem z D.B. wzięliśmy ją na francuski film „Żona piekarza”; grał Raimu. Phoebe szalała z zachwytu. Ale najbardziej polubiła „Trzydzieści dziewięć stopni” z Robertem

Denatem. Nauczyła się całego scenariusza na pamięć, bo była na tym razem ze mą co najmniej dziesięć razy. Na przykład kiedy Donat uciekając przed policją wchodzi do domu szkockiego chłopa, Phoebe na cały głos i jednocześnie z tym Szkotem mówi: „Jadasz śledzie?" Cały dialog umie jak pacierz. A zanim profesor z tego filmu - ten, co to się potem okazuje niemieckim szpiegiem - podniesie mały palec, w którym brak środkowego kawałka, Phoebe w ciemnościach już trzyma przed moim nosem swój własny palec. Fajna dziewczynka. Na pewno by się wam podobała. Jedyna jej wada to zbytnia czasami czułość. Jak na takie małe dziecko jest o wiele za uczuciowa. Fakt. Poza tym - stale pisze powieści. Niestety żadnej nigdy nie kończy. Wszystkie są o pewnej dziewczynce, która nazywa się Hazel Weatherfield. Phoebe pisze: „Hazie" zamiast „Hazel". Ta Hazie Weatherfield jest detektywem. Uchodzi za sierotę, ale potem z reguły odnajduje ojca. I za każdym razem ten jej ojciec okazuje się „wysokim, przystojnym dżentelmenem, lat około dwudziestu". Pęknąć można ze śmiechu. Taka jest mała Phoebe. Przysięgam Bogu, spodobałaby się wam na pewno. Ledwie od ziemi odrosła, już była nadzwyczajnie sprytna. Kiedy była zupełnie maleńka, zabieraliśmy ją - ja i Alik - z sobą do parku, zwłaszcza w niedzielę. Alik miał żaglówkę, którą lubił w niedzielę puszczać na wodę, i zwykle Phoebe chodziła razem z nami. Kładła białe rękawiczki i paradowała między nami dwoma poważnie jak dorosła dama. A kiedy rozmawialiśmy z Alikiem na rozmaite tematy, słuchała z zainteresowaniem. Czasami zapominaliśmy, że jest z nami, bądź co bądź była bardzo mała, ale zawsze postarała się przypomnieć o sobie w porę. Co chwila nam przerywała. Szturchała Alika albo mnie i pytała: „Kto? Kto to powiedział? Bobby czy ta pani?" A kiedy jej mówiliśmy, że Bobby albo że ta pani, uspokajała się i dalej przysłuchiwała z uwagą. Alik także za nią przepadał. Lubił ją szalenie. Teraz Phoebe ma już dziesięć lat, nie jest małym dzieckiem, ale w dalszym ciągu przepadają za nią wszyscy: oczywiście wszyscy, którzy mają trochę oleju w głowie.

Słowem, Phoebe jest osobą, z którą o każdej porze ma się ochotę pogadać przez telefon. Tylko że bałem się dzwonić do domu, bo pewnie odezwałoby się któreś z rodziców i wszystko by się wydało: że jestem w Nowym Jorku, że mnie wylali z „Pencey" - cała chryja. Dlatego nie zatelefonowałem, zapiąłem czystą koszulę, ubrałem się, uczesałem, a kiedy byłem gotowy, zjechałem windą do hallu, żeby się rozejrzeć, co tam się dzieje.

Hali był prawie pusty, jeśli nie liczyć paru typów, którzy wyglądali na alfonsów, i paru blondynek, które wyglądały na wydry. Z Lawendowej Sali dochodziła jednak muzyka, więc poszedłem tam. Tłoku nie było, mimo to dali mi marny stolik, gdzieś w kącie, a to dlatego, że nie pomachałem kelnerowi przed nosem dolarowym banknotem. W Nowym Jorku, moi złoci, pieniądz jest jedynym przekonywającym argumentem; mówię to bez żartów.

Orkiestra była do chrzanu. Buddy Singer. Dużo blachy, ale podłej. Na sali niewielu zauważyłem gości w moim wieku. Ściśle mówiąc, nikogo z mojego pokolenia. Przeważnie stare, nadęte pryki ze swoimi babkami. Z wyjątkiem sąsiedniego stolika. Przy tym najbliższym stoliku siedziały trzy babki pod trzydziestkę, wszystkie trzy w miarę szpetne, a po kapeluszach można było od razu poznać, że są z prowincji. Jedna tylko, blondynka, była niczego sobie. Tak, blondynka była wcale niebrzydka, więc zdecydowałem się sypnąć do niej lekkie oko. Ale w tym momencie podszedł kelner i spytał, czego sobie życzę. Powiedziałem, że proszę o whisky z sodą, ale żeby nie mieszał, tylko podał syfon oddzielnie. Mówiłem szybko, z pewną miną, bo gdybym zaczął się jąkać i namyślać, od razu by skapował, że nie mam Jeszcze dwudziestu jeden lat, i nie chciałby mi podać żadnych napojów alkoholowych. Ale ten kelner i tak robił trudności.

- Przepraszam pana - powiedział. - Może pan ma jakiś dowód stwierdzający pełnoletność? Papiery samochodu czy coś w tym rodzaju.

Spojrzałem na niego lodowatym wzrokiem, jakby mnie śmiertelnie obraził, i spytałem:

- Czy wyglądam na mniej niż dwadzieścia jeden lat?

- Bardzo pana przepraszam, ale przepisy...

- Dobra, dobra - przerwałem mu. Cholernie się przeliczyłem. - Proszę mi dać cocacolę. - Kelner już się odwrócił, ale zawołałem go z powrotem. - Nie mógłby pan kapnąć trochę rumu albo czegoś w tym rodzaju do szklanki? - Spytałem bardzo grzecznie zresztą. - Nie sposób siedzieć w takim wesołym lokalu z całkiem trzeźwą głową. Może by pan mógł dodać kropelkę rumu albo czegoś podobnego.

- Bardzo mi przykro, proszę pana... - odparł i zwiał co prędzej. Nie miałem do niego żalu. Kelnerzy tracą posady, jeżeli ich ktoś nakryje na sprzedawaniu alkoholu małoletnim. A ja jestem cholernie małoletni.

Znowu zacząłem sypać oko do trzech gracji. A właściwie do jednej, do tej blondynki. Bo tamte dwie były stanowczo do chrzanu. Nie robiłem oka bezczelnie. Przyglądałem się tylko wszystkim trzem uważnie, z zimną krwią. Za to one zaraz zaczęły szeptać między sobą i chichotać jak idiotki. Pewnie uważały, że jestem za młody, żeby patrzeć na kobiety. Zdenerwowało mnie to okropnie; co, u diabła, nie oświadczałem się przecież żadnej z matrymonialnymi zamiarami. Powinien bym wobec tego puścić je w ogóle kantem, ale naprawdę miałem szaloną ochotę zatańczyć. Strasznie lubię czasami potańczyć, a tego wieczora miałem wyjątkową melodię. Więc w pewnej chwili bez żadnych wstępów kiwnąłem się na krześle, co miało oznaczać ukłon czy coś w tym rodzaju, i powiedziałem:

- Może by któraś z pań zechciała zatańczyć?

Nie powiedziałem tego natrętnie, przeciwnie, bardzo salonowo. Ale one to także uznały za farsowy numer. Zaczęły znowu chichotać. Słowo daję, zachowywały się jak kretynki, wszystkie trzy.

- No, co? - spytałem. - Chętnie bym z każdą z pań przetańczył po kolei. Dobrze? Da się zrobić?

Szalenie mi się chciało tańczyć. W końcu wstała blondynka, bo jasne było, że chodziło mi o nią i że do niej się właściwie zwracałem, i poszliśmy na parkiet. Dwie kretynki, które zostały przy stoliku, zaśmiewały się do rozpuku patrząc na nas. Żebym nie był w takiej beznadziejnej sytuacji, machnąłbym na nie wszystkie ręką.

Ale gra okazała się warta świeczki. Blondynka tańczyła pierwszorzędnie. Była jedną z najlepszych partnerek, jakie w życiu spotkałem. Bez blagi. Zdarza się, że dziewczyna głupia jest jak but, a na parkiecie - klękajcie narody. A znów inna, chociaż bardzo inteligentna, w tańcu albo usiłuje kierować partnerem, albo tańczy tak fatalnie, że nie ma innego wyjścia, jak wrócić z nią do stolika i pić całą noc aż do skutku.

- Świetnie pani tańczy - powiedziałem blondynce. - Powinna pani być zawodową tancerką. Słowo daję. Tańczyłem kiedyś z taką zawodową tancerką, ale pani to robi znacznie lepiej. Słyszała pani o Marku i Mirandzie?

- Co? - spytała. Wcale nie słuchała, co do niej mówiłem. Rozglądała się tylko wciąż po sali.

- Pytałem, czy słyszała pani o Marku i Mirandzie...

- Nie wiem. Nie. Nie wiem.

- To jest, proszę pani, para tancerzy. Ona nazywa się Miranda. Ale nie powiem, żeby mi bardzo imponowała. Niby robi wszystko, co należy, ale nic nadzwyczajnego. Wie pani, po czym się poznaje, że dziewczyna jest urodzoną tancerką?

- Co pan mówił? - zapytała. Nie raczyła mnie wcale słuchać. Zajęta była tylko rozglądaniem się na wszystkie strony.

- Pytałem, czy pani wie, po czym się poznaje urodzoną tancerkę.

- Aha.

- Widzi pani, to jest tak. Trzymam rękę na pani plecach. Jeżeli mam wrażenie, że pod moją dłonią nie ma nic - ani pupki, ani ud, ani stóp - to znaczy, ze dziewczyna jest urodzoną tancerką.

Ale ona nie słuchała. Przestałem się więc zajmować jej osobą. Po prostu tańczyliśmy. Boże, jak ta idiotka umiała tańczyć. Buddy Singer ze swoją - bandą fuszerów grał: „Właśnie jedna z tych rzeczy”, i nawet ta marna orkiestra nie mogła całkiem popsuć tej melodii. Bo to

jest cudna piosenka. Nie siliłem się w tańcu na jakieś nadzwyczajne sztuki - nie cierpię facetów, którzy się wygłupiają i popisują na parkiecie - ale ruszałem się dość żywo, a blondynka dotrzymywała mi tempa znakomicie. Najdziwniejsze, że jej też sprawiał ten taniec wielką przyjemność; tak mi się przynajmniej zdawało, dopóki nie wystąpiła nagle z okropnie głupim oświadczeniem.

- Wie pan, wczoraj wieczorem ja i moje przyjaciółki widziałyśmy Petera Lorre - powiedziała. - Peter Lorre to sławny aktor filmowy. Widziałyśmy go na własne oczy. Kupował właśnie gazetę. Czarujący!

- A to miały panie szczęście - powiedziałem. - Wielkie szczęście. Zdaje pani sobie z tego sprawę?

Kretynka. Ale tańczyła jak marzenie. Nie mogłem się powstrzymać i leciutko pocałowałem ją w czubek tej pustej głowy, w to miejsce, wiecie, gdzie włosy się rozdzielają. Okropnie się oburzyła.

- Ejże! Co pan wyrabia?

- Nic. Tak sobie tylko... Pani świetnie tańczy - powiedziałem. - Mam siostrzyczkę, smarkata z czwartej klasy. Pani tańczy prawie tak dobrze jak ona, a ona tańczy lepiej niż wszystkie tancerki świata, żywe czy umarłe.

- Niech się pan będzie łaskaw nie wyrażać.

Rany, co za hrabina. Królowa, słowo daję.

- Skąd panie przyjechały? - zapytałem.

Nie odpowiedziała. Pewnie nie miała czasu, bo musiała się rozglądać, czy nie ma gdzieś w pobliżu Petera Lorre.

- Skąd panie przyjechały? - powtórzyłem.

- Co? - ocknęła się blondynka.

- Skąd panie są? Jeżeli pani nie ma ochoty, proszę nie odpowiadać. Nie chciałbym, żeby się pani przemęczała.

- Z Seattie, w stanie Waszyngton - powiedziała. Najwyraźniej robiła mi wielką łaskę.

- Jest pani niezwykle błyskotliwa w rozmowie. Czy już ktoś o tym pani powiedział?

- Co?

Dałem za wygraną. Zresztą i tak było to dla niej za mądre.

- Czy miałaby pani ochotę na małego jiterbugga, jeżeli muzyka zagra w tempie? Bez przesady, nie będziemy skakać ani nic w tym rodzaju, potrzęsiemy się ładnie i grzecznie. Jeżeli muzyka przyspieszy tempo, większość towarzystwa wysiądzie, zostaną na parkiecie tylko najstarsi i najgrubsi. Będzie dla nas miejsce. Dobrze?

- Mnie tam wszystko jedno - powiedziała. - Ale właściwie ile pan ma lat?

Pytanie zdenerwowało mnie z wiadomych powodów.

- Rany boskie, niech mnie pani nie wyda - powiedziałem. - Mam dwanaście lat. Wyrosłem tak nienormalne na swój wiek.

- Już raz panu mówiłam, że nie tubie, jak się kto wyraża - odparła. - Jeżeli pan będzie się wyrażał, wrócę do stolika do moich koleżanek.

Przeprosiłem ją niemal na klęczkach, bo właśnie muzyka zagrała w wariackim tempie. Zaczęliśmy jiterbugga, ale z umiarem, spokojnie, bez przesady. Blondynka naprawdę tańczyła świetnie. Wystarczyło ją tknąć a rozumiała, o co chodzi. A kiedy się okręcała, trzęsła małym, zgrabnym kuperkiem bardzo ładnie, z wdziękiem. Kupiła mnie. Słowo daję. Kiedy ją odprowadzałem na miejsce, byłem w niej już na pół zakochany. Tak właśnie bywa z dziewczętami. Wystarczy, że któraś umie coś robić z wdziękiem, a choćby nie była wcale bardzo ładna, choćby nawet była głupawa - zakochuje się czy coś w tym rodzaju, i już sam nie wiesz, co się z tobą dzieje. Dziewczyny. Jezu Chryste. Umieją człowieka do wariactwa doprowadzić. Fakt.

Nie zaprosiły mnie do swojego stolika, pewnie po prostu dlatego, że nie wiedziały, co wypada, a co nie, ale siadłem bez zaproszenia. Blondynka, z którą tańczyłem, nazywała się Berenika jakoś tam: Crabs czy Krebs. Dwie brzydule wabiły się Marty i Laverne. Przedstawiłem im się jako Jim Steele, tak sobie, dla hecy. Próbowałem zagaić inteligentną rozmowę, ale nie było sposobu. Nic z nich nie dało się wycisnąć. Nawet trudno by rozstrzygnąć, która z trzech biła rekord głupoty. Wszystkie trzy rozglądały się bez ustanku po sali, jak gdyby miały nadzieję, że lada chwila wejdzie całe stado gwiazdorów filmowych. Wyobrażały sobie pewnie, że najgrubsze ryby filmowe, jeżeli są w Nowym Jorku, spędzają jak jeden mąż noce w Sali Lawendowej, a nie w klubie „Stork”, w „El Marocco”, czy w innych lokalach tego rodzaju. Toteż męczyłem się dobre pół godziny, nim w końcu dowiedziałem się, gdzie pracują w tym swoim Seattie. Wszystkie trzy miały posady w jakimś towarzystwie ubezpieczeń. Zapytałem, czy lubią swoją pracę, ale czy myślicie, że z tych trzech kretynek można by wydusić chociaż jedną inteligentną odpowiedź? Myślałem, że dwie brzydule, Marty i Laverne, są siostrami, ale obraziły się obie o to podejrzenie. Widocznie żadna nie miała ochoty być podobna do przyjaciółki, trudno im się zresztą dziwić, ale to było szalenie zabawne.

Tańczyłem z całą trójcą, oczywiście po kolei. Jedna z brzydul - Laverne - tańczyła niezgorzej, ale druga - Marty - mogła człowieka wykończyć. Zdawało mi się, że turlam Statuę Wolności po parkiecie. Nie wytrzymałbym tych męczarni, gdybym pracując tak w pocie czoła

nie wymyślił sobie małej rozrywki. Powiedziałem dziewczynie, że właśnie mignął mi w drugim kącie sali gwiazdor filmowy - Gary Cooper.

- Gdzie? - spytała, cholernie podniecona. Gdzie?

- Przegapiła pani. Już wyszedł. Dlaczego nie obejrzała się pani prędzej?

Od tej chwili już wcale nie tańczyła, rozglądała się tylko, usiłując pomiędzy głowami tłumu mimo wszystko dostrzec swojego wymarzonego aktora.

- Jaka szkoda, jaka szkoda - powtarzała. Niemal złamałem jej serce. Fakt. Zły byłem na siebie jak diabli, że ją tak nabrałem. Z niektórych osób nie powinno się kpić, nawet jeżeli na to zasługują.

Ale potem dopiero wynikła z tego najlepsza heca. Kiedy wróciliśmy do stolika, brzydula oznajmiła koleżankom, że Gary Cooper przed chwilą opuścił salę. Rany boskie, co się działo. Laverne i Berenika na tę wieść o mało nie popełniły samobójstwa. Trzepotały się i wypytywały, czy Marty go naprawdę widziała i jak wyglądał. Marty odpowiedziała, że tylko jej mignął z daleka. Aż mnie zatkało.

Na noc zamykano bar, więc zafundowałem babkom co prędzej po dwa szkła na główkę, na zapas. Dla siebie też zamówiłem dwie coki. Na stoliku ciasno się zrobiło od flanek. Jedna z brzydul, Laverne, wyśmiewała mnie, że piję tylko cokę. Miała pierwszorzędne poczucie humoru. Za to i ona, i Marty wybrały sobie dżin z sokiem cytrynowym - w grudniu, rany boskie! Pojęcia o niczym nie miały. Blondynka - Berenika - piła krajową whisky z wodą. Goliła zresztą zdrowo. Wszystkie trzy nieustannie wypatrywały oczy za gwiazdami filmu. Prawie że nie rozmawiały, nawet między sobą. Najbardziej wymowna była z nich trzech Marty. Powtarzała stare, nudne sztampy, na przykład toaletę nazywała „cichym kącikiem", a kiedy nieszczęsny ramol, który w orkiestrze Singera grał na klarnecie, odstawiał swój dychawiczny numer, orzekła, że jest „nieziemski". Na klarnet mówiła „baton lukrecjowy". Straszliwie była głupia. Druga brzydula, Laverne, łudziła się, że jest bardzo dowcipna. Namawiała mnie, żebym zatelefonował do mojego ojca i spytał go, jak spędza dzisiejszy wieczór. Pytała mnie uporczywie, czy mój papa miewa randki. Cztery razy powtórzyła to pytanie - taka była dowcipna. Berenika - moja blondynka - przeważnie milczała. Jeżeli się do niej z czymś zwracałem, odpowiadała nieodmiennie: „Co?" Po jakimś czasie zaczęło mnie to cholernie denerwować.

W pewnej chwili, kiedy osuszyły swoje szklanki, poderwały się nagle wszystkie trzy naraz i oznajmiły, że pora iść spać. Twierdziły, że nazajutrz muszą wstać wcześnie, żeby zdążyć na pierwszy spektakl w Radio City Musie Hali. Próbowałem je zatrzymać jeszcze trochę, ale słyszeć o tym nie chciały. Pożegnaliśmy się więc pięknie. Obiecałem, że odwiedzę

je w Seattie, jeżeli kiedyś tam będę, no, ale wątpię, czy się to stanie. Wątpię zwłaszcza, żebym ich miał ochotę w Seattie szukać.

Włącznie z papierosami rachunek wypadł około trzynastu dolarów. Uważałem, że trzy gracje powinny były przynajmniej zaproponować, że zapłacą za te trunki, które wypiły, zanim się do nich przysiadłem; nie zgodziłbym się oczywiście, ale im wypadało zaproponować. Nie miałem im jednak tego za złe. Nie znały się na niczym, a zresztą rozczuliły mnie ich te śmieszne, żałosne kapelusze. Biedule. Dobiły mnie, kiedy powiedziały, że muszą wstać rano, żeby zdążyć na pierwszy spektakl w Radio City Musie Hali. Jeżeli ktoś, na przykład młoda dziewczyna w potwornym kapeluchu, przyjeżdża taki kawał drogi do Nowego Jorku - z Seattie, w stanie Waszyngton! rany boskie! - po to, żeby się zrywać o świcie i pędzić na ten cholerny poranek w Radio City Musie Hali, wydaje mi się to takie smutne, że tylko siąść i płakać. Zgodziłbym się zafundować wszystkim trzem po sto dżinów czy whisky, byle mi tego swojego marzenia nie zdradziły.

Zaraz po ich wyjściu wyszedłem także z Sali Lawendowej. I tak już zamykali budę, orkiestra od dawna przestała grać. Przede wszystkim to był jeden z tych lokali, w których nie sposób wytrzymać, jeżeli nie ma się dobrej partnerki do tańca, a kelner nie chce podać człowiekowi uczciwych trunków zamiast marnej cocacoli. Zresztą nie ma na świecie nocnego lokalu, w którym by można długo wysiedzieć na trzeźwo. Chyba że jest z tobą dziewczyna naprawdę zabójcza.

11.

Kiedy szedłem do hallu, nagle znów stanęła mi w oczach Jane Gallagher. Stanęła mi w oczach i nie mogłem się jej pozbyć. Siadłem w jednym z tych hotelowych foteli, sraczkowego koloru, i znów wyobraziłem ją sobie ze Stradlaterem w tym przeklętym samochodzie Eda Banky, a chociaż byłem niemal zupełnie pewny, że się temu draniowi nie dała - znałem moją Jane na wylot - nie mogłem się od tych myśli opędzić. Znałem Jane na wylot. Naprawdę. Wiedziałem, że oprócz warcabów szalenie lubi wszelkie sporty; przez całe lato, kiedy się poznaliśmy, prawie każdego ranka graliśmy razem w tenisa, a każdego popołudnia - w golfa. Byliśmy z sobą naprawdę blisko. Nie w znaczeniu fizycznym, nic w tym rodzaju, nie, ale widywaliśmy się co dzień i spędzaliśmy razem całe dni. Czasem nawet bez zmysłowych poufałości można dziewczynę poznać na wylot.

Zawarłem z nią znajomość z powodu psa jej matki, dobermana, który stale przychodził załatwiać się na nasz trawnik, co okropnie złościło moją matkę. Zatelefonowała więc do matki Jane i narobiła wiele hałasu. Moja matka umie robić wiele hałasu o takie sprawy. No i traf chciał, że w parę dni potem spotkałem w klubie Jane, która leżała sobie na brzuchu obok pływalni, i powiedziałem jej dzień dobry. Wiedziałem, że mieszka w sąsiednim domu, ale dotychczas nigdy z nią nie rozmawiałem ani się z nią nie zapoznałem. Tego dnia, kiedy ją pierwszy raz zagadnąłem, potraktowała mnie bardzo zimno. Długo musiałbym język strzępić, by ją przekonać, że jeśli o mnie chodzi, jej doberman może się załatwiać, gdzie chce. Nawet na środku naszego salonu. No i odtąd byliśmy już z Jane w wielkiej przyjaźni. Tego samego popołudnia graliśmy razem w golfa. Pamiętam, że spartoliła osiem piłek. Osiem, nie przesadzam. Dobrze się spociłem, zanim osiągnąłem przynajmniej tyle, żeby otwierała oczy, kiedy bierze rozmach do strzału. Ale w końcu pod moim kierunkiem bardzo się podciągnęła. Bo ja w golfa gram naprawdę dobrze. Gdybym wam powiedział, jakie miewam wyniki, nie chcielibyście pewnie wierzyć. O mały włos nie nakręcili kiedyś krótkometrażówki ze mną w roli głównej, ale w ostatniej chwili rozmyśliłem się i odmówiłem. Doszedłem do wniosku, że jeżeli ktoś tak jak ja nienawidzi kina, byłby fałszywy, gdyby pozwolił się filmować i pokazywać w krótkometrażówce.

Jane to dziwna dziewczyna. Mówiąc ściśle, wcale nie piękność. A mimo to podobała mi się jak żadna. Miała niesłychanie ruchliwe usta. Kiedy mówiła i była czymś przejęta, wargi jej latały we wszystkie strony. Tym mnie wzięła, i nigdy nie zamykała właściwie ust, nigdy warg nie zaciskała. Zawsze miała je troszkę rozchylone, zwłaszcza kiedy ustawiała się

do strzału na terenie golfowym albo kiedy czytała. Czytała masę i naprawdę dobre książki. Dużo poezji i różnych poważnych rzeczy. Poza najbliższą rodziną tylko jej jednej pokazałem rękawicę Alika, ze wszystkimi wypisanymi na niej wierszami. Jane nie znała Alika, bo dopiero tego lata pierwszy raz przyjechała do Maine, przedtem spędzała wakacje w Cape Cod, ale dużo jej o nim opowiadałem. Zawsze słuchała takich historii z zainteresowaniem.

Moja matka nie bardzo ją lubiła. Bo matce wydawało się, że mała Jane i jej matka zachowują się wobec niej arogancko, czy może traktują ją z góry, ponieważ nie zagadywały do niej nigdy. A spotykały się często w miasteczku, bo Jane razem ze swoją matką jeździła po zakupy otwartym wozem. Moja matka uważała, że Jane wcale nie jest ładna. Mnie po prostu podobała się taka, jaka była - i kropka.

Pamiętam zwłaszcza jedno popołudnie. Ten jeden jedyny raz całowaliśmy się z Jane. Była sobota, deszcz lał jak z cebra, siedzieliśmy u niej na werandzie, bo ten dom miał wielką oszkloną werandę. Graliśmy w warcaby. Od czasu do czasu podkpiwałem z niej, że nie chce ruszyć swoich dam z ostatniego rzędu. Ale nie dokuczałem jej za bardzo. Nigdy jakoś nie miałem ochoty dokuczać małej Jane. Właściwie to najlepiej się bawię, kiedy mogę dziewczynę wykpić tak, żeby jej w pięty poszło, ale, dziwna rzecz: jeśli naprawdę lubię babkę, nie korci mnie wcale, żeby jej dokuczać. Czasem nawet myślę, że dziewczynie by się to podobało, gdyby się trochę z nią podręczyć, pewien jestem, że byłaby zadowolona, a mimo to nie mogę się na kpiny zdobyć, jeśli znam ją od dawna i nigdy przedtem z niej nie podkpiwałem. No, ale miałem mówić o tym popołudniu, kiedy jeden jedyny raz całowałem Jane. Deszcz padał cholerny, siedzieliśmy na werandzie i nagle przyszedł ten zapijaczony drab, za którego jej matka wyszła za mąż. Spytał Jane, czy w domu są gdzieś papierosy. Nie znałem go bliżej, ale wyglądał mi na faceta, który nie zagaduje, byle gadać, chyba że naprawdę czegoś chce. Paskudny typ. Jane nic mu nie odpowiedziała, chociaż wyraźnie jej się pytał, czy nie wie, gdzie są papierosy. Powtórzył pytanie drugi raz, ale dziewczyna się zacięła. Nawet nie oderwała oczu od warcabnicy. W końcu poszedł sobie, cofnął się do pokoju. Wtedy ja zapytałem Jane, o co właściwie chodzi. Jane mnie także nie chciała odpowiedzieć Udawała, że namyśla się nad następnym ruchem w grze. I nagle łza kapnęła na warcabnicę. Jakbym ją widział: spadła na jedno z czerwonych pól. Jane roztarta ją palcem. Nie mam pojęcia dlaczego, ale to mnie rozczuliło tak, że mało ze skóry nie wyskoczyłem. Zerwałem się z miejsca, dopadłem do niej, wpakowałem się na bujak obok niej, prawie że na jej kolana. Wtedy rozbeczała się na dobre, a ja sam nie wiem, jak i kiedy zacząłem ją całować na chybił trafił, w oczy, w nos, w czoło, w brwi, w uszy - wszędzie, tylko nie w usta. Usta jakoś uchylała, nie dała ich pocałować. Tak, to był ten jedyny raz, kiedy całowałem Jane. Po

chwili wstała, pobiegła do swojego pokoju, wróciła ubrana w ten swój czerwonobiały sweter, który mi się szalenie podobał, i poszliśmy do kina. Po drodze pytałem ją, czy pan Cudahy - tak się ten zapijaczony drań nazywał - próbował może czasem do niej się przystawiać. Była bardzo młoda, ale miała bardzo zgrabną sylwetkę, a ten drań wydawał mi się zdolny do każdego świństwa. Zaprzeczyła. Nigdy nie doszedłem, co się w tej historii naprawdę kryło. Z niektórymi dziewczętami nigdy nie można dociec, co się na dnie kryje.

Nie chciałbym, żebyście myśleli, że ta dziewczyna była z lodu czy z drewna, ponieważ, jak mówiłem, nie całowaliśmy się z nią ani nie ściskali. Nie. Na przykład lubiliśmy trzymać się za ręce. To brzmi trochę skromnie, zdaję sobie sprawę, ale z Jane było to naprawdę coś warte. Zwykle dziewczyna, kiedy się weźmie jej rękę w swoją albo trzyma ją drętwo, albo czuje się w obowiązku Poruszać nią bez ustanku, jakby się bała, że cię znudzi, Jeśli nie będzie urozmaicać zabawy. Jane była inna. Szliśmy do kina czy gdziekolwiek i zaraz braliśmy się za ręce, a potem trzymaliśmy się już tak cały czas, aż do końca seansu. Nie zmieniając pozycji i nie robiąc z tego wielkiej historii. Kiedy byłem z Jane, nie przejmowałem się nawet tym, czy mi dłoń spotniała, czy nie. Czułem tylko, że jest mi dobrze, i było naprawdę dobrze.

Przypomina mi się jeszcze jedno zdarzenie. Kiedyś w kinie Jane zrobiła coś, co mnie okropnie rozczuliło. Wyświetlali właśnie dziennik czy jakiś inny dodatek, gdy nagle poczułem na karku dotknięcie czyjejś ręki. To Jane położyła mi rękę na karku. Dziwna rzecz. Bo przecież była młodziutka, a ten gest zwykle robią kobiety dwudziestokilkuletnie czy nawet jeszcze starsze i kładą rękę na karku męża albo swojego dziecka. Ja na przykład nieraz w ten sposób trzymałem rękę na karku mojej małej siostrzyczki, Phoebe. Ale kiedy to zrobiła taka młodziutka dziewczyna, gest wydał mi się prześliczny i rozczulił mnie.

O tym wszystkim myślałem siedząc w hotelowym hallu, w tym sraczkowatym fotelu. Myślałem o małej Jane. Ale ilekroć w myślach dochodziłem do momentu, gdy ją sobie wyobrażałem w tym przeklętym samochodzie Eda Banky obok Stradlatera - krew mnie po prostu zalewała. Jeżeli chcecie wiedzieć prawdę, nie cierpię nawet o tym mówić.

W hallu nikogo już prawie nie było. Nawet wydrowate blondynki gdzieś poznikały i nagle poderwało mnie, żeby się stąd wynieść do diabła. Zanadto mnie ta buda przygnębiała. Nie czułem się zresztą zmęczony ani śpiący. Poszedłem do swojego pokoju po płaszcz. Przy okazji spojrzałem przez okno, czy ci wszyscy zboczeńcy jeszcze wciąż rozrabiają, ale wszędzie światła już pogasły. Zjechałem znów windą na parter, złapałem przed hotelem taksówkę i kazałem się wieźć do Ernie'ego. Ernie prowadzi nocny lokal w Greenwich Village. Mój brat D.B. często tam bywał, zanim pojechał do Hollywood i zaprzedał się filmowcom.

Czasem brał mnie z sobą. Ernie to ogromny, tłusty Murzyn, który gra na fortepianie. Jest straszliwym snobem i nie raczy nawet spojrzeć na zwykłych ludzi, gada wyłącznie z grubymi rybami, sławami i w ogóle z asami. Ale na fortepianie gra świetnie. Za dobrze, tak że to czasem wydaje się banalne. Nie umiem jasno wytłumaczyć, co chcę przez to powiedzieć, ale tak właśnie jest naprawdę. Pewnie, lubię słuchać jego muzyki, ale chwilami bierze człowieka ochota rozwalić mu ten jego fortepian. Chyba dlatego, że kiedy Ernie gra, słyszy się, że to jest facet, który nie raczy z tobą gadać, jeśli nie jesteś ważną figurą.

12.

Taksówka musiała być naprawdę stara, bo cuchnęła, jakby ktoś się w niej przed chwilą porzygał, zwracając lukrowane ciasteczka. Zawsze kiedy w nocy jadę taksówką, trafiam na takie obrzygane pudła. Co gorsza, miasto było ciche i puste, mimo że to noc z soboty na niedzielę. Prawie żywej duszy nie widziałem na ulicach. Ledwie od czasu do czasu pokazała się jakaś para przechodząca przez jezdnię i obejmująca się wpół albo banda facetów, wyglądających na chuliganów, ze swoimi dziewczynami, wyjąca ze śmiechu jak stado hien z czegoś, co na pewno wcale nie było dowcipne. Nowy Jork jest straszny, kiedy późną nocą ktoś śmieje się na ulicy. Słychać głos na milę. Człowiek czuje się wtedy jeszcze bardziej osamotniony i przybity. Zrobiło mi się okropnie żal, że nie mogę pójść do domu i pogadać trochę z małą Phoebe. Po jakimś czasie nawiązałem coś w rodzaju rozmowy z kierowcą taksówki. Nazywał się Horwitz. Okazał się o wiele sympatyczniejszy od tamtego taksówkarza, z którym jechałem poprzednio. Przyszło mi więc do głowy, że może on coś wie na temat kaczek.

- Panie Horwitz - powiedziałem - czy pan przejeżdża czasem koło laguny w Parku Centralnym? Wie pan, w południowej części parku?

- Koło czego?

- Koło laguny. Takie, wie pan, jeziorko. Gdzie pływają kaczki. Wie pan?

- Aha. No to co?

- Zauważył pan kaczki, co tam pływają w kółko po wodzie? Wiosną i latem. Czy pan przypadkiem nie wie, gdzie one się podziewają w zimie?

- Kto?

- Kaczki. Nie wie pan tego przypadkiem? Czy może ktoś po nie przyjeżdża i zabiera je samochodem, czy też same odlatują na południe?

Horwitz odwrócił się i popatrzył na mnie. Chłop był widać z natury niecierpliwy. Chociaż zły nie był.

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? - odrzekł. - Skąd, u diabła, mam wiedzieć takie głupstwa?

- W każdym razie niech się pan nie gniewa - powiedziałem. Gniewał się. Może o to pytanie, a może o coś innego, nie wiem.

- Kto się gniewa? Nikt się przecież nie gniewa.

Nie próbowałem dalszej pogawędki, skoro taki był drażliwy. Ale on sam się odezwał. Znów się odwrócił i rzekł:

- Ryby nigdzie się nie wynoszą. Zostają na miejscu. W tym tam głupim jeziorku.

- Ryby to co innego. Ryby są inne. Ja mówię o kaczkach - odparłem.

- Co to za różnica? Żadnej różnicy nie ma - powiedział Horwitz. Cokolwiek mówił, miało się wrażenie, że okropnie się irytuje. - Dla ryb zima jest jeszcze cięższa do wytrzymania niż dla kaczek. Niech się pan zastanowi.

Przez chwilę nic nie odpowiadałem. Potem powiedziałem:

- Może i racja. No, więc, co robią ryby, kiedy całe Jeziorko aż do dna zamarza, a ludzie ślizgają się po nim?

Horwitz znowu się odwrócił.

- Rany boskie, o co panu chodzi? - wrzasnął na mnie. - Gdzie mają się podziać? Siedzą tam gdzie zawsze.

- Nie mogą przecież nie zwracać wcale uwagi na lód. To niemożliwe.

- A kto mówi, że nie zwracają uwagi? Jak jest lód, to każdy go przecież widzi - powiedział Horwitz. Był okropnie wzburzony, bałem się, że wpakuje wóz na latarnię czy coś w tym rodzaju. - Żyją sobie dalej w lodzie. Taka już ich cholerna natura. Zamarzają na miejscu, tak jak są, na całą zimę - Taak? A co żrą? Bo jeżeli zamarzają na dobre, to nie mogą pływać i szukać sobie żarcia.

- Rany boskie, czego pan chce? Całym ciałem ciągną pożywienie, i co im tam potrzeba, po prostu z rozmaitego wodnego zielska i śmieci, co są w lodzie. Mają wciąż pory otwarte. Taka ich cholerna natura. Rozumie pan?

I znów się odwrócił do kierownicy, żeby na mnie popatrzyć.

- Aha - powiedziałem. Dałem temu spokój. Bałem się, że rozwali wóz i mnie razem z wozem w drzazgi. Zresztą słaba przyjemność dyskutować z takim obraźliwym facetem. - Może by pan zgodził się przystanąć i wstąpić ze mną gdzieś na jednego? - spytałem.

Nic nie odpowiedział. Pewnie jeszcze rozmyślał o rybach. Powtórzyłem propozycję. Chłop był w gruncie rzeczy sympatyczny, i zabawny także.

- Nie mam, bracie, czasu wstępować na kielicha - powiedział. - A ile właściwie pan ma lat? Dlaczego pan o tej porze nie leży w łóżku, w domu?

- Nie chce mi się spać.

Kiedy zajechaliśmy przed lokal Ernie'ego i zapłaciłem rachunek, Horwitz znowu wyjechał z rybami. Zabiłem mu ćwieka w głowę, fakt.

- Słuchaj pan - powiedział. - Gdyby pan był rybą, matka przyroda opiekowałaby się przecież panem, co? Mam rację czy nie? Nie myśli pan chyba, że ryby po prostu wszystkie zdychają zimą? Myśli pan?

- Nie, ale...

- Nie, przysięgam Bogu, że nie! - powiedział Horwitz i ruszył wozem z miejsca, jakby go piorun strzelił. Nigdy w życiu nie spotkałem równie obraźliwego człowieka. Z czymkolwiek się do niego zwracałem, zaraz się wściekał.

Mimo późnej godziny, sala była nabita. Przeważnie towarzystwo ze szkół średnich i college'ów. Tak się zawsze składa, że wszystkie szkoły puszczają uczniów na wakacje wcześniej niż ta buda, do której ja akurat chodzę. W szatni nie było gdzie palta wetknąć. Bractwo zachowywało się jednak cicho, ponieważ Ernie grał. Kiedy siadał do fortepianu, musiało być cicho jak w kościele, takie miał cholerne wymagania. Ważniak. Oprócz mnie trzy pary czekały na stolik, wszyscy wyciągali głowy i wspinali się na palce, żeby zobaczyć Ernie'go. Nad fortepianem wisiało ogromne lustro, a reflektor świecił wprost na pianistę, tak że każdy mógł patrzeć w jego twarz, kiedy grał. Palców nie widziało się, tylko tę wielką twarz. Efekt cholerny. Nie jestem pewien, jaki tytuł ma ta melodia, którą Ernie właśnie grał, kiedy wchodziłem na salę, ale fakt, że robił z niej okropną szmirę. Popisywał się jakimiś trelami bez sensu, dodawał gdzie mógł wirtuozerskie sztuczki, a mnie od takich rzeczy aż bebechy bolą. No, ale trzeba słyszeć, co wyprawiali goście, kiedy skończył. Rzygać mi się chciało. Po prostu szał. Ci sami kretyni, którzy w kinach wyją ze śmiechu jak hieny w momentach wcale niezabawnych. Przysięgam Bogu, że za nic nie chciałbym być takim pianistą czy aktorem, czy w ogóle kimś, kogo by ci głupcy uważali za ósmy cud świata. Nie życzyłbym sobie ich oklasków. Ludzie najczęściej klaszczą wtedy, kiedy wcale się to nie należy. Gdybym był muzykiem, grałbym w pustych czterech ścianach. Tymczasem on, kiedy skończył grać, a goście klaskali, tak, że o mało im ręce nie poodpadały, okręcił się na taborecie i skłonił nisko, strasznie obłudnie, niby to pokornie. Jakby chciał pokazać, że jest nie tylko wspaniałym artystą, ale także nieziemsko skromnym facetem. To była wstrętna obłuda, bo przecież Ernie jest znany snob. Ale mimo wszystko, kiedy przestał grać, było mi jakoś dziwnie żal. Miałem wrażenie, że on już sam nie wie, kiedy gra dobrze, a kiedy knoci. To nie jest tylko jego wina. Częściowo winni są ci wszyscy durnie, którzy klaszczą do upadłego; taka owacja każdemu by w głowie zawróciła. W tym bałaganie znowu zrobiło mi się okropnie smutno i źle i mało brakowało, a byłbym odebrał z szatni palto i wrócił zaraz do hotelu, ale godzina była jeszcze za wczesna i nie miałem ochoty zostać znów zupełnie sam.

Wreszcie dali mi podły stolik tuż pod ścianą, za cholernym słupem, zza którego nic człowiek nie widział. Był to jeden z tych maleńkich stoliczków, do których dostać się nie sposób, jeśli sąsiedzi nie wstaną, żeby cię przepuścić - aż reguły łobuzy nie wstają i trzeba się gimnastykować chcąc usiąść na swoim krześle. Zamówiłem whisky z sodą - mój ulubiony trunek, nie mówiąc o mrożonym cocktailu z rumu i cytryny. U Ernie'ego nawet sześcioletni pętak dostałby alkohol, na sali jest ciemno, a zresztą nikogo tu nie obchodzi wiek klientów. Choćby się narkoman zjawił, nikt mu słowa nie powie.

Wkoło mnie zebrali się sami zbzikowani goście. Słowo daję. Przy małym stoliczku na lewo ode mnie, a właściwie niemal na mnie, siedział komiczny typek z komiczną babką. Musieli być mniej więcej w moim wieku albo niewiele starsi. Śmiech brał patrzeć. Od razu było widać, że cholernie uważają, żeby nie za prędko wypić obowiązujące minimum. Przez czas jakiś przysłuchiwałem się ich rozmowie, bo nie miałem nic lepszego do roboty. Typek opowiadał babce o meczu piłki nożnej, na którym był tego popołudnia. Nie darował jej ani jednego zagrania, słowo daję. W życiu nie spotkałem gorszego nudziarza. Co do niej, to założyłbym się, że jej piłka nożna ani nie grzała, ani nie ziębiła, ale że wyglądała jeszcze komiczniej od niego, musiała słuchać. Dziewczyny, jeśli są naprawdę szpetne, ciężki mają los. Czasem aż mi ich trochę żal. Patrzeć przykro, zwłaszcza jeżeli obskakuje taką biedulę idiota, który bez przerwy ględzi o meczu piłki nożnej. Sąsiedzi po prawej stronie ode mnie prowadzili jednak jeszcze gorszą rozmowę. Siedział tam typowy cacuś z uniwersytetu Yale, w popielatym flanelowym ubraniu, z kamizelką w kratkę. Wszyscy ci lalusie z Ivy League są do siebie podobni. Ojciec życzy sobie, żebym się kształcił w Yale albo w Princeton, ale przysięgam, że do Ivy League nie dam się za Boga nawet kijem zapędzić. Ale jaką ten cacuś z Yale miał dziewczynę - klękajcie narody. Śliczna lala. No, za to trzeba było słyszeć, jaka szła gadka między nimi. Po pierwsze oboje byli z lekka zawiani. Chłopak pod stołem obmacywał lalunię, a jednocześnie opowiadał jej o jakimś swoim kolesiu, który połknął całą tubkę aspiryny i o mały włos nie popełnił skutecznie samobójstwa. Lalunia powtarzała wciąż: „Och, to potworne... Przestań, kochanie. Proszę cię, nie tutaj”. W głowie się nie mieści, żeby ktoś mógł jednocześnie obmacywać dziewczynę i opowiadać o samobójstwie kolegi. Aż mnie zatkało.

Czułem się już trochę jak ostatni dureń siedzący samiuteńki w tym tłumie. Nie miałem nic do roboty, tylko pić i pić. Z depresji powiedziałem w końcu kelnerowi, aby zapytał w moim imieniu Ernie'ego, czy nie chciałby przyjść do mojego stolika i trącić się ze mną. Kazałem mu Powiedzieć, że jestem bratem D.B. Zdaje się jednak, że kelner wcale Ernie'emu nie powtórzył mojego zaproszenia. Nigdy te łobuzy nie spełniają tego, o co ich się prosi.

Nagle podeszła do mnie dziewczyna.

- Holden Caulfieid!

To była Lilian Simmons. Mój brat, D.B., chodził z nią przez jakiś czas. Miała wspaniałe bufory.

- Rzeczywiście ja - powiedziałem. Usiłowałem oczywiście wstać, ale w tej ciasnocie nie było to łatwe. Eskortował ją oficer marynarki, który wyglądał, jakby kij połknął.

- Jak to cudownie, że się spotykamy - powiedziała Lilian. Ależ fałszywa babka, - Co słychać u twego brata? - W gruncie rzeczy tylko o niego jej chodziło.

- Wszystko dobrze. Jest w Hollywood.

- W Hollywood! To cudownie! A co tam robi?

- Nie wiem. Pisze - odparłem. Nie miałem ochoty rozwodzić się na ten temat. Lilian, jak widać, bardzo imponowało, że D.B. jest w Hollywood. To prawie wszystkim imponuje. Zwłaszcza ludziom, którzy nigdy nie czytali żadnego z jego opowiadań. A mnie diabli biorą, jak to widzę.

- Ach, to nadzwyczajne! - powiedziała Lilian. Przedstawiła mnie oficerowi marynarki. Nazywał się podporucznik Blop czy coś w tym guście. Należał do facetów, którzy myślą, że wyjdą na ofermy, jeśli nie zmiażdżą ci wszystkich palców przy podawaniu ręki. Rany boskie, jak ja takich typów nie lubię.

- Jesteś sam, dzidziusiu? - spytała Lilian.

Blokowała swoją osobą cały ruch między stolikami. Miała przy tym taką minę, jakby szalenie się cieszyła, że tamuje przejście. Kelner stał za nią czekając, żeby się wreszcie ruszyła i przepuściła go, ale nie zwracała na niego uwagi. Śmiech było patrzeć. Bo w oczy biło, że kelner jest zły na nią i że nie lubi jej zbytnio nawet ten marynarz, chociaż z nią tu przyszedł. No i ja też. Nikt jej bardzo nie lubił. Aż trochę jej człowiek musiał współczuć.

- Nie umówiłeś się z nikim, dzidziusiu? - spytała mnie. Stałem wciąż, nie przyszło jej do głowy zaproponować, żebym usiadł. Panny tego typu lubią trzymać człowieka przed sobą na nogach godzinami. - Prawda, że ładny chłopczyk? - zwróciła się do podporucznika. - Holden, wiesz, ty po prostu w oczach ładniejesz.

Marynarz wytłumaczył jej, że warto by przejść dalej. Wytłumaczył jej, że tamuje ruch w całej części tej sali.

- Siądź z nami, Holden - powiedziała. - Weź swoją szklankę i chodź z nami.

- Kiedy właśnie już wychodzę - odparłem. - Umówiłem się z kimś.

Nie miałem wątpliwości, że próbuje mnie brać pod włos po to, żebym opowiedział bratu, jaka ta Lilian jest miła.

- Trudno, mały nicponiu. Tym gorzej dla ciebie. A jak zobaczysz się ze swoim starszym bratem, powiedz mu, że go nie cierpię.

Poszli w końcu. Oświadczyliśmy sobie nawzajem z marynarzem, że szalenie nam było miło zawrzeć znajomość. Co za lipa. Stale muszę powtarzać: „Bardzo mi przyjemnie...” facetom, z którymi spotkanie wcale mi nie robi przyjemności. Ale jeżeli chcesz, bracie, żyć, musisz te komedie odgrywać.

Skoro powiedziałem facetce, że się z kimś umówiłem, nie miałem wyboru, musiałem wyjść. Nie mogłem nawet poczekać tyle, żeby usłyszeć, jak Ernie zagra Jakiś znośniejszy kawałek. Wszystko jednak wolałem „iż siedzieć przy stoliku razem z Lilian Simmons i jej marynarzem. Zanudziliby mnie na śmierć. Wyniosłem się więc zaraz. Kładąc w szatni palto, byłem mimo Czystko wściekły. Że też zawsze ktoś człowiekowi Popsuje zabawę.

13.

Całą drogę do hotelu przeszedłem piechotą. Minąłem czterdzieści jeden przecznic. Nie żebym miał szczególną ochotę na taki spacer. Nie chciało mi się po prostu znowu wsiadać do jakiejś taksówki i znowu z niej za chwilę wysiadać. Czasem uprzykrzy sobie człowiek taksówki, podobnie jak i windy. Nagle zachciewa mu się iść na własnych nogach, choćby nie wiem jak daleko czy wysoko. Kiedy byłem mały, stale wchodziłem piechotą po schodach do naszego mieszkania. Dwanaście pięter.

Nie było już prawie śladu po śnieżycy. Ledwie tu czy tam trochę śniegu zostało na chodnikach. Ale mróz wziął porządny, więc wyciągnąłem z kieszeni moją czerwoną czapkę i włożyłem ją na głowę. Wcale mnie nie obchodziło, jak wyglądam. Nawet spuściłem klapki na uszy. Chciałbym wiedzieć, kto mi w „Pencey" świsnął rękawice. Marzłem okropnie w ręce. Co prawda, gdybym wiedział, kto mi to świństwo zrobił i tak bym wiele nie wskórał. Cholerny ze mnie tchórz. Staram się z tym nie zdradzać ale to fakt. Na przykład, gdybym wykrył, kto w „Pencey" ukradł mi rękawice, poszedłbym pewnie do złodzieja i powiedział: „No, koleś, może byś oddał moje rękawice? Na to kanciarz, który mi je zwędził, prawdopodobnie odpowiedziałby tonem obrażonej niewinności: „Jakie znów rękawice?" A ja prawdopodobnie otworzyłbym jego szaf? ścienną i znalazłbym w jakimś kącie moje rękawice, schowane w jego kaloszach albo w innym podobnym miejscu. Wyciągnąłbym je i podetknął pod nos drażniąc i pytając. „A to? Może powiesz, że to twoje, co?" Wtedy on zapewne otworzyłby szeroko niewinne oczy i zełgałby jak z nut: „Nigdy w życiu nie widziałem tych rękawic. Skąd się tu wzięły? Jeżeli są twoje, zabieraj je sobie. Niepotrzebne mi te łachy". Potem sterczałbym w jego pokoju jeszcze przez jakieś pięć minut. Trzymałbym te cholerne rękawice w garści i wiedziałbym, że powinienem drania zaprawić w szczękę, zrobić go na perłowo, i nie miałbym odwagi. Sterczałbym tylko nad nim i udawałbym kozaka. Co najwyżej powiedziałbym mu coś do słuchu, przyciąłbym mu do żywego, zamiast dać w szczękę. W każdym razie, gdybym nagadał złośliwości, on by pewnie wstał, podszedł do mnie i powiedział: „Słuchaj no, Caulfied. Czy ty mnie masz za złodzieja?" Wtedy zamiast wypalić wprost: „Zgadłeś, draniu, mam cię za złodzieja" - wymigałbym się mówiąc: „Wiem tylko tyle, że moje rękawice znalazły się w twoich kaloszach, więcej nic". Wówczas kanciarz od razu by się skapował, że mu nie grozi blacha w szczękę, i pewnie by rzekł: „Słuchaj. Stawiajmy sprawę jasno. Czy masz mnie za złodzieja?" A ja powtórzyłbym swoje: „Nikt tu nie wymówił słowa złodziej". Wiem tylko tyle, że moje rękawice były w twoich kapciach,

więcej nic.” Mogłoby to trwać godzinami. W końcu jednak wyszedłbym, nie tknąwszy drania palcem. Potem w toalecie paliłbym papierosa Przed lustrem, przyglądając się sobie i strojąc groźne miny. Tak przynajmniej myślałem przez całą drogę do hotelu. Nie jest wcale przyjemnie być tchórzem. Możliwe zresztą, że nie jestem stuprocentowym tchórzem. Sam nie wiem. Zdaje mi się, że trochę jestem tchórzem, a trochę takim typkiem, którego wcale nie obchodzi strata rękawic. Między innymi mam tę wadę, że nigdy nie przejmuję się, jeżeli coś zgubię; kiedy byłem mały, okropnie tym denerwowałem matkę. lektorzy chłopcy do upadłego szukają, jeśli im coś zginie. Tinie nic z tego, co mam, nie wydaje się warte zmartwienia jeśli przepadnie. Może dlatego właśnie jestem trochę tchórzliwy. Ale to mnie nie usprawiedliwia, oczywiście. Wcale nie. Nie powinno się być ani trochę tchórzem. Jeżeli sytuacja tak wygląda, że należy komuś dać w szczękę i jeżeli czujesz po temu ochotę - powinieneś, bracie, walić i nie pytać. Tylko że ja się do tego nie nadaję. Raczej bym umiał wypchnąć gościa przez okno albo rąbnąć go siekierą w łeb niż dać mu w szczękę. Nie cierpię walki na pięści. Nie boję się ostatecznie oberwać sam, chociaż naturalnie o tym nie marzę, ale najbardziej przeraża mnie w takiej bójce twarz przeciwnika. Sęk w tym, że nie mogę znieść patrzenia w jego twarz. Już wolałbym, żebyśmy obaj mieli oczy zawiązane czy coś w tym rodzaju. Jak się nad tym zastanowić, jest to trochę dziwna odmiana tchórzostwa, ale zawsze to tchórzostwo, szkoda gadać. Nie próbuję sam siebie okłamywać.

Im dłużej rozmyślałem o skradzionych rękawicach i o swoim tchórzostwie, tym bardziej czułem się przybity i wreszcie idąc tą ulicą postanowiłem wstąpić gdzieś i napić się trochę. U Ernie'ego wypiłem zaledwie trzy whisky, a ostatniej nawet nie skończyłem. Głowę, trzeba przyznać, mam mocną. Mogę pić całą noc i nie zalać się, jeżeli jestem w odpowiednim nastroju. Kiedyś w Whooton na spółkę z kolegą. Raymondem Goldfarbem, kupiliśmy pół litra szkockiej whisky i golnęliśmy sobie w sobotę wieczorem w kaplicy, gdzie nas żywa dusza nie widziała. Rayrnond prędko się wykończył, ale po mnie prawie nic znać nie było. Zachowywałem się bardzo spokojnie i nonszalancko, Przed pójściem do łóżka wyrzygałem się, ale nie z musu, tylko dobrowolnie, sam się do tego zmusiłem.

Zamiast więc prosto iść do hotelu, skręciłem do jakiegoś dość obskurnego baru i już miałem wejść, kiedy natknąłem się na dwóch wychodzących właśnie facetów. Pijani byli jak bele i spytali mnie o najbliższy przystanek kolei podziemnej. Jeden z nich - wyglądał na Kubańczyka - dmuchał mi prosto w nos śmierdzącym oddechem, kiedy mu wskazywałem drogę. W końcu nie wszedłem do tej spelunki. Pomaszerowałem do hotelu.

Hall był pusty. Cuchnął zjełczałym dymem, i jakby po pięćdziesięciu milionach cygar. Słowo daję. Nie chciało mi się spać, ale czułem się jakoś fatalnie. Przybity i tak dalej. Prawie że miałem ochotę umrzeć.

I wtedy niespodziewanie wdepnąłem w okropną historię.

Zaczęło się od tego, że wszedłem do windy, a windziarz mnie zagadnął:

- Nie chciałby pan się zabawić? Czy też za późno już dla pana?

- O co chodzi? - spytałem. Nie miałem pojęcia, co ma na myśli.

- Nie miałby pan ochoty na dziewczynkę?

- Kto, ja? - powiedziałem. Głupio się wyrwałem, ale przecież to naprawdę kłopotliwa sytuacja, kiedy ktoś ni z tego ni z owego zadaje takie obcesowe pytania.

- A właściwie ile pan masz lat? - zapytał windziarz.

- Bo co? Dwadzieścia dwa.

- Aha. No więc jak? Chciałby pan? Pięć dolarów za jeden sztos. Piętnaście - do południa.

- Dobra - powiedziałem. Było to przeciwne moim zasadom, ale czułem się tak przygnębiony, że wcale się nie zastanawiałem. To właśnie najgorsze. Kiedy człowiek jest bardzo przygnębiony, nie może się nawet zastanowić.

- Dobra, to znaczy jak? Sztos czy do południa? Muszę wiedzieć.

- Sztos.

- Dobra. Który pan ma numer pokoju?

Spojrzałem na czerwony znaczek z numerem przylepiony do klucza.

- Dwanaście dwadzieścia dwa - powiedziałem. Już wtedy żałowałem, że uruchomiłem tę całą machinę, że było za późno, żeby się cofać.

- Dobra. Przyślę cizię za kwadrans. - Otworzył drzwi dźwigu i wyszedłem.

- Zaraz, zaraz! - zawołałem. - Czy aby ładna? Nie chcę starego pudła.

- Na pewno nie stare pudło. Możesz pan być spokojny.

- Komu płacę?

- Jej - odparł. - No, tymczasem.

Zamknął drzwi, ściśle mówiąc trzasnął mi nimi przed nosem. Poszedłem do swego pokoju, zmoczyłem włosy, ale noszę ostrzyżone na jeża, a jeża nie bardzo można przyczesać czy przygładzić. Potem zbadałem, czy mi z ust nie śmierdzi po tylu papierosach i alkoholu wypitym u Ernie'ego. Żeby się zorientować, wystarczy od dołu usta osłonić dłonią i dmuchnąć sobie do góry, w nozdrza, Nie bardzo śmierdziało, ale dla pewności umyłem zęby. Włożyłem czystą koszulę. Zdawałem sobie sprawę, że niepotrzebnie tak się stroję dla jakiejś

kurewki, ale to mi przynajmniej wypełniło czas. Byłem trochę zdenerwowany. Już także podniecony, ale przede wszystkim - zdenerwowany. Jeżeli chcecie wiedzieć prawdę, jestem prawiczkiem. Fakt. Zdarzały mi się okazje stracenia dziewictwa, owszem, ale jakoś do tej pory nie przekroczyłem progu. Zawsze coś przeszkadza. Na przykład jesteś u dziewczyny, w jej domu; wtedy albo jej rodzice wracają w najmniej właściwym momencie, albo masz pietra, że zjawią się lada chwila. Jeżeli siedzisz z babką na tylnym siedzeniu w czyimś samochodzie, zawsze ktoś ze swoją dziewczyną zajmuje przednie miejsca, a dziewczyna z reguły jest ciekawa, co się dzieje za jej plecami. Odwraca się ustawicznie i patrzy, co tam się wyprawę w głębi wozu. Słowem coś zawsze przeszkadza. Mimo to parę razy bardzo mało mi już brakowało do ostatniego kroku. Zwłaszcza raz, dobrze to pamiętam. Jednakże i wtedy nie udało się, zapomniałem już z jakiego powodu Najgorsze, że kiedy jesteś z dziewczyną i już już ma się to stać, a dziewczyna nie jest prostytutką ani czymś w tym rodzaju - zawsze uporczywie prosi, żeby tego nie robić. A ja wtedy ustępuję. Większość chłopaków nie zważa na nic. Ja tak nie potrafię. Nigdy przecież nie wie się na pewno, czy one naprawdę chcą, żeby je oszczędzić, czy może się cholernie tego boją, czy też tylko tak mówią po to, żeby całą winę zwalić na chłopaka, jeżeli się mimo tych protestów nie zawaha. Ja w każdym razie ustępuję. A to dlatego, że jakoś mi żal dziewczyn. Prawie wszystkie są okropnie głupie i nieporadne. Kiedy się je całuje i pieści, w oczach rozum tracą. Przyjrzyjcie się dziewczynie, kiedy się naprawdę rozpali: głupieje doszczętnie. Nie rozumiem. Mówią mi: przestań - więc przestaję. Po powrocie do domu zwykle żałuję, że posłuchałem, ale przy następnej okazji znów się załamuję w ten sposób.

Toteż wtedy, kładąc czystą koszulę, myślałem sobie, że tym razem mam szaloną okazję. Kombinowałem, że skoro będę miał do czynienia z prostytutką, zdobędę doświadczenie, które mi się przyda, jak zechcę się ożenić czy coś w tym rodzaju. Bo czasem niepokoją mnie te sprawy. Kiedyś, jeszcze w Whooton, czytałem pewną książkę, której bohaterem był niezwykle wyrafinowany światowiec i namiętny kobieciarz. Nazywał się monsieur Blanchard, zapamiętałem do dziś to nazwisko. Książka była parszywa, ale ten monsieur Blanchard dość mi się spodobał. Miał wspaniały zamek na Riwierze, w Europie i wszystkie wolne chwile zajmowało mu opędzanie się od kobiet. W gruncie rzeczy był to niezły łotr, ale kobiecy leciały na niego szalenie. Mówił - w tej książce - że ciało kobiety jest jak skrzypce i trzeba być wielkim mistrzem, żeby pięknie grać Zdaję sobie sprawę, że to była okropnie głupia książka, ale tego kawałka o skrzypcach nie mogłem zapomnieć przez długi czas. Trochę też właśnie z tego powodu chciałem zdobyć doświadczenie na wypadek, gdybym się miał kiedyś później ożenić. Holden Caulfieid i jego Zaczarowane Skrzypce,

macie pojęcie! To głupie, sam rozumiem, ale przecież nie całkiem głupie. Nie miałbym nic przeciw temu, żeby się stać mistrzem w tej sztuce. Jeżeli mam już całą prawdę powiedzieć, to obcałowując dziewczynę tracę masę czasu i okropnie dużo mam kłopotu, zanim znajdę to, czego szukam. Trudno mi jaśniej tłumaczyć, chyba rozumiecie. Dla przykładu: wtedy z tą dziewczyną, o której już wspomniałem, o mały włos byłbym z nią dobił do celu - zmarnowałem całą godzinę, nim jej ściągnąłem ten cholerny biusthalter. A kiedy się wreszcie z tym uporałem, ona była już taka zła, że co najwyżej miała ochotę napluć mi w oko.

Krążyłem więc po hotelowym pokoju i czekałem na wizytę tej kurewki. Miałem nadzieję, że przynajmniej okaże się niebrzydka. Ale nie przywiązywałem nawet do tego wielkiej wagi. Właściwie zależało mi tylko na tym, żeby mieć tę historię za sobą. Wreszcie ktoś zapukał do drzwi, a kiedy szedłem, żeby otworzyć, napatoczyła się po drodze waliza, przewróciłem się jak długi i rozharatałem kolano. Zawsze mam takie zezowate szczęście i potykam się o coś w najmniej odpowiedniej chwili.

Otworzyłem drzwi, na progu stała dziewczyna. W palcie, bez kapelusza. Blondynka, ale od razu widać, że ufarbowana. W każdym razie na pewno nie stare pudło.

- Dobry wieczór pani - powiedziałem. Bardzo grzecznie.

- To z panem Maurice się umówił? - zapytała. Nie miała zbyt przyjacielskiej miny.

- Maurice to windziarz?

- Aha.

- Tak, ze mną się umawiał. Proszę, niech pani wejdzie - powiedziałem. W miarę jak się ta scena rozkręcała, zachowywałem się coraz swobodniej. Słowo daję.

Weszła, zdjęła zaraz palto i rzuciła je na łóżko. Miała na sobie zieloną sukienkę. Siadła jakoś boczkiem w fotelu przy biurku, założyła nogę na nogę i zaczęła nią huśtać w górę, w dół, w górę, w dół. Jak na prostytutkę zanadto wydawała się zdenerwowana. Naprawdę się denerwowała. Może dlatego, że była cholernie młoda. Mniej więcej w moim wieku. Siadłem w fotelu przy niej i poczęstowałem ją papierosem.

- Nie palę - powiedziała. Głos miała piskliwy, słabiutki. Ledwie ją było słychać. Nie mówiła też „dziękuję", kiedy jej się coś proponowało. Nikt jej widać tego nie uczył.

- Pani pozwoli, że się przedstawię. Jim Steele - powiedziałem.

- Ma pan zegarek? - spytała. Nazwisko oczywiście wcale jej nie obchodziło. - Ile pan ma właściwie lat?

- Ja? Dwadzieścia dwa.

- Fiu, fiu!

Zaskoczyła mnie. Powiedziała to tak jak, mówią dzieci. Od prostytutki, od takiej dziewczyny, spodziewałem się raczej usłyszeć: „Bujać to my” albo „Nie picuj”. A ona mówi: „Fiu, fiu!” - A pani ile ma?

- Za dużo, żeby panu uwierzyć - odparła. Dowcipna była. - Ma pan zegarek? - zapytała znowu. Wstała i przez głowę ściągnęła suknię. Czułem się jakoś dziwnie. Bo strasznie to niespodzianie zrobiła. Wiem, że kiedy dziewczyna nagle wstaje i ściąga suknię przez głowę, powinno to człowieka szalenie podniecić, ale ze mną było inaczej. Wcale a wcale nie byłem podniecony. Raczej przybity.

- Masz zegarek przy sobie?

- Nie. Nie mam - powiedziałem. Nie macie pojęcia, Jak się głupio czułem. - Jak ci na imię? - zapytałem. Nie miała pod suknią nic prócz fig. Okropnie kłopotliwa sytuacja. Fakt.

- Sunny. - Odpowiedziała. - No, zaczynajmy.

- Nie wolałabyś trochę porozmawiać? - powie. działem. Dziecinne pytanie, ale czułem się naprawdę głupio. - Czy tak ci się bardzo spieszy?

Popatrzyła na mnie jak na wariata.

- O czym, u diabła, chciałbyś rozmawiać? - zapytała.

- Bo ja wiem. O niczym szczególnym. Tak tylko myślałem, że może być miała ochotę pogadać chwilę.

Usiadła z powrotem w fotelu przy biurku. Widziałem, że nie jest zachwycona. Znowu bimbała nogą. Strasznie była nerwowa.

- Teraz może chcesz papierosa - zaproponowałem. Wyleciało mi z głowy, że jest niepaląca.

- Mówiłam ci, że nie palę. Słuchaj, jeśli chcesz rozmawiać, to rozmawiaj! Już! Nie mam czasu do stracenia.

Ale ja nie miałem pojęcia, o czym by tu z nią gadać, Przyszło mi na myśl, żeby ją spytać, w jaki sposób została prostytutką, ale bałem się zadać to pytanie, i tak zresztą nie chciałaby mi pewnie prawdy powiedzieć.

- Nie jesteś z Nowego Jorku, co? - zapytałem w końcu. Nic innego nie mogłem wymyślić - Z Hollywood - odparła. Wstała, podeszła do łóżka, podniosła z niego sukienkę. - Nie masz wieszaka? Suknia mi się wygniecie. Dopiero co prana.

- Mam, oczywiście - odpowiedziałem skwapliwie. Ucieszyłem się, że nareszcie mam coś do roboty. Wziąłem od niej suknię, powiesiłem w szafie ściennej na ramiączkach. Dziwna rzecz. Kiedy tak wieszałem ten łaszek, zrobiło mi się smutno. Wyobraziłem sobie dziewczynę, jak kupowała w wielkim magazynie konfekcyjnym tę sukienkę i nikt nie

domyślał się w sklepie, że jest prostytutką i jak żyje. Subiekt pewnie ją wziął za przyzwoitą dziewczynę, kiedy jej sprzedawał suknię. Nie wiem czemu, ale na myśl o tym zrobiło mi się cholernie smutno.

Usiadłem i spróbowałem nawiązać znów rozmowę. Z niej jednak była marna partnerka do konwersacji.

- Czy pracujesz na noc? - spytałem. A kiedy to powiedziałem, pytanie zabrzmiało jakoś okropnie.

- No.

Krążyła po pokoju. Wzięła z biurka kartę ze spisem potraw i zaczęła ją czytać.

- A w dzień co robisz?

Wzruszyła ramionami. Była bardzo chuda.

- Śpię. Do kina chodzę. - Odłożyła spis potraw i spojrzała na mnie. - Słuchaj no. Zaczynajmy. Nie mam czasu...

- Kiedy bo widzisz - powiedziałem - jakiś jestem dzisiaj nie w sosie. Miałem ciężki dzień. Słowo daję. Zapłacę ci, ale nie pogniewasz się, jeżeli damy temu spokój? Nie pogniewasz się? - Bo fakt, że nie miałem wcale ochoty. Czułem się zgnębiony, ani trochę nie podniecony, jeżeli chcecie wiedzieć prawdę. Ta dziewczyna była przygnębiająca. Ona i jej zielona suknia rozwieszona na ramiączkach w szafie. Zresztą wydaje mi się, że nigdy nie mógłbym robić tych rzeczy z dziewczyną, która całe dni spędza patrząc na idiotyczne filmy. Naprawdę myślę, że to niemożliwe.

Zbliżyła się do mnie z jakimś dziwnym wyrazem twarzy, jakby mi nie dowierzała.

- O co chodzi? - zapytała.

- O nic. - Nie macie pojęcia, jak się denerwowałem. - Widzisz, niedawno przeszedłem ciężką operację.

- Taak? A jaką?

- Tego... jak się nazywa... wycięcie klawikordu.

- Tak? A to ki diabeł?

- Klawikord? No, w rdzeniu pacierzowym. Bardzo głęboko w kręgosłupie.

- Taak? A to pech! - Siadła mi na kolanach. - Miły z ciebie chłoptyś.

Zdenerwowała mnie jeszcze gorzej. Wykręcałem kark, żeby odsunąć głowę.

- Jeszcze niezupełnie wróciłem do siebie - powiedziałem.

- Jesteś podobny do tego faceta z filmu. Do tego... wiesz? Wiesz, o którym mówię? Jak on się, u licha nazywa?

- Nie wiem... - powiedziałem. Nie chciała mi zleźć z kolan.

- Na pewno wiesz. Grał w tym obrazie z Melvinem Douglasem. Grał młodszego brata Douglasa. Tego, co to wyleciał z łódki. Wiesz?

- Nie. Nie chodzę do kina, chyba że już muszę.

Wtedy właśnie zaczęła się zachowywać coraz dziwniej. Po prostu ordynarnie.

- Przestań, dobrze? - powiedziałem. - Nie jestem w nastroju. Już ci mówiłem. Niedawno przeszedłem operację.

Nie zlazła z moich kolan, nie odsunęła się, tylko spojrzała na mnie z okropną złością.

- Słuchaj - powiedziała. - Spałam. Ten zwariowany Maurice wyciągnął mnie z łóżka. Jeżeli myślisz, że...

- Mówiłem, że zapłacę ci za fatygę. Słowo daję. Mam forsy jak lodu. Ale naprawdę dopiero co wstałem po ciężkiej...

- To po kiego diabła mówiłeś temu zwariowanemu Maurice'owi, że chcesz dziewczynki? Jeżeli dopiero co wycięli ci ten, jak tam się nazywa... No?

- Myślałem, że będę się czuł lepiej, ale czuję się fatalnie. Trochę się przerachowałem. Fakt. Bardzo przepraszam. Jeżeli zechcesz na chwilę wstać, żebym mógł sięgnąć po portfel... Bez żartów.

Zła była jak diabli, ale wreszcie zlazła z moich kolan, żebym mógł wyjąć z szuflady portfel. Wyciągnąłem pięciodolarówkę i dałem jej.

- Dziękuję - powiedziałem. - Stokrotnie dzięki.

- Piątka. Należy się dycha.

Próbowała mnie nabrać, to jasne. Od początku bałem się, że tak będzie, przeczuwałem.

- Maurice umówił się na pięć - powiedziałem. - piętnaście do południa. Pięć za krótki seans.

- Dziesięć.

- Maurice mówił pięć. Przepraszam, ale nie myślę bulić więcej.

Wzruszyła ramionami, tak samo jak przedtem, i odezwała się bardzo oschłym tonem:

- Zechce pan podać mi suknię? Czy też może to dla pana za wiele fatygi?

Coś w tej dziewczynie było niesamowitego. Nawet tym swoim słabiutkim głosem umiała człowiekowi stracha napędzić. Znacznie mniej bym się jej bał, gdyby była tęgą, starą prostytutką z twarzą grubo wysmarowaną szminką.

Podałem jej suknię. Włożyła ją, pozapinała, wzięła płaszcz leżący dotychczas na łóżku.

- Do zobaczenia, ofermo.

- Do zobaczenia - odparłem. Nie powiedziałem „dziękuję” ani nic w tym rodzaju, i bardzo dobrze zrobiłem.

14.

Sunny poszła sobie, a ja siedziałem jeszcze chwilę w fotelu i ćmiłem papierosy. Na dworze już świtało. Cholernie się czułem nieszczęśliwy. Nie macie pojęcia, jaki byłem przygnębiony. No i co zrobiłem? Zacząłem gadać, prawie na głos, do Alika. Zdarza mi się to kiedy jestem okropnie przybity. Mówię Alkowi, żeby skoczył do domu po swój rower, a potem spotkamy się przed domem Boba Fallona. Bobby Fallon mieszkał w naszym sąsiedztwie kilka lat temu. Któregoś dnia wybieraliśmy się z Bobem na rowerach do Lakę Sedebego. Mieliśmy wziąć z sobą prowiant, a także wiatrówki - byliśmy szczeniakami, zdawało nam się, że tymi dziecinnymi strzelbami upolujemy jakąś zwierzynę. Alik usłyszał, jak umawialiśmy się na tę wyprawę, i chciał jechać z nami, a ja mu nie pozwoliłem. Powiedziałem, że jest za mały. Dlatego teraz czasami, kiedy mnie chandra ogarnie, mówię do Alika: „Dobrze. Idź do domu po rower. Spotkamy się przed domem Boba. Nie marudź”. Nie znaczy to, żebym z reguły nie chciał Alika zabierać z sobą na rozmaite wyprawy. Brałem go chętnie. Ale tego dnia odmówiłem mu. Nie pogniewał się nawet; Alik nigdy się nie złościł ani nie obrażał, a mimo to zawsze, kiedy jestem bardzo zgnębiony, przypomina mi się to zdarzenie.

W końcu jednak rozebrałem się i położyłem. Kiedy już leżałem w łóżku, miałem ochotę pomodlić się czy coś w tym rodzaju, ale nie mogłem. Nie zawsze mogę się modlić, nawet jeśli mam ochotę. Po pierwsze jestem na swój sposób ateuszem. Chrystusa uznaję, ale nie bardzo mi się podobają różne historie w Biblii. Na przykład apostołowie. Jeśli mam być szczery, cholernie mnie irytują. Po śmierci Jezusa zachowywali się jak należy, w porządku, ale za jego życia tyle mu pomogli, co piąte koło u wozu. Niemal wszystkie inne osoby opisane w Biblii wolę od tych uczniów. Żeby powiedzieć całą prawdę, najbardziej lubię - po Chrystusie - tego opętańca, który mieszkał w grobowcach i kaleczył się o kamienie. Tego biedaka dziesięć razy bardziej lubię niż uczniów. Kiedy byłem w szkole w Whooton, toczyłem nieraz dyskusje na ten temat z pewnym kolesiem sąsiadującym ze mną w internacie na tym samym korytarzu. Nazywał się Artur Chlids. Był kwakrem i wciąż czytał Biblię. Sympatyczny chłopak, lubiłem go, ale w żaden sposób nie mogliśmy się pogodzić co do różnych historii z Biblii, a zwłaszcza co do uczniów. Artur utrzymywał, że jeśli krytykuję uczniów, to znaczy, że i samego Jezusa wcale nie kocham. Twierdził, że skoro Jezus wybrał sobie tych ludzi, mamy obowiązek ich także lubić. Ja na to odpowiadałem, że wprawdzie Jezus ich wybrał, ale wybrał na chybił trafił. Nie miał przecież czasu na dokładne

zanalizowanie każdego z nich. Mówiłem Arturowi, że nie znaczyło, żebym krytykował Jezusa, nic podobnego. Nie Jego wina, że nie miał dość czasu na wszystko. Pamiętam, że kiedyś spytałem Artura, czy jego zdaniem Judasz, który zdradził Jezusa, poszedł do piekła po samobójczej śmierci. Artur nie miał wątpliwości, że tak. I o to właśnie ogorzej się posprzeczaliśmy. Ja gotów byłem założyć się o tysiąc dolarów, że Jezus nie posłał Judasza do Piekła. Dziś bym jeszcze się o to założył, oczywiście gdybym miał tysiąc dolarów. Przypuszczam, że każdy z uczniów wyprawiłby Judasza do piekła, i to bez namysłu, ale Jestem pewien, że Jezus tego nie zrobił. Artur powiądł, że wszystkie moje kłopoty wynikają z tego, że nie chodzę do kościoła i nie jestem religijny. Trochę w tym było racji. Rzeczywiście nie chodzę do kościoła i tak dalej. Po pierwsze każde z moich rodziców należy do innego wyznania, a wszystkie ich dzieci są ateistami. Jeśli chcecie wiedzieć prawdę, nie znoszę wręcz pastorów. Wszyscy prefekci, których znałem w licznych szkołach zwiedzanych w ciągu życia, mówili swoje kazania przesłodzonym, świętoszkowatym głosem. O Boże, jak ja tego nienawidzę. Nie rozumiem, dlaczego nie mogę gadać zwyczajnie, po ludzku. Okropnie fałszywie brzmiało to ich gadanie.

Słowem wtedy, leżąc w łóżku, nie mogłem się ani rusz zdobyć na modlitwę. Bo kiedy próbowałem się modlić, zaraz mi w oczach stawała Sunny i w uszach brzęczało wyzwisko, które mi na pożegnanie rzuciła. Wreszcie usiadłem i wypaliłem jeszcze jednego papierosa. Miał wstrętny smak. Od wyjazdu z „Pencey” wypaliłem chyba ze dwie paczki.

Nagle, kiedy tak w łóżku paliłem papierosa, ktoś zapukał do drzwi. Usiłowałem wmówić sobie, że to nie w moje drzwi ten ktoś puka, ale w głębi duszy doskonale wiedziałem, że właśnie w moje. Wiedziałem także, kto to taki. Mam intuicję.

- Kto tam? - spytałem. Strach mnie obleciał. Takich rzeczy boję się cholernie.

Nikt się nie odezwał, tylko stukanie powtórzyło się znowu. Tym razem jeszcze głośniejsze.

Wreszcie wyskoczyłem z łóżka, w pidżamie, i uchyliłem drzwi. Nie potrzebowałem przekręcać wyłącznika, w pokoju i bez lampy było jasno, bo już był biały dzień. Pod drzwiami stała Sunny, a przy niej Maurice, rajfur i windziarz w jednej osobie.

- Co się stało? Czego tu szukacie? - zapytałem. Głos mi się trząsł okropnie.

- Nic wielkiego - odparł Maurice. - Tylko pięć dolarów.

Zabierał głos w imieniu obojga. Sunny stała tylko przy nim, z otwartą gębą, ale milcząca.

- Zapłaciłem dziewczynie. Dostała piątkę. Możemy się jej spytać - powiedziałem. Głos mi drżał cholernie.

- Mówiłem panu: dychę. Dychę za sztosa, piętnaście do południa. Tak mówiłem.

- Nie tak pan mówił. Pięć za sztosa. Piętnaście do południa - to się zgadza, ale dokładnie pamiętam, że...

- Otwórz pan drzwi.

- Po co? - spytałem. Serce tak mi się tłukło, że o mało chaty nie rozwaliło. Żebym chociaż był ubrany. Okropnie głupio być w pidżamie, kiedy się dzieje coś w tym rodzaju.

- Dalejże! - powiedział Maurice i pchnął mnie tą swoją ciężką łapą. O włos, a byłbym siadł na podłodze. Kawał chłopa był z tego sukinsyna. Jeszcze się nie opamiętałem, a już oboje byli w pokoju. Zachowywali się jak u siebie. Sunny przysiadła na parapecie okna. Maurice rozwalił się w fotelu i rozpiął kołnierz pod szyją - miał na sobie hotelową liberię windziarza. Denerwowałem się cholernie.

- No, kończmy interes. Muszę wracać do pracy.

- Powiedziałem już panu dziesięć razy: nic wam nie jestem winien. Dałem dziewczynie piątkę...

- Przestań pan pyskować. Forsa na stół.

- Dlaczego miałbym wam dawać drugą piątkę? - odparłem. Głos rozlatywał mi się po prostu na kawałki. - Chcecie mnie zwyczajnie naciągnąć.

Maurice rozpiął mundurową kurtkę od góry do dołu. Pod spodem miał tylko kołnierzyk, bez koszuli. Zaświecił gołym, kosmatym torsem.

- Nikt tutaj nikogo nie chce naciągać - powiedział. - Bul pan forsę.

- Nie.

Ledwie to wymówiłem, wstał z fotela i zaczął zbliżać się do mnie. Minę miał jak gdyby bardzo, bardzo a bardzo zmęczoną i znudzoną. Rany boskie, ależ miałem pietra! Pamiętam, że czekałem z rękoma złożonymi na piersi. Nie czułbym się tak źle, przynajmniej tak mi się wydawało gdyby nie ta przeklęta pidżama.

- Bul pan forsę! - Stał już teraz o pół kroku ode mnie. Powtarzał w kółko. - Bul pan forsę! - Kretyn, słowo daję.

- Nie!

Dawaj pan forsę, pókim dobry. Nie chciałbym cię, chłoptysiu, uszkodzić, ale mnie w końcu do tego zmusisz - powiedział. - Należy się piątka.

- Nic się nie należy - odparłem. - Jeżeli mnie palcem tkniesz, narobię krzyku jak diabli. Cały hotel postawię na nogi. Policję ściągnę i będzie grubsza draka.

Głos mi dygotał cholernie.

- Proszę bardzo. Wrzeszcz, bracie, nie krępuj się - powiedział Maurice. - Chcesz, widać, żeby się państwo starsi dowiedzieli, że ich synek z kurwą noc spędził w hotelu. Taki dzieciak i z lepszego domu!

Sprytny był drań. Fakt.

- Odczep się pan ode mnie. Gdyby z góry było umówione dziesięć, to co innego. Ale wyraźnie mówił pan...

- Płacisz pan czy nie? - Przyparł mnie już do samych drzwi. Pchał się wprost na mnie tym swoim obrzydliwym kudłatym żołądkiem i całym ciałem.

- Odczep się pan. Wynoście się z mojego pokoju - powiedziałem. Ręce wciąż trzymałem skrzyżowane na piersiach. Ale ze mnie frajera zrobili!

W tym momencie odezwała się po raz pierwszy Sunny.

- Ej, Maurice! Chcesz, żebym się dobrała do portfela? Leży na tym... jak się nazywa...

- Dobra. Bierz.

- Proszę nie ruszać mojego portfela!

- Już go mam - oznajmiła Sunny. Podniosła w palcach pięciodolarowy papierek, machnęła nim w moją stronę. - Widzisz? Biorę tylko piątkę, tyle, ile mi się należy. Nie jestem złodziejką.

Nagle zacząłem krzyczeć. Za żadne skarby świata nie chciałem krzyczeć, ale krzyknąłem.

- Nie, nie jesteś złodziejką! - wrzasnąłem. - Tylko kradniesz pięć...

- Zamknij się - powiedział Maurice i szturchnął mnie zdrowo.

- Zostaw go, Maurice - powiedziała Sunny. - Chodźmy stąd. Mamy forsę, tyle, ile się należało. Teraz chodźmy. No, idziesz?

- Idę - rzekł Maurice. Ale nie ruszył się z miejsca.

- A bo ja mu robię jaką krzywdę? - odparł tonem obrażonej niewinności, i nagle trzepnął palcami po mojej pidżamie. Mniejsza z tym gdzie, dość, że zabolało jak diabli. Powiedziałem mu, że jest podłym kretynem i świnią.

- Co mówisz? - spytał i przyłożył dłoń do ucha, jakby nie dosłyszał. - Coś powiedział? Co ja jestem?

Prawie że płakałem. Wściekły byłem i roztrzęsiony okropnie.

- Podły kretyn, świnia - powtórzyłem. - Dureń i oszust, a za dwa lata najdalej będziesz łaził obdarty po Licach i żebrał o dziesięć centów na kubek kawy. Będziesz łaził usmarkany i zapluty, w brudnych łachach i...

Wtedy uderzył mnie. Nie próbowałem nawet uchylić się ani usunąć mu z drogi. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, czułem tylko okropny ból w dołku.

Nie zemdlałem jednak, bo pamiętam, że leżąc na Podłodze otworzyłem oczy i widziałem, jak się oboje cieśli zamykając za sobą drzwi. Leżałem dość długo, tak jak przedtem po bójce ze Stradlaterem. Tylko że tym razem zdawało mi się, że umieram. Słowo daję. Miałem wrażenie, że tonę czy coś w tym rodzaju. Najgorsze było to, że nie mogłem tchu złapać. Kiedy się wreszcie podniosłem, musiałem wlec się do łazienki zgięty wpół i trzymając się za brzuch.

Ale ja mam bzika, przysięgam Bogu. W połowie drogi do łazienki zacząłem udawać, że dostałem kulę w brzuch. Maurice mnie kropnął. Teraz czołgałem się do łazienki żeby łyknąć whisky czy czegoś podobnego na uspokojenie nerwów i wzmocnienie; potem odegram się na draniu. Widziałem siebie, jak wychodzę z łazienki ubrany, odświeżony, spluwę mam w kieszeni, trochę się jednak zataczam. Idę na dół schodami, omijam windę. Muszę się czepiać poręczy, krew co chwila kapie mi kroplami z kąta warg. Co dalej? Schodzę parę pięter, trzymam się za bebechy, zostawiam za sobą wszędzie ślady krwi, w końcu dzwonię na windziarza. Maurice otwiera drzwi dźwigu, a tu ja stoję ze spluwą w ręku. Zaczyna krzyczeć, wysokim, przerażonym głosem błaga, żebym go puścił z życiem. Ale ja strzelam. Sześć kuł w opasły, kudłaty brzuch. Ciskam rewolwer w szyb dźwigu, przedtem jeszcze wytarłem wszelkie ślady moich palców. Pełznę z powrotem do swojego pokoju i wzywam przez telefon małą Jane, żeby przyszła opatrzyć moje rany. Jane wkłada mi w usta zapalonego papierosa, a ja tymczasem leżę i krwawię...

Wszystko przez te przeklęte filmy. Kino człowiekowi w głowie mąci. Poważnie mówię.

Siedziałem w łazience dobrą godzinę. Wykąpałem się, doprowadziłem w ogóle do porządku. Potem wróciłem do łóżka. Długo nie mogłem oka zmrużyć, nawet nie byłem zmęczony. W końcu usnąłem. Czułem się okropnie, myślałem, żeby ze sobą skończyć. Korciło mnie, żeby wyskoczyć oknem, i byłbym to może naprawdę zrobił, gdybym miał pewność, że mnie ktoś zaraz przykryje, jak tylko wyląduje na bruku. Nie chciałem, żeby banda głupców gapiła się na mnie, jak będę cały krwawą miazgą.

15.

Nie spałem długo, bo kiedy się zbudziłem, było chyba dopiero koło dziesiątej. Wypaliłem papierosa i zachciało mi się jeść. Nic przecież w ustach nie miałem od popołudnia, kiedy w Agerstown, idąc do kina z Brossardem i Ackleyem, zjadłem dwa sandwicze z mielonym mięsem. Ale to było dawno. Miałem wrażenie, że minęło od tego czasu pięćdziesiąt lat. Telefon stał tuż przy łóżku i już wyciągnąłem rękę, żeby zadzwonić i zamówić sobie śniadanie do numeru, ale w ostatniej chwili zląkłem się, że przyślą z tacą Maurice'a. Chyba tylko wariat mógłby przypuszczać, że marzyłem o spotkaniu z Maurice'em. Leżałem więc głodny w łóżku i wypaliłem drugiego papierosa. Myślałem, czyby nie zatelefonować do małej Jane, żeby się przekonać, czy już jest w domu i co porabia, ale nie byłem w nastroju.

W końcu zatelefonowałem do Sally Hayes. Sally uczyła się w college'u Mary A. Woodruff, ale wiedziałem, że powinna już być w Nowym Jorku, bo przed paru rodniami pisała mi o tym wszystkim w liście. Nie Przepadałem za Sally, ale znaliśmy się od bardzo dawna. W głupocie swojej z początku uważałem ją za inteligentną dziewczynę. A to dlatego, że była oblatana w sprawach teatru, literatury i innych takich rzeczach. Trzeba sporo czasu, nim się człowiek połapie, czy to głupia, czy też bardzo mądra osoba, jeżeli dużo umie gadać na te tematy. Ja w każdym razie potrzebowałem paru lat, żeby się skapować w przypadku Sally. Myślę, że byłbym odkrył prawdę znacznie wcześniej, gdybyśmy się mniej całowali. Zawsze popełniam ten błąd, że dziewczyna, z którą się całuję, wydaje mi się nadzwyczajnie inteligentna. W gruncie rzeczy jedno nie ma nic do drugiego, ale ja tak się zawsze łudzę.

W każdym razie zadzwoniłem wtedy do Sally. Najpierw odezwała się służąca. Potem ojciec Sally. Wreszcie Sally.

- Sally, to ty? - powiedziałem.

- Tak, a kto mówi? - spytała. Grała komedię, bo przedstawiłem się przez telefon jej ojcu.

- Holden Coulfield. Co u ciebie słychać?

- Holden! Szalenie się cieszę. U mnie świetnie. A co u ciebie?

- Także świetnie. A co słychać? To znaczy, jak ci leci w szkole?

- Doskonale - odparła. - A właściwie, tak sobie.

- No, to dobrze. Wiesz, dzwonię, żeby się dowiedzieć, co dzisiaj robisz. Dziś niedziela, można by się wybrać na jakiś poranek czy coś w tym rodzaju. Miałabyś ochotę pójść gdzieś ze mną?

- Bardzo chętnie. Cudownie!

Cudownie. Ze wszystkich wyrażonek na świecie tego najgorzej nienawidzę. Przez sekundę korciło mnie, żeby jej powiedzieć, że się pomyliłem, bo nie ma dzisiaj żadnego poranka. Ale już gadka szła dalej. Ściśle mówiąc. gadała Sally. Nie dopuszczała mnie do głosu. Najpierw opowiedziała mi o jakimś bubku z Harwardu - na pewno z pierwszego roku. tego jednak nie powiedziała oczywiście - który ją po prostu zamęcza. - Telefonuje do niej dniami i nocami. Dniami i nocami! To mnie zastrzeliło. Potem opowiedziała o innym bubku, kadecie z West Point, który także umiera z miłości do niej. Taka ważna babka. Zaproponowałem, żebyśmy się spotkali pod zegarem w „Biltmore" o drugiej po południu. Prosiłem, żeby się nie spóźniła, bo przedstawienie pewno zaczyna się o pół do trzeciej. Sally zawsze i wszędzie się spóźnia. Wreszcie odłożyłem słuchawkę. Wierciła mi dziurę w brzuchu tym gadaniem, ale była rzeczywiście bardzo ładna.

Kiedy się tak umówiłem z Sally, wylazłem z łóżka, ubrałem się, spakowałem walizę. Przed wyjściem z pokoju rzuciłem jeszcze okiem przez okno, bo chciałem zobaczyć, co porabiają moi zboczeńcy, ale wszyscy pospuszczali żaluzje. Rano widocznie byli wzorem wstydliwości. Zjechałem windą na dół i uregulowałem rachunek. Maurice'a nie spotkałem. Bardzo usilnie, co prawda, drania nie szukałem.

Przed hotelem wsiadłem w taksówkę, chociaż zielonego pojęcia nie miałem, dokąd jechać. Nie wiedziałem, gdzie się podziać. Była dopiero niedziela, w domu nie mogłem się pokazać przed środą, a już najwcześniej we wtorek. Szukanie nowego guza w drugim hotelu na pewno mnie nie nęciło. Cóż robić? Kazałem się zawieźć na dworzec główny. W ten sposób znalazłbym się w pobliżu „Biltmore", gdzie później miałem wyznaczoną randkę z Sally; wykombinowałem, że zostawię walizy w przechowalni, zamknę je tam w schowku i z kluczem od schowka w kieszeni pójdę na śniadanie. Byłem porządnie głodny. W taksówce wyciągnąłem portfel i przeliczyłem z grubsza pieniądze. Dokładnie już nie pamiętam, ile gotówki zostało, ale na pewno nie była to zawrotna suma. Mam taki talent, że potrafiłbym królewską fortunę przeputać w dwa tygodnie. Słowo daję. Z natury jestem utracjusz. Czego nie wydam, to zgubię. Najczęściej zapominam wziąć reszty, kiedy płacę rachunek w restauracji czy w jakimś nocnym lokalu. Rodzice wściekają się o to. Zresztą trudno im się dziwić. Co prawda, ojciec ma forsy jak lodu. Nie wiem dokładnie, ile zarabia, nigdy ze mną o tych sprawach nie rozmawiał, ale wyobrażam sobie, że niewąsko. Jest radcą prawnym. W tym

fachu forsa leci. Wiem zresztą, że mu floty nie brakuje, bo stale finansuje różne spektakle na Broadwayu. Spektakle z reguły kończą się klapą, a matka robi wtedy ojcu piekło. Matka choruje trochę od śmierci Alika. Bardzo jest nerwowa. Właśnie dlatego przede wszystkim piekielnie się martwiłem i niepokoiłem, jak przyjmie wiadomość o tym, że mnie znowu z budy wylali.

Zostawiłem walizy w przechowalni na dworcu i poszedłem do baru coś przekąsić. Zjadłem, jak na siebie, olbrzymie śniadanie: sok pomarańczowy, jajka na boczku, grzankę i kawę. Zwykle wystarcza mi sok z pomarańczy. Bardzo mało jadam. Fakt. Toteż chudy jestem cholernie. Miałem niby zaleconą dietę tuczącą, dużo skrobi i tym podobnych paskudztw, żeby przybrać na wadze, ale nie śniło mi się przestrzegać tego. Kiedy jestem poza domem, funduję sobie najczęściej sandwicze z serem szwajcarskim i mleko ze słodem. Coś lekkiego, ale w słodzie i mleku jest masa witamin. H. W. Caulfieid - Holden Witaminowy Caulfield.

Jadłem właśnie jajka, kiedy obok mnie przy barowym kontuarze usiadły dwie zakonnice; miały z sobą walizy, więc domyśliłem się, że pewnie przeprowadzają się do innego klasztoru i czekają na pociąg. Wyglądały nieporadnie, jakby nie wiedziały, co robić z walizami, więc im trochę pomogłem. Walizy miały z tych najtańszych, broń Boże nie skórzane ani eleganckie. Pewnie, że to nieważne, sam rozumiem, ale nie cierpię patrzeć na podróżnych, którzy mają tandetne walizki. Brzmi to okropnie, ale przyznam się: potrafię nawet znienawidzić kogoś od pierwszego wejrzenia tylko dlatego, że ma tandetną walizkę w ręku. Wiąże się to z pewnym wspomnieniem. Kiedy byłem w szkole w Elkton Hills, mieszkał ze mną w tym samym pokoju nijaki Dick Slagle, który miał marne, tanie walizy. Trzymał je pod swoim łóżkiem zamiast na specjalnym stojaku, żeby ich nikt nie oglądał i nie porównywał z moimi. Mnie to robiło cholerną przykrość i kombinowałem, żeby się swoich pozbyć jakimś sposobem albo zaproponować Dickowi zamianę. Miałem walizy z pierwszorzędnego sklepu, z prawdziwej cielęcej skóry, z wszelkimi szykanami, na pewno kosztowały niewąski grosz. Tymczasem zdarzyło się coś dziwnego. Posłuchajcie: po długich namysłach wpakowałem wreszcie swoje walizy także pod łóżko, zamiast je wystawić na stojaku, żeby Dick Slagle nie wyrobił sobie kompleksu niższości z ich powodu, i cóż bubek na to? Nazajutrz wyciągnął moje walizy spod łóżka i z powrotem wtaszczył na stojaki. Długo sobie łamałem głowę, nim dociekłem, dlaczego tak zrobił, aż w końcu odkryłem: Dick chciał, żeby koledzy myśleli, że to są jego walizki. Słowo daję. Chłopak miał na tym punkcie lekkiego hysia. Wiecznie mi na przykład dokuczał o te walizy. Mówił, że są zanadto nowe i burżujskie. To było jego ulubione określenie. Musiał je gdzieś usłyszeć czy też przeczytać. Wszystkie moje rzeczy były, jego zdaniem, cholernie burżujskie. Nawet wieczne pióro

miałem burżujskie. Pożyczał je ode mnie co prawda stale, ale było cholernie burżujskie. Mieszkaliśmy razem tylko przez dwa miesiące. Potem obaj poprosiliśmy o zmianę. A co najdziwniejsze, po przeprowadzce bardzo mi brakowało Dicka, bo ten chłopak miał morowe poczucie humoru i nieraz bawiliśmy się świetnie. Nie dziwiłbym się, gdyby się okazało, że jemu też było beze mnie markotno. z początku nazywał wszystkie moje manatki burżujstwem tylko dla żartu, a ja się nie przejmowałem, kawał wydawał się dobry. Ale po jakimś czasie coś się zmieniło, czułem, ze Dick już nie żartuje. Sęk w tym, że naprawdę przykro Jest dzielić pokój z kimś, kto ma znacznie gorsze walizki od ciebie, jeżeli twoje są rzeczywiście pierwszorzędne, a Jego tandetne. Można by się spodziewać, że jeżeli ten drugi jest inteligentnym chłopcem i ma poczucie humoru, będzie gwizdał na to, czyje walizy są bardziej eleganckie, a tymczasem nie, wcale nie gwiżdże. Przejmuje się poważnie. Między innymi dlatego właśnie mieszkałem we wspólnym pokoju z takim bałwanem jak Stradlater. On miał przynajmniej walizy nie gorsze ode mnie.

A więc te dwie zakonnice siedziały obok mnie i nawiązała się między nami rozmowa. Ta, która siedziała bliżej, miała pleciony koszyk, taki, jaki noszą siostry i dzieci z Armii Zbawienia, kiedy zbierają przed Gwiazdką składki na dobroczynność. Spotyka się te kwestarki na ulicach, zwłaszcza na Fifth Avenue, przed wielkimi magazynami i w podobnych miejscach. Zakonnica w pewnej chwili upuściła koszyk, a ja go podniosłem i podałem jej. Spytałem, czy zbiera pieniądze na jakiś cel. Powiedziała, że nie. Koszyk tylko dlatego miała w ręku, że nie zmieścił się przy pakowaniu do walizy. Uśmiechała się bardzo sympatycznie, kiedy patrzała na człowieka. Nos miała duży i na nim okulary w metalowej oprawie, co nikomu urody nie dodaje, a mimo to twarz miała cholernie sympatyczną.

- Myślałem, że siostra zbiera ofiary - powiedziałem. - Chętnie bym coś od siebie dołożył. Niech siostra zachowa pieniądze, będzie na początek przy najbliższej zbiórce.

- O, jak to miło z pana strony! - odparła, a druga zakonnica, jej przyjaciółka, odwróciła głowę i popatrzyła na mnie. Ta druga popijając kawę czytała coś z małej, czarno oprawnej książeczki. Wyglądało to na Biblię, ale było jak na Biblię za cienkie. W każdym razie w biblijnym stylu. Obie zadowalały się kawą i grzankami na śniadanie. To mi sprawiło przykrość. Nie cierpię obżerać się jajkami na boczku albo innymi rzeczami, kiedy ktoś obok mnie je tylko grzanki do kawy.

Przyjęły ode mnie dziesięć dolarów jako ofiarę. Sto razy wypytywały, czy aby na pewno mogę się takiej sumy pozbyć. Powiedziałem im, że mam kupę forsy przy sobie, ale miałem wrażenie, że mi nie bardzo uwierzyły. W końcu jednak wzięły te pieniądze. Obie dziękowały mi tak serdecznie, że aż było to kłopotliwe. Skręciłem rozmowę na inne tory i na

bardziej ogólne tematy, pytając, dokąd jadą. Wyjaśniły, że są nauczycielkami i właśnie przyjechały z Chicago, żeby w Nowym Jorku uczyć dzieci w jakiejś szkole przy Sto Sześćdziesiątej Ósmej czy Sto Osiemdziesiątej Szóstej, czy przy jakiejś innej zakazanej ulicy, gdzie diabeł mówi dobranoc. Ta, która siedziała obok mnie i miała okulary na nosie, powiedziała, że uczy angielskiego, a jej przyjaciółka - historii i ustroju Ameryki. Ćwieka mi zabiła w głowę, nie mogłem sobie wyobrazić, co ta moja nowa znajoma w drucianych okularach ucząc angielskiego myśli - skoro jest zakonnicą - o pewnych książkach, które musi przecież w swoich lekcjach uwzględniać. Chodzi mi o książki, które nie są może gorszące czy nieprzyzwoite, ale mówią o miłości, kochankach i tym podobnych sprawach. Na przykład Eustacja Vye z „Powrotu tubylca” Tomasza Hardy. Nie jest to rozpustnica oczywiście, ale ciekaw jestem, co myśli siostra zakonna, kiedy czyta historię Eustacji. No, ale nic nie powiedziałem. A właściwie powiedziałem tylko to, że angielski jest moim ulubionym przedmiotem w szkole.

- Naprawdę? Jakże się cieszę! - zawołała nauczycielka angielskiego, mniszka w drucianych okularach. - A co czytał pan w tym roku? Bardzo bym chciała wiedzieć.

Była rzeczywiście sympatyczna.

- No, przeważnie najstarsze zabytki anglosaskie. - Beowulfa”, Grendela, „Lorda Randala” i tak dalej. Ale od czasu do czasu zalecano dodatkową lekturę, więc przepytałem prócz tego „Powrót tubylca” Tomasza Hardy, „Romea i Julię” i „Juliusza Ce...” - Ach, „Romea i Julię”! To prześliczne. Chyba się Panu podobało, co?

Nie, nie mówiła wcale tak, jakbym się spodziewał po zakonnicy.

- Owszem. Bardzo. Bardzo mi się podobało. Były tam szczegóły mniej dla mnie zachwycające, ale na ogół wzruszyła mnie ta historia.

- A co się panu nie podobało? Pamięta pan? Szczerze powiedziawszy krępowało mnie trochę wdawanie się z nią w dyskusje o „Romeo i Julii”. Tam są przecież różne miłosne sceny, jakże o takich rzeczach mówić z zakonnicą. No, ale skoro sama chciała, porozmawialiśmy o tym trochę.

- Nie przepadam zanadto za Romeo i Julią - powiedziałem. - To znaczy, lubić, lubię, ale... sam nie wiem, jak to wyrazić. Chwilami nudzi mnie ta para. Bardziej się przejąłem, kiedy zginął Merkucjo, niż kiedy pomarli Romeo i jego Julia. Rzecz w tym, że przestałem lubić Romea, odkąd ten kuzyn Julii... jak on miał na imię?

- Tybalt.

- Odkąd Tybalt zabił Merkucja. Zawsze zapominam imienia tego bubka. Bo to Romeo był winien śmierci Merkucja, a Merkucjo podoba mi się najbardziej ze wszystkich osób w tej

tragedii. Sam nie wiem czemu. Ci wszyscy Montekiowie i Kapuleci udają także, szczególnie Julia, ale Merkucjo... Nie umiem tego wytłumaczyć. Merkucjo był sprytny i zabawny, i w ogóle sympatyczny. Okropnie mnie irytuje, kiedy ginie ktoś miły, zabawny i sympatyczny, i w dodatku z cudzej winy. Romeo i Julia przynajmniej sami sobie byli winni.

- Do jakiej szkoły pan chodzi? - spytała zakonnica. Pewnie chciała po prostu zmienić temat.

Powiedziałem jej, że uczę się w „Pencey". Słyszała o naszej budzie. Powiedziała, że to bardzo dobra szkoła. Nie próbowałem o tym dyskutować. Tymczasem druga zakonnica, ta, która uczyła historii i ustroju, wtrąciła się mówiąc, że na nie już czas. Wziąłem ich rachunek razem ze swoim, ale nie pozwoliły za siebie zapłacić. Musiałem oddać kartkę tej w okularach.

- I tak był pan aż nadto hojny - powiedziała. - Jest pan bardzo miłym chłopcem. - Była rzeczywiście sympatyczna. Trochę mi przypominała matkę Ernesta Morrowa, tę panią spotkaną w pociągu. Zwłaszcza kiedy się uśmiechała. - Nie wyobraża pan sobie, jak nam było przyjemnie z panem pogawędzić! - dodała.

Odwzajemniłem się mówiąc, że cała przyjemność była po mojej stronie. Powiedziałem to szczerze. A byłoby mi jeszcze przyjemniej, gdybym przez cały czas nie bał się, że lada chwila któraś z nich spróbuje wybadać, czy jestem katolikiem. Zdarzyła mi się taka sytuacja wiele razy. Do pewnego stopnia to zrozumiałe, bo moje nazwisko brzmi z irlandzka, a Irlandczycy są prawie wszyscy katolikami. Rzeczywiście mój ojciec był kiedyś katolikiem. Zmienił wyznanie żeniąc się z moją matką. Co prawda katolicy lubią o te sprawy wypytywać nawet wtedy, kiedy nie znają czyjegoś nazwiska. Miałem w Whooton kolegę katolika; nazywał się Louis Shaney. Na niego pierwszego natknąłem się w tej szkole. Siedzieliśmy zaraz po przyjeździe do Whooton obok siebie w poczekalni przed infirmerią, gdzie mieli nas przebadać na wstępie, i zaczęliśmy z sobą rozmawiać o tenisie. Louis interesował się tenisem, ja także. Powiedział mi, że co roku latem jeździ do Forest Hills na rozgrywki krajowe. Ja zwykle także tam kibicowałem, więc pogadaliśmy czas jakiś o największych asach kortu. Jak na swój wiek chłopak nieźle się orientował. Fakt. No i po chwili, kiedy nam się w najlepsze rozmawiało, spytał mnie niespodziewanie, czy nie wiem, gdzie w Whooton jest kościół katolicki. Od razu skapowałem, że chce w ten sposób wybadać, czy ja jestem katolikiem, czy nie. O to mu chodziło. Nie żeby był fanatykiem, ale wolał wiedzieć. Było mu przyjemnie rozmawiać ze mną o tenisie, ale byłoby mu jeszcze przyjemniej, gdybym się okazał jego współwyznawcą. Takie rzeczy doprowadzają mnie do wściekłości. Nie twierdzę, że tym pytaniem popsuł mi całą przyjemność nie, ale na pewno nic nie poprawił. Toteż bardzo się cieszyłem, że zakonnice nie zadały mi żadnego pytania w tym

rodzaju. Może by to nie zatruło naszej rozmowy, ale już by całe to spotkanie inaczej wyglądało. Nie mówię, że mam o to jakieś pretensje do katolików. Nie. Może bym tak samo postępował, gdybym był katolikiem. Mówię tylko, że nie umila to rozmowy. Tylko tyle.

Kiedy obie zakonnice wstały, zrobiłem coś okropnie głupiego i niezgrabnego. Paliłem papierosa i zrywając się, żeby je pożegnać, niechcący dmuchnąłem im dymem prosto w twarz. Zrobiłem to mimo woli, ale zrobiłem. Przepraszałem je sto razy, a siostry zachowały się wyrozumiale i bardzo grzecznie, ale i tak sytuacja była okropna.

Poszły sobie, a ja żałowałem, że dałem im tylko dziesięć dolarów na tę ich zbiórkę. No, ale przecież umówiłem się z Sally Hayes na poranek do teatru, potrzebowałem forsy na bilety i tak dalej. Mimo to żałowałem, że nie dałem więcej. Cholerne pieniądze. Zawsze w końcu człowiekowi ością w gardle staną.

16.

Zjadłem śniadanie, było dopiero południe, randkę z Sally miałem wyznaczoną na godzinę drugą, wybrałem się więc na dłuższy spacer. Nie mogłem jakoś zapomnieć tych dwóch zakonnic. Myślałem wciąż o tym ich starym, postrzępionym koszu, z którym chodziły zbierając pieniądze, jeżeli nie były zajęte lekcjami w szkole. Usiłowałem wyobrazić sobie moją matkę albo ciotkę, albo tę narwaną matkę Sally Hayes stojące przed jednym z wielkich magazynów i zbierające dary dla biednych do starego, wystrzępionego koszyka z łoziny. Trudno to było sobie wyobrazić. Jeszcze pół biedy z matką, ale z tamtymi dwiema ani sposobu. Ciotka jest, owszem, miłosierna, pracuje w Czerwonym Krzyżu i tak dalej, ale ubiera się zawsze bardzo szykownie i nawet spełniając swoje dobre uczynki usta ma uszminkowane. Ubrana jest pierwszorzędnie. Nie wyobrażam sobie, żeby zdobyła się na jakąś dobroczynność, jeśliby musiała przy tym włożyć czarną suknię i pokazać się bez szminki na ustach i bez tych wszystkich malowideł na twarzy. A matka Sally Hayes! Panie Jezu! Zgodziłaby się chodzić z koszykiem i zbierać datki chyba tylko pod tym warunkiem, żeby każdy ofiarodawca padał jej do nóżek i całował w tyłek. Gdyby ludzie wrzucali jej po prostu dary do koszyka i szli dalej nie oglądając się i nie zwracając na nią uwagi - cisnęłaby tę zabawę po godzinie. Znudziłaby się okropnie. Pozbybyłaby się co prędzej koszyka i pomknęłaby do jakiegoś szykownego lokalu na lunch. A to właśnie podobało mi się najbardziej w moich zakonnicach. Od razu było po nich widać, że w życiu nie jadły lunchu w żadnym szykownym lokalu. Strasznie smutno mi się robiło na myśl, że one nigdy nie chodzą do szykownych restauracji i nie mają żadnych rozrywek tego rodzaju. Rozumiałem że to nie są ważne rzeczy, a jednak było mi strasznie smutno, kiedy o tym myślałem.

Ruszyłem w stronę Broadwayu, tak sobie, dla zabawy, bo nie byłem tam od kilku lat. Zresztą chciałem natrafić na jakiś sklep z płytami otwarty mimo niedzieli. Szukałem dla Phoebe pewnej płyty z piosenką pod tytułem: „Mała Shirley Beans”. Bardzo było o nią trudno. Piosenka jest o takiej smarkuli, która nie chciał wyjść z domu, bo wyleciały jej dwa mleczne zęby na samym przodzie, i wstydziła się ludziom pokazać. Słyszałem tę płytę w „Pencey”. Miał ją kolega z innego piętra, próbowałem go namówić, żeby mi ją sprzedał, bo wiedziałem, że Phoebe szalałaby z zachwytu, ale chłopak się nie zgodził. Płyta była okropnie stara i zniszczona, nagrana przez murzyńską śpiewaczkę, Estellę Fletcher, dwadzieścia lat temu. Estella Fletcher śpiewa tę piosenkę w stylu dixieland i szorstko, bez odrobiny ckliwości. Gdyby to spróbowała zaśpiewać biała śpiewaczka, wyszłaby rzewna szmira, ale ta

Murzynka miała cholerny dryg i zrobiła z tego jedną z najlepszych płyt, jakie w życiu słyszałem. Kombinowałem sobie, że wyszukam „Shirley Beans” w którymś ze sklepów otwartych w dni świąteczne, a potem pójdę do parku. Była niedziela, a w niedzielę Phoebe często chodzi do parku, żeby nabiegać się na wrotkach. Znałem też jej ulubione miejsca w parku.

Mróz od poprzedniego dnia zelżał trochę, ale słońce nie pokazało się i spacer pieszy nie był bardzo przyjemny. Mimo to zdarzyło mi się coś przyjemnego. Tuż przede mną kroczyła rodzinka - ojciec, matka i pętak może sześcioletni; na pewno wyszli dopiero co z jakiegoś kościoła. Wyglądali ubogo. Ojciec miał na głowie popielaty kapelusz, taki, jaki noszą od święta biedacy, żeby zadać szyku. Rodzice idąc rozmawiali i wcale nie zwracali uwagi na malca. A malec był fajny. Zamiast iść po chodniku, szedł po jezdni, ale tuż przy krawężniku. Maszerował prosto niby po linie, jak to dzieci, i cały czas coś sobie mruczał i podśpiewywał. Dogoniłem pętaka i trzymałem się blisko niego, żeby podsłuchać, co śpiewa. Śpiewał tę piosenkę: „Jeśli ktoś przyłapie kogoś, co buszuje w zbożu...” Głosik miał smyk bardzo miły. Śpiewał sobie tak, dla zabawy. Auta z szumem przemykały tuż tuż, hamulce piszczały co chwila, rodzice nie zwracali na niego uwagi, a pętak wędrował wciąż naprzód jezdnią i śpiewał: „Jeśli ktoś przyłapie kogoś, co buszuje w zbożu...” Lżej mi się zrobiło na ten widok. Nie czułem się już tak okropnie przygnębiony.

Na Broadwayu ruch i tłum. Wprawdzie była niedziela i dopiero południe, ale już się roiło od ludzi. Tłum walił do kin - do „Paramounta” albo do „Astora”, albo do „Stranda”, albo do „Capitolu” czy do jakiegoś innego zwariowanego kinoteatru. Wszyscy wystrojeni odświętnie, jak to przy niedzieli, i wskutek tego jeszcze smutniejsze robili wrażenie. A już najgorsze, że ci ludzie - widać to było po nich - naprawdę chcieli iść do kina. Patrzeć wprost na nich nie mogłem. Rozumiem, że ktoś idzie do kina, bo nie ma nic lepszego do roboty, ale żeby naprawdę chcieć tego, żeby tam gorliwie dążyć, a nawet przyspieszać kroku - pojąć nie mogę i rozpacz mnie ogarnia. Zwłaszcza kiedy widzę, jak tysiące ludzi w milowych kolejkach, lgnących się wzdłuż kilku bloków, czeka tak okropnie cierpliwie na miejsce i możność wejścia. Słowo daję, było mi pilno wydostać się jak najprędzej z tego cholernego Broadwayu. No i miałem szczęście. W pierwszym sklepie, do którego wstąpiłem, znalazłem płytę z „Małą Shirley „Gans”. Zażądali aż pięć dolarów, bo płyta należała już do rzadkości, ale nie żałowałem forsy. Nie macie pojęcia jaki się nagle poczułem szczęśliwy. Doczekać się nie mogłem chwili, kiedy będę wreszcie w parku i odszukam Phoebe, żeby jej dać ten prezent.

Po wyjściu ze sklepu z płytami przechodziłem koło drugstore'u, więc wstąpiłem, bo przyszło mi na myśl żeby zadzwonić do Jane i dowiedzieć się, czy już przyjechała do domu na wakacje. Zamknąłem się w budce telefonicznej i nakręciłem numer. Pech chciał, że odezwała się matka Jane, więc odłożyłem słuchawkę. Nie miałem ochoty na długie gadki z matką Jane. Nie palę się w ogóle do telefonicznych rozmów z matkami znajomych dziewcząt. Może szkoda, że nie spytałem chociaż, czy Jane już jest w domu. Tyle mogłem zrobić bez wielkiej fatygi. Ale jakoś mi się nie chciało. Do takich rozmów trzeba być w nastroju.

Musiałem jeszcze postarać się o bilety do teatru, kupiłem więc gazetę, żeby zobaczyć, co i gdzie grają. z powodu niedzieli grały tylko trzy teatry. Niewiele myśląc wziąłem dwa bilety na parter, na sztukę: „Znam moją ukochaną”. Było to, zdaje się, jakieś benefisowe przedstawienie czy coś w tym rodzaju. Nie bardzo byłem ciekawy tej właśnie sztuki, ale wiedziałem, że Sally - królowa kabotynek - będzie w siódmym niebie, kiedy jej powiem, że mam na ten spektakl bilety, ponieważ grali w nim Luntowie. Sally lubi sztuki, które uchodzą za nadzwyczaj wyrafinowane i pikantne i w których występują Luntowie albo ktoś w tym stylu. Ja tego nie lubię. Jeżeli mam być szczery, w ogóle nie palę się do teatru. Pewnie, lepsze to niż kino, ale zachwycać się nie ma powodu. Przede wszystkim nie cierpię aktorów. Aktorzy na scenie nie zachowują się wcale tak jak prawdziwi ludzie. Tylko im się zdaje, że to umieją. Niektórym, tym najlepszym w pewnym stopniu to się udaje, ale nie na tyle, żeby mnie porwać. Bo jeśli któryś aktor jest naprawdę świetny, wyczuwa się, że on wie, że jest świetny, a to psuje całe wrażenie. Na przykład taki sir Lawrence Olivier. Widziałem go w „Hamlecie”. D.B. zaprowadził mnie i Phoebe na to przedstawienie w zeszłym roku. Najpierw zafundował nam lunch, a potem i teatr. Sam już przedtem widział Oliviera w „Hamlecie” i tak o tym opowiadał podczas lunchu, że zapaliłem się, aby także to zobaczyć. Ale nie bardzo byłem zachwycony. Nie rozumiem, co takiego nadzwyczajnego widzą ludzie w tym Olivierze. Głos ma wspaniały, to prawda, przystojny jest bardzo, przyjemnie też na niego patrzeć, kiedy się rusza, na przykład w scenie pojedynku czy tym podobnych, ale nie był takim Hamletem, o jakim nam D.B. opowiadał. Wyglądał raczej na wspaniałego generała niż na smutnego chłopaka w okropnych tarapatach. Najlepsza z całego przedstawienia wydała nam się ta scena, kiedy brat Ofelii - ten, co to na końcu pojedynkuje się z Hamletem - wybiera się w podróż, a ojciec daje mu mnóstwo dobrych rad. Stary gada, poucza syna, a tymczasem Ofelia robi bratu rozmaite kawały, wyciąga mu szpadę z pochwy, drażni go, zaczepia; chłopak kręci się, jak może, bo musi udawać, że go szalenie interesują te ojcowskie brednie. To było fajne. Ubawiłem się tą sceną naprawdę. Ale niestety nie było wiele scen w tym guście w całej sztuce. Małej Phoebe najbardziej się Hamlet podobał, kiedy głaskał swojego

psa po głowie. Uważała, że to było zabawne i sympatyczne. Racja. Powinien bym tę sztukę Przeczytać. Bo taką mam już naturę, że muszę każdą sztukę sam przeczytać, żeby naprawdę poznać treść. Kiedy aktor recytuje tekst, nie słucham właściwie treści. Wciąż czekam w napięciu, czy nie wytnie lada chwila jakiejś kabotyńskiej sztuczki.

Kiedy już miałem bilety na spektakl Luntów, wsiadłem w taksówkę i kazałem się zawieźć do parku. Powinienem był raczej pojechać koleją podziemną, bo z forsą już było marnie, ale chciałem co prędzej wydostać się z tego cholernego Broadwayu.

W parku było ponuro. Nie bardzo zimno, ale słońca wciąż ani śladu, wyglądało mi na to, że nic tutaj nie znajdę prócz psiego łajna, plwocin i obrzynków cygar a na ławkach strach było przysiąść, żeby portek nie przemoczyć. Wszystko to działało przygnębiająco i co chwila nie wiedzieć czemu dostawał człowiek gęsiej skórki idąc przez ten park. Nie miało się wcale wrażenia, że wkrótce już będą święta - Gwiazdka. Zdawało się raczej, że nic nigdy się nie zdarzy. Szedłem jednak dalej, kierując się ku promenadzie, bo tam zwykle bywa Phoebe, jeżeli się bawi w parku. Lubi jeździć na wrotkach w pobliżu estrady dla orkiestry. Zabawny zbieg okoliczności. Boja, kiedy byłem mały, także najchętniej w tym miejscu jeździłem na wrotkach.

Ale tego dnia nigdzie jakoś Phoebe nie było widać. Kręciło się kilkoro dzieci, z wrotkami i bez, a dwóch chłopców kopało miękką piłkę, strzelając balony. Phoebe ani śladu. Zauważyłem tylko małą dziewczynkę, mniej więcej w jej wieku, która siedziała samiutka na ławce i zapinała wrotki. Przyszło mi do głowy, że ta smarkata może zna Phoebe i będzie mogła mi powiedzieć, gdzie się Phoebe obraca i co porabia, podszedłem więc, siadłem obok niej i zagadnąłem:

- Nie znasz przypadkiem Phoebe Caulfieid?

- Kogo? - spytała. Miała na sobie dżinsy i chyba ze dwadzieścia sweterków. Od razu było widać, że jej matka sama te sweterki zrobiła, bo fason miały fatalny.

- Phoebe Caulfield. Taka mała dziewczynka, mieszka przy Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy. Chodzi do czwartej klasy...

- Aha. Znam.

- No widzisz. A ja jestem jej brat. Nie wiesz czasem gdzie ona może teraz być?

- Ona jest z klasy panny Galion, prawda? - spytała.

- Nie wiem. Ale chyba tak.

- To pewnie, jest w muzeum. Bo nasza klasa była w zeszłą sobotę - oznajmiła mała.

- W którym muzeum? - spytałem.

Wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem? - powiedziała. - W muzeum i już.

- W muzeum, dobra. Ale czy tam gdzie są obrazy, czy tam, gdzie są Indianie?

- Tam gdzie Indianie.

- Dziękuję pięknie - powiedziałem. Wstałem i już chciałem iść do muzeum, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że przecież jest niedziela. - Ale dzisiaj niedziela - przypomniałem dziewczynce.

- Niedziela? No, to Phoebe nie poszła do muzeum.

Cholernie się męczyła z przymocowaniem wrotek. Nie miała rękawic, łapy jej z zimna skostniały i zsiniały. Więc pomogłem smarkuli. Co prawda od lat nie miałem wrotek w ręku. Ale to nie filozofia. Możecie mi za pięćdziesiąt lat dać do ręki klucz i wrotki, a poradzę sobie nawet po ciemku. Przykręciłem jej rolki fajnie, smarkula podziękowała bardzo grzecznie. Sympatyczny dzieciak, dobrze wychowany. Szalenie lubię takie miłe, grzeczne dzieci, co umieją się zachować jak należy, kiedy im człowiek przykręci wrotki czy coś w tym rodzaju. Dzieci Przeważnie są miłe. Fakt. Zapytałem, czy nie miałaby ochoty pójść ze mną na filiżankę gorącej czekolady, ale Podziękowała. Nie może. Umówiła się z przyjaciółką. Takie smarkule zawsze się umawiają z przyjaciółkami. Fantastyczne!

Chociaż to była niedziela i nie mogłem się spodziewać, że zastanę tam Phoebe z całą jej czwartą klasą, chociaż było mokro i ponuro, polazłem przez cały park aż do muzeum przyrody. Wiedziałem, że właśnie to muzeum miała na myśli smarkula z wrotkami. Program wycieczek szkolnych, kiedy zwiedzają to muzeum, umiem na pamięć. Phoebe chodzi do tej samej budy, do której ja chodziłem kiedy byłem szczeniakiem, i sto razy nas tam prowadzono. Mieliśmy nauczycielkę, pannę Aigletinger, która ciągała nas do muzeum prawie co sobotę. Czasem oglądaliśmy zwierzaki, a czasem rozmaite rzeczy wyrobione przez Indian w dawnych wiekach. Garnki gliniane, wyplatane koszyki i tym podobne. Szalenie lubię to wspominać. Nawet dziś jeszcze. Pamiętam, że zwykle po obejrzeniu indiańskich wyrobów szliśmy do ogromnej sali, gdzie wyświetlano dla nas film. Kolumb. Stale szedł film o Krzysztofie Kolumbie, jak to on odkrył Amerykę, ile się namęczył, zanim przekonał starego Ferdynanda i Izabelę, żeby mu pożyczył forsy na zakup statków, a potem jeszcze mu się majtkowie zbuntowali, i tak dalej. Nikt się zanadto nie przejmował tym dziadem Kolumbem, ale zawsze mieliśmy z sobą masę cukierków, gumy do żucia i różności, a ta aula pachniała bardzo przyjemnie. Tak tam pachniało, jakby na dworze deszcz lał - chociaż naprawdę była pogoda - a tyś się znalazł w jedynym suchym, ciepłym, przytulnym miejscu na świecie. Cholernie lubiłem to muzeum. Pamiętam, że do auli, gdzie pokazywano film, szło się przez salę indiańską. Była to okropnie długa sala i musieliśmy tam zachowywać się cicho, mówić

tylko szeptem. Na czele szła nauczycielka, cała klasa za nią. Parami. Najczęściej moją parą była dziewczynka, Gertruda Levine. Upierała się, żeby ją przez cały czas trzymać za rękę. a łapy miała stale lepkie, spocone czy umazane. Podłoga była w sali kamienna, jeżeli ktoś miał w garści marmurki, a upuścił je - huk się robił piekielny; nauczycielka zatrzymywała całą klasę i cofała się wzdłuż węża par, żeby wykryć, kto i co narozrabiał. Ale nasza panna Aigletinger nigdy się nie złościła. Potem mijaliśmy indiańską łódź wojenną, długą bez końca, trzy razy dłuższą od cadillaka; było w niej ze dwudziestu Indian, niektórzy wiosłowali, inni tylko stali i wyglądali bojowo, a wszyscy mieli twarze specjalnie wymalowane na wojnę. Na dziobie siedział najdziwniejszy typ w masce. To był czarownik i znachor. Zawsze na jego widok ciarki mi chodziły po krzyżach, ale mimo to lubiłem go. Pamiętam też, że jeśli ktoś dotknął wiosła albo czegokolwiek po drodze, zaraz strażnik mówił: Dzieci, nie wolno niczego dotykać!” Mówił to jednak sympatycznym głosem, nie tak, jak cholerują policjanci albo żandarmi. Potem przechodziło się koło ogromnej oszklonej witryny, za którą siedzą Indianie i pocierają hubkę, żeby skrzesać ogień, a indiańska squaw tka na krosnach. Squaw tkająca kilim pochyla się nad krosnami tak, że było widać jej piersi. Wszystkie dzieci zaglądały jej w dekolt z zaciekawieniem, nawet dziewczynki, bo smarkule nie miały jeszcze wcale większych piersi niż my, chłopcy. Wreszcie tuż przed wejściem do auli, na prawo od drzwi, spotykało się Eskimosa. Siedział nad przeręblą wybitą w zamarzniętym jeziorze i łowił ryby. Obok niego na lodzie leżały duże ryby, które już złapał. Pojęcie przechodzi, ile w tym muzeum było oszklonych szaf. Jeszcze więcej można by zobaczyć na piętrze, na przykład sarny u wodopoju albo ptaki odlatujące przed zimą na południe. Na pierwszym planie były wypchane ptaki, zawieszone na drutach w powietrzu, w głębi po prostu namalowane na ścianie, ale wszystkie wyglądały Jak żywe i zdawało się, że naprawdę lecą na południe; Jeżeli wykręciłeś głowę i patrzyłeś na nie, że tak powiem, do góry nogami, wrażenie było jeszcze lepsze, jakby te Ptaki szalenie się spieszyły do ciepłych krajów. Ale największą zaletą muzeum było to, że wszystko tam stało zawsze na tym samym miejscu. Nic nigdy nie przesuwano. Mogłeś wracać sto tysięcy razy i zawsze Eskimos dopiero co złowił swoje dwie ryby, ptaki były w drodze na południe, samy piły u wodopoju, miały śliczne, smukłe nogi, a Indianka z obnażoną piersią wciąż tkała ten sam kilim. Nikt się nie zmieniał. Tylko ty byłeś inny niż za poprzednią wizytą. Nie dlatego nawet, żeby ci przybyło lat. Nie w tym rzecz. Byłeś inny, po prostu. Bo tym razem przyszedłeś w innym palcie. Albo dziewczynka, z którą zawsze chodziłeś w parze, dostała szkarlatyny i zastępowała ją inna smarkula. Albo zamiast panny Aigletinger prowadziła klasę inna nauczycielka. Albo od poprzedniego razu zdarzyło ci się podsłuchać, jak rodzice kłócili się okropnie w łazience. Albo właśnie przed chwilą minąłeś na ulicy jedną

z tych kałuż mieniących się kolorami tęczy od mieszanki benzynowej. Słowem, w ten czy inny sposób coś się w tobie zmieniło. Nie umiem wytłumaczyć jaśniej, co mam na myśli. A gdybym nawet umiał, nie jestem pewien, czybym miał ochotę.

Idąc przez park wyciągnąłem z kieszeni czerwoną dżokejkę i włożyłem ją na głowę. Nie bałem się spotkać nikogo ze znajomych, a mokro było cholernie. Szedłem tak i szedłem, wciąż rozmyślając o małej Phoebe, która prawie co sobota zwiedza pewnie muzeum tak jak ja, kiedy byłem szczeniakiem. Myślałem, że teraz Phoebe ogląda te samiutkie rzeczy, na które ja dawniej się gapiłem, a za każdym razem przychodzi do muzeum inna Phoebe. Nie powiem, żeby mnie te myśli przygnębiały, ale skłamałbym, gdybym napisał, że robiło mi się od nich szalenie wesoło. Niektóre rzeczy powinny by zostawać zawsze nie zmienione. Żeby można je wpakować do jednej z tych wielkich oszklonych szaf i tak je przechowywać. Wiem, że to niemożliwe, ale szkoda. Przynajmniej tak myślałem wtedy, idąc przez park.

Przechodziłem koło boiska z przyrządami do różnych zabaw i przystanąłem, żeby popatrzeć, jak dwóch zupełnie małych pętaków huśta się na desce opartej o grubą kłodę. Jeden pętak był tłuścioch i okropnie przeważał; trochę naciągnąłem deskę w stronę tego chudszego, żeby wyrównać wagę, ale widziałem po ich minach, że woleliby się bawić beze mnie, więc zostawiłem ich samych.

Potem zdarzyło się coś dziwacznego. Kiedy dobrnąłem do muzeum, w ostatniej chwili nagle odechciało mi się tam wchodzić; za skarby świata nie wlazłbym do środka. Po prostu nic mnie tam już nie ciągnęło - a przecież maszerowałem tu taki cholerny kawał drogi przez cały park i cieszyłem się na to jak wariat. Gdybym spodziewał się w muzeum spotkać Phoebe, pewnie bym wszedł, ale jej tam nie było. Wobec tego złapałem przed muzeum taksówkę i pojechałem do „Biltmore”. Właściwie bez ochoty, no ale nie było innej rady, skoro się umówiłem z Sally.

17.

Przyjechałem na miejsce za wcześnie, siadłem więc sobie na jednej ze skórzanych kanapek w hallu pod zegarem i robiłem przegląd babek. Większość szkół już zaczęła świąteczne wakacje, toteż około miliona dziewcząt stało albo siedziało w oczekiwaniu na chłopaków, z którymi się umówiły. Były takie, które zakładały nogę na nogę, i takie, które nie zakładały nogi na nogę, jedne miały nogi pierwszorzędne, inne miały szpetne podwozia, jedne wyglądały na wspaniałe babki, inne musiały być przy bliższym poznaniu okropne zołzy. Rewia naprawdę interesująca, zgodzicie się chyba ze mną. Ale także na swój sposób przygnębiająca, bo nie mogłem się opędzić od pytania, co się stanie z tymi wszystkimi dziewczętami. Co się z nimi stanie, kiedy pokończą szkoły i wyjdą z college'ów. Łatwo wykombinować, że większość powychodzi za mąż za bałwanów. Za bubków, którzy wiecznie gadają tylko o tym, ile mil przejechali na tylu a tylu galonach benzyny swoim nowym wozem. Za bubków, którzy wściekają się jak smarkacze, jeżeli ich pobijesz w golfa czy chociażby w taką durną grę jak ping-pong. Za dusigroszów. Za bubków, którzy nigdy nic nie czytają. Za cholernych nudziarzy... Ale co do nudziarzy powinienem być ostrożniejszy. Chcę przez to powiedzieć, że trzeba się trochę zastanowić, zanim się kogoś nazwie nudziarzem. Nie rozumiem nudnych ludzi. Słowo daję. Kiedy bytem w Elkton Hills, mieszkał ze mną przez dwa miesiące pewien chłopak, Harris Macklin. Był bardzo inteligentny, zdolny i tak dalej, ale gorszego nudziarza w życiu nie spotkałem. Głos miał okropnie chrapliwy, a gadał bez przerwy, jak karabin maszynowy. Gęba mu się nie zamykała po prostu, a co gorsza, nigdy nie mówił tego, co miałbyś ochotę usłyszeć. Ale jedną rzecz umiał wspaniale. Gwizdał drań jak nikt inny na świecie. Zaścielał łóżko albo wieszał ubranie w szafie - stale coś gmerał w szafie, aż mnie diabli brali - i przy tym gwizdał, o ile oczywiście nie skrzeczał tym swoim cholernym głosem. Umiał nawet gwizdać klasyczne kawałki, najczęściej jednak gwizdał jazz. Wybierał sobie jakąś bardzo typową jazzową melodię, na przykład „Blues na blaszanym dachu”, i gwizdał ślicznie, swobodnie - nie przerywając gmerania w szafie - aż zatykało człowieka. Oczywiście nigdy mu nie powiedziałem, że gwiżdże wspaniale. Nie można przecież stanąć przed koleżką i powiedzieć mu prosto z mostu: „Wspaniale gwiżdżesz”. Ale wytrzymałem z nim we wspólnym pokoju całe dwa miesiące - chociaż myślałem, że zdechnę z nudów - tylko dlatego, że tak fajnie gwizdał jak nikt na świecie. Więc co do nudziarzy, nie mam wyrobionego zdania. Może nie trzeba zanadto litować się nad sympatyczną dziewczyną, która wychodzi za mąż za jednego z nudziarzy. Większość z nich nie robi nikomu krzywdy, a kto

wie, czy każdy nie ma jakiegoś utajonego talentu, na przykład do gwizdania czy do czegoś innego w tym guście. Kto wie? Ja tam nie wiem.

Wreszcie zobaczyłem Sally wchodzącą po schodach pobiegłem na jej spotkanie. Wyglądała na medal. Słowo daję. Miała na sobie czarny płaszczyk i coś w rodzaju czarnego berecika na głowie. Rzadko nosi kapelusze, ale w tym bereciku było jej fajnie. Najśmieszniejsze, że w momencie kiedy ją zobaczyłem, od razu postanowiłem, że się z nią ożenię. Taki ze mnie wariat. Właściwie nawet jej nie lubię, a mimo to nagle wydało mi się, że jestem Ukochany i że chcę się z nią ożenić. Przysięgam Bogu, mam bzika. Nie zapieram się tego.

- Holden! - zawołała. - Jak to cudownie, że się znów spotykamy! Wieki cię nie widziałem!

Miała bardzo donośny głos, żenujący, jeśli się z nią było w jakimś publicznym miejscu. Uchodziło jej wszystko, ponieważ była cholernie ładna, ale mnie zawsze coś aż w tyłku kłuło, kiedy tak krzyczała.

- Szalenie się cieszę, że cię widzę - powiedziałem. Nawet szczerze. - Jak ci się powodzi?

- Absolutnie cudownie. Czy się spóźniłam?

Powiedziałem, że nie, chociaż rzeczywiście spóźniła się o jakieś dziesięć minut. W „Saturday Evening Post" i w innych pismach stale widzi się takie bzdurne obrazki przedstawiające faceta na rogu ulicy, wściekłego jak diabli, ponieważ dziewczyna się spóźnia. Rzewna lipa. Jeżeli dziewczyna zjawia się w końcu śliczna jak ta lala - kto by tam narzekał, że się o parę minut spóźniła! Nikt.

- Teraz warto by się pospieszyć - powiedziałem - bo przedstawienie zaczyna się o drugiej czterdzieści.

Zbiegliśmy ze schodów ku postojowi taksówek.

- A na co idziemy? - spytała.

- Nie wiem dokładnie. Grają Luntowie. Na nic innego nie mogłem dostać biletów.

- Luntowie! To cudownie!

A co! Mówiłem, że będzie w siódmym niebie, jeżeli jej zafunduję bilety na występ Luntów.

W taksówce po drodze do teatru trochę się całowaliśmy. Z początku nie chciała, żeby szminki z ust nie zetrzeć i tak dalej, ale ja byłem uwodzicielski jak diabli, no i w dodatku nie miała wyboru. Dwa razy, kiedy ta cholerna taksówka przyhamowała znienacka, o mało nie zleciałem z siedzenia. Taksiarze łobuzy nawet nie patrzą, gdzie się pchają ze swoją bryką,

słowo daję. A teraz dam wam dowód, że ze mnie naprawdę wariat: na zakończenie czułości powiedziałem jej, że ją kocham. Kłamstwo oczywiście, ale fakt, że wtedy, kiedy je mówiłem, sam w nie wierzyłem. Mam bzika, przysięgam Bogu, mam bzika.

- Och, mój najmilszy, ja także cię kocham - powiedziała Sally. I tym samym tchem dodała: - Obiecaj mi, że zapuścisz włosy. Uczesanie na jeża okropnie już się opatrzyło. A ty masz takie śliczne włosy!

Ja mam śliczne włosy! Cholera jasna.

Przedstawienie okazało się nie najgorsze. Sztuka jednak była trochę głupawa. Historia stu tysięcy lat życia pewnej pary. Zaczyna się od chwili, kiedy oboje są jeszcze młodzi, a rodzice dziewczyny nie pozwalają jej wyjść za tego chłopaka, ale zakochani i tak biorą ślub. Potem są coraz starsi i starsi. Mąż idzie na wojnę, a żona ma kłopoty z bratem, okropnym oliwą. Nie mogłem się jakoś tym zainteresować. Wcale mnie nie wzruszyły narodziny i zgony w tej rodzinie. Przecież to była po prostu banda aktorów. Mąż i żona stanowili co prawda bardzo sympatyczną parę, szalenie dowcipni oboje i tak dalej, ale nie bardzo mnie to interesowało. Po pierwsze wciąż przez wszystkie akty pili herbatę albo inne trunki. Nie widziało się ich inaczej, tylko zawsze albo lokaj podawał im herbatę, albo żona częstowała kogoś herbatą. I ustawicznie ktoś wchodził albo wychodził; w głowie się kręciło od patrzenia, jak co chwila to wstają, to siadają, tak w kółko. Parę małżeńską grali Alfred Lunt i Lynn Fontannę, świetni aktorzy, ale nie bardzo mi się podobali. Muszę jednak przyznać, że byli trochę inni, niż bywają na ogół aktorzy. Nie zachowywali się ani jak aktorzy, ani jak prawdziwi ludzie w życiu. Trudno to wytłumaczyć. Grali tak, jakby wiedzieli, że są gwiazdami teatru. To znaczy, że grali dobrze, owszem, ale trochę za dobrze. Ledwie jedno kończyło mówić, drugie odzywało się w te pędy. Miało to być tak jak w życiu, kiedy ludzie rozmawiają Przerywając sobie nawzajem w pół zdania. Na nieszczęście było to zanadto właśnie tak jak w życiu. Ta gra przypomina mi trochę Ernie'ego, pianistę z Greenwich Village. Artysta, który coś robi za dobrze, jeżeli się nie pilnuje, zaczyna po pewnym czasie popisywać się, starać o efekty, i w końcu robi to coś znacznie gorzej. No, ale w każdym razie Luntowie byli w całej tej sztuce jedynymi aktorami, którzy wydawali się naprawdę inteligentni. To muszę im przyznać.

W przerwie po pierwszym akcie poszliśmy w tłumie innych frajerów na papierosa. Wielkie nabijanie w butelkę. W życiu tylu kabotynów na raz nie widzieliście, a każdy zaciągał się dymem, aż mu się uszy trzęsły, i gadał o sztuce przekrzykując innych, żeby wszyscy usłyszeli i przekonali się, jaki to on jest genialny. Tuż obok nas stał pewien durny aktor filmowy i ćmił papierosa. Nie pamiętam jego nazwiska, ale grywa zawsze w filmach o

wojnie takiego bubka, który w ostatniej chwili przed wyskoczeniem z okopów do walki na bagnety dostaje cholernego pietra. Była z nim jakaś wspaniała blondyna i oboje udawali obojętnych, niby że wcale nie spostrzegają, że ludzie na nich patrzą. Tacy więcej skromni. Ubawili mnie nie najgorzej. Sally nie miała wiele do powiedzenia, tylko piała na cześć Luntów, a zresztą była zajęta wyłącznie rozglądaniem się na wszystkie strony i czarowaniem całego świata. Nagle zauważyła jakiegoś znajomego cymbała w drugim kącie sali. Taki bubek w bardzo ciemnym szarym ubraniu flanelowym i pstrokatej kamizelce w kratę. Z daleka od niego zalatywała Ivy League. Ważniak. Sterczał pod ścianą, zaciągał się papierosem jak samobójca i minę miał znudzoną jak diabli. Sally powtórzyła dziesięć razy: „Ja go skądsiś znam". Gdziekolwiek pójdziesz z Sally, ona zawsze i wszędzie kogoś zna albo przynajmniej tak jej się wydaje. Powtarzała te płytę tak długo, że w końcu stanęła mi kością w gardle i powiedziałem:

- To dlaczego nie podejdziesz do faceta i nie rzucisz mu się na szyję, jeżeli go znasz? Chłopak się na pewno ucieszy.

Rozżaliła się na mnie, kiedy jej to wygarnąłem. Wreszcie jednak cymbał spostrzegł ją i podszedł do nas, żeby się przywitać. Trzeba było widzieć, jak się witali. Myślałby kto, że tęsknili do siebie od dwudziestu lat. Myślałby kto, że jako niemowlęta kąpali się we wspólnej wanience i bawili razem w piasku. Para przyjaciół od dziecka. Rzygać się chciało. A najśmieszniejsze, że prawdopodobnie widzieli się przedtem jeden jedyny raz w życiu, i to na jakimś dętym przyjęciu. W końcu, kiedy się już nagruchali, Sally zapoznała bubka ze mną. Nazywał się George Cośtam, nie pamiętam już nawet jak, studiował w Andover. Cholernie ważny. Szkoda, żeście nie byli przy tym, jak Sally zapytała go, co myśli o tej sztuce. Należał do tego typu cymbałów, którzy muszą mieć dużo miejsca, żeby wygłosić swoje zdanie. Cofnął się o krok i nadepnął jakiejś babce, która za nim stała, na nogę. Chyba połamał jej wszystkie palce, ile ich miała. Oznajmił, że sama sztuka nie jest arcydziełem, ale Luntowie, rozumie się, to bezapelacyjne anioły. Anioły. Rany boskie! Anioły! Zatkało mnie. Potem zaczęli oboje z Sally rozmówki o różnych wspólnych znajomych. W życiu nie słyszałem bardziej idiotycznej gadki. Każde z nich starało się jak najprędzej przypomnieć sobie nazwę jakiejś miejscowości, a potem osobę, która tam mieszka, i wykrzyknąć jej nazwisko. Żeby nie to, że antrakt się właśnie skończył i musieliśmy wracać na swoje fotele, byłbym chyba pojechał do rygi. Słowo daję. Ale później, w przerwie po drugim akcie, nastąpił ciąg dalszy tej samej konwersacji. Znowu przypominali sobie różne miejscowości i różne osoby, które tam mieszkały. Na dobitkę facet miał głos fałszywy jak wszystkie bubki z Ivy League, taki odlewający głos typowego snoba. Mizdrzył się jak dziewczyna. Nie miał wcale skrupułów, że

podrywa mi babkę, którą ja przecież zaprosiłem do teatru. Była nawet po skończonym przedstawieniu taka chwila, kiedy myślałem, że wpakuje się z nami na trzeciego do taksówki bo lazł dobry kawałek drogi przy nas, ale w końcu okazało się, że jest gdzieś zaproszony na cocktail z paczką swoich koleżków. Jakbym ich widział w jakimś lokalu wokół stolika, wszystkich w kraciastych kamizelkach krytykujących sztuki teatralne, książki i kobiety tymi snobistycznymi, omdlewającymi głosami. Takie typy działają na mnie jak trutka. Miałem wrażenie, że słucham głosu tego durnego bubka z Andover od dziesięciu godzin, i nim wreszcie wsiedliśmy z Sally do taksówki, znienawidziłem prawie tę dziewczynę. Miałem zamiar odwieźć ją prosto do jej domu, słowo daję, ale Sally powiedziała:

- Wiesz, mam cudowny pomysł! - Zawsze miała jakieś cudowne pomysły. - Posłuchaj! O której godzinie musisz być w domu na obiedzie? Chodzi mi o to, czy się szalenie spieszysz, czy też masz jeszcze trochę czasu? Czy musisz wrócić do domu o jakiejś oznaczonej porze" - Ja? Nie. Wcale się nie spieszę do domu - odparłem, i była to najprawdziwsza prawda. - A bo co?

- Chodźmy poślizgać się w Radio City. Cudowne pomysły Sally zwykle są w tym guście.

- Poślizgać się? Teraz zaraz?

- Godzinkę czy coś koło tego. Nie masz ochoty? Bo jeżeli nie masz ochoty...

- Nie powiedziałem, że nie mam ochoty. Dobrze. Jeżeli chcesz.

- Szczerze mówisz? Bo jeżeli nie masz ochoty, nie zgadzaj się tylko przez grzeczność. Mnie przecież właściwie na tym nie zależy.

Spróbowałbym odmówić, okazałoby się, jak jej nie zależy.

- Wiesz, można tam wypożyczyć sobie taką szałową spódniczkę - powiedziała Sally. - Jeanette Cultz była w zeszłym tygodniu i mówiła, że spódniczki są szałowe.

Aha, to dlatego tak się paliła do ślizgawki. Chciała się koniecznie pokazać w takiej spódniczce, która ledwie kuperek zakrywa.

Pojechaliśmy więc do Radio City, wypożyczyliśmy tam łyżwy, a Sally przebrała się w tę swoją wymarzoną niebieską trzęsipupkę. Wyglądała w niej rzeczywiście jak ta lala. To musiałem jej przyznać. Ale niech wam się nie zdaje, że sama o tym nie wiedziała. Starała się wciąż wysuwać przede mnie, żebym nie omieszkał zauważyć, jak czarująco prezentuje się jej tyłeczek. Prezentował się naprawdę uroczo. Fakt.

Zabawa miała jednak tę złą stronę, że byliśmy najgorszymi patałachami na tej całej cholernej ślizgawce. Nie przesadzam. A widziało się tam różnych łyżwiarzy. Nogi Sally wyginały się w kostkach tak, że łydkami po lodzie smarowała. Wyglądało to okropnie głupio,

a w dodatku musiało też boleć okropnie. Przynajmniej za siebie mogę powiedzieć, że mnie nogi bolały jak diabli. Myślałem, że skonam. Musieliśmy fajnie wyglądać. Co najgorsze, było tam parę setek gapiów, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, jak sterczeć wokół bariery i przyglądać się, kto, jak i na kogo się przewraca, - Może byśmy lepiej weszli do środka i napili się czegoś? - zaproponowałem w końcu.

- To najcudowniejszy z wszystkich twoich dzisiejszych pomysłów - powiedziała Sally. O mało się dziewczyna nie zabiła na tym lodzie. Cierpiała dzikie męki. Aż mi się jej trochę żal zrobiło.

Odpięliśmy te diabelski łyżwy i weszliśmy do baru, gdzie można popijać to i owo, siedzieć bez butów, w samych pończochach, i patrzeć, jak się inni ślizgają. Wiedliśmy, Sally ściągnęła rękawiczki, a ja poczęstowałem ją papierosem. Minę miała nie za bardzo uszczęśliwioną. Podszedł kelner, zamówiłem dla dziewczyny cokę - Sally nie pije alkoholu - a dla siebie whisky z sodą, ale kelner sukinsyn nie chciał mi podać whisky więc musiałem także zadowolić się coką. Potem zacząłem się bawić zapalaniem zapałek. Mam już taki zwyczaj, kiedy wpadnę w odpowiedni nastrój. Pozwalam zapałce palić się, póki nie parzy palców, wtedy upuszczam ją na popielniczkę. Taki mój tik nerwowy.

Ni z tego, ni z owego Sally wystąpiła z takim przemówieniem:

- Słuchaj. Muszę wreszcie wiedzieć. Przyjdziesz w Wigilię pomóc mi w ubieraniu choinki czy nie? Muszę wiedzieć.

Wciąż jeszcze była zła, bo ją bolały kostki powykręcane na łyżwach.

- Odpisałem ci przecież, że bardzo chętnie. Pytałaś mnie o to już dwadzieścia razy. Pewnie, że przyjdę.

- Chodzi o to, że muszę wreszcie wiedzieć - powiedziała. Zaczęła się rozglądać po całej sali.

Nagle odechciało mi się zabawy z zapałkami, pochyliłem się trochę poprzez stolik ku Sally. Różne pytania cisnęły mi się na usta.

- Słuchaj no, Sally - powiedziałem.

- Co? - spytała. Przyglądała się właśnie jakieś innej dziewczynie w drugim kącie sali.

- Czy ty nie masz jeszcze po dziurki w nosie tego wszystkiego? - zapytałem. - Żeby się jaśniej wyrazić: czy nie ogarnia cię strach, że wszystko przepadnie, jeżeli jakoś wszystkiego sama nie zmienisz? Rozumiesz? No, czy lubisz szkołę i cały ten kram?

- Szkoła nudzi mnie potwornie.

- Ale czy jej nienawidzisz? Że nudna, to wiadomo, ale czy możesz ją ścierpieć?

- No, powiedzieć, że nienawidzę szkoły, to byłaby przesada. Trzeba przecież...

- A ja nienawidzę. Nie masz pojęcia, jak jej nienawidzę - przerwałem. - Ale nie koniec na tym. Chodzi jej tylko o szkołę. O wszystko. Nienawidzę mieszkać w Nowym Jorku. Nienawidzę taksówek i autobusów na Madison Avenue, konduktorów, którzy wrzeszczą na człowieka, jeżeli wysiada nieprzepisowo, nienawidzę ściskania łapy bałwanowi, który Luntów nazywa aniołami, nienawidzę jeździć windą do góry czy na dół, jeżeli mam ochotę po prostu wydostać się na ulicę, nienawidzę facetów, którzy wciąż przymierzają spodnie u Brooksa, ludzi, którzy wiecznie...

- Proszę cię, nie krzycz - powiedziała Sally. Najgłupiej w świecie, bo wcale nie krzyczałem.

- Na przykład samochody - powiedziałem. A powiedziałem to bardzo spokojnym, ściszonym głosem. - Większość ludzi ma bzika na punkcie samochodów. Martwią się najlżejszym zadrapaniem lakieru, ustawicznie gadają o tym, ile mil przejechali na jednym galonie benzyny, a ledwie kupią sobie nowiuteńki wóz, już zaczynają myśleć, jak by tu go zamienić na jeszcze nowszy. To wreszcie wcale nie znaczy, żebym przepadał za starymi wozami. W ogóle samochody mnie guzik obchodzą. Wolałbym mieć konia. Koń ma w sobie przynajmniej coś ludzkiego. Z koniem można przynajmniej...

- Nie rozumiem, o co chodzi - przerwała mi Sally. - Przeskakujesz z tematu na...

- Wiesz co, Sally? - powiedziałem. - Ty właśnie Jesteś jedyną przyczyną, że w ogóle jestem jeszcze w tej chwili w Nowym Jorku. Gdyby nie ty, byłbym już diabli wiedzą gdzie. W lasach, w jakiejś zapadłej dziurze. W gruncie rzeczy ty jesteś jedynym powodem, że stąd jeszcze nie zwiałem.

- Jakiś ty milutki! - odparła. Ale wyczuwałem, że Olałaby zmienić temat rozmowy.

- Powinna byś czasem zajrzeć do męskiej szkoły.

Spróbuj kiedyś! - powiedziałem. - Banda kabotynów a kształcą cię tam po to, żebyś nabrał tyle mądrości, ile potrzeba na zafundowanie sobie kiedyś cadillaka; musisz udawać, że cię szalenie obchodzi, czy drużyna szkolna wygrała mecz piłki nożnej, czy przegrała; rozmawia się od rana do wieczora wyłącznie o dziewczynach, o wódce i sprawach seksualnych, a cala banda dzieli się na wstrętne małe kliki. Trzymają z sobą sztamę bubki z drużyny koszykówki, trzymają sztamę katolicy, a także cholerni intelektualiści i amatorzy bridża. Nawet chłopcy, którzy należą do klubu „Najlepszej książki miesiąca", trzymają się we własnym towarzystwie. Jeśli masz ochotę na chwilę inteligentnej...

- Słuchaj no, Holden - znowu odezwała się Sally. - Wielu chłopców znajduje w szkole coś więcej niż to.

- Racja! Przyznaję, niektórzy znajdują coś więcej. Ale ja nic więcej nie mogę w szkole znaleźć. Rozumiesz? Właśnie o to mi chodzi. Właśnie o to! - odparłem. - Że nigdzie, z niczego nie mogę nic wyciągnąć. Jestem w fatalnej formie. W parszywej formie!

- Rzeczywiście, widzę to. Nagle strzelił mi do głowy ten pomysł.

- Sally - rzekłem - mam pomysł. Co byś powiedziała na to, żeby zwiać stąd do diabła? Posłuchaj. Znam w Greenwich Village jednego bubka, który mi na pewno zechce pożyczyć samochód na parę tygodni. Kolegowaliśmy się w szkole i do dziś jest mi winien dziesięć dolarów. Zrobimy tak: jutro rano pojedziemy do Massachusetts i do Vermont, i w ogóle w tamte okolice. Tam jest cholernie pięknie. Słowo daję! - W miarę jak rozwijałem swój plan, zapalałem się coraz bardziej. Wyciągnąłem przez stół łapę i chwyciłem Sally za rączkę. Taki ze mnie głupi wariat. - Poważnie mówię. Mam w banku coś około stu osiemdziesięciu dolarów. Jak tylko rano otworzą banki, podejmę forsę i polecę do tego bubka po sarno chód. Poważnie! Będziemy mieszkali w obozach campingowych, w różnych turystycznych dziurach, póki nam się forsa nie skończy. A jak się forsa skończy, znajdę jaką pracę i będziemy sobie żyli razem nad jakąś rzeczką; potem się pobierzemy, czy jak tam zechcesz. Zimą będę sam rąbał drzewo na opał. Przysięgam Bogu, będzie nam się żyło fajnie. Co ty na to? No, mów! Co ty na to? Zgodzisz się jechać ze mną? Zgódź się, Sally!

- Ale takich rzeczy nie można robić - powiedziała Sally. Była zła jak diabli.

- Dlaczego? Dlaczego nie można?

- Proszę cię, nie krzycz na mnie - powiedziała. Głupstwa plotła, wcale na nią nie krzyczałem.

- Dlaczego nie można? Dlaczego?

- Bo nie i już. Po pierwsze oboje jesteśmy właściwie jeszcze dziećmi. A czy ty się zastanowiłeś chociaż przez sekundę, co będzie, kiedy wydamy forsę, jeżeli nie znajdziemy żadnej pracy? Umrzemy z głodu. Cały ten pomysł jest tak fantastyczny, że nawet nie...

- Nie jest fantastyczny. Znajdę pracę. Nie martw się. Niech cię o to głowa nie boli. O co chodzi? Nie chcesz jechać ze mną? Powiedz, że nie chcesz ze mną...

- Ależ nie, nie dlatego - powiedziała Sally. W tym momencie już zaczynałem jej prawie nienawidzić. - Mamy jeszcze masę czasu na takie historie... na wszystkie te historie. Jak skończysz szkołę i tak dalej, no i jeżeli się pobierzemy. Wtedy będziemy mogli wybierać z tysiąca różnych pięknych miejscowości i pojedziemy we dwoje, gdzie zechcemy. Teraz jesteś po prostu...

- Nie. Nie będziemy mogli wybierać z tysiąca miejscowości. Wtedy wszystko będzie już inaczej wyglądało - odparłem. Znów byłem cholernie przygnębiony.

- Co mówisz? - spytała. -Nic nie słyszę. Przed chwilą krzyczałeś na mnie, a teraz znów ledwie...

- Mówię, że nie masz racji. Nie będzie żadnych cudów, kiedy skończę szkołę. Otwórz dobrze uszy. Wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej. Będziemy musieli zjechać na dół windą z walizkami i całym kramem Będziemy musieli telefonować do wszystkich znajomych mówić im „do widzenia", a potem wysyłać do nich kartki z widoczkiem różnych hoteli. Ja będę miał posadę w ja. kimś biurze, będę zarabiał kupę forsy, a do pracy będę jeździł samochodem albo autobusem przez Madison Avenue, będę czytał gazety i grał godzinami w bridża, i chodził do kina, i oglądał idiotyczne krótkometrażówki, zapowiedzi następnej sensacyjnej premiery i filmowy przegląd tygodnia. Przegląd tygodnia! Chryste Panie! Zawsze jakieś głupie wyścigi, jakaś wielka dama tłukąca butelkę szampana o burtę nowego statku, cholerny szympans w portkach na rowerze. Nie, to już będzie zupełnie co innego. Ani w ząb nie zrozumiałaś, o co mi chodzi.

- Możliwe, że nie zrozumiałam. Możliwe, że ty sam nie rozumiesz także - powiedziała Sally. Teraz już oboje nienawidziliśmy się nawzajem. Widziałem, że nie ma sensu nawet próbować z nią jakiejś inteligentnej rozmowy. Zły byłem jak diabli, że w ogóle zaczynałem.

- Chodźmy stąd wreszcie - powiedziałem. - Jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, d... mnie rozbolała od tego twojego gadania.

Ależ skoczyła, kiedy to powiedziałem. Przyznaję, nie powinienem był tego jej mówić, i w innych warunkach nigdy bym się tak nie wyraził, ale rozdrażniła mnie i zniechęciła cholernie. Na ogół nie używam ordynarnych słów, kiedy rozmawiam z dziewczętami. Ale też skoczyła pod sufit! Zacząłem przepraszać jak opętany, wszystko na nic: nie chciała słuchać. Nawet się rozpłakała. Zląkłem się trochę, że poskarży się w domu swojemu ojcu, co to ja jej powiedziałem. Ojciec Sally, ogromny, małomówny typ, i bez tego za mną nie przepadał. Powiedział kiedyś Sally, że jestem zanadto krzykliwy.

- Słowo daję, bardzo cię przepraszam - powtarzałem w kółko.

- Przepraszasz! Przepraszasz! Dużo mi to pomoce! - odpowiadała. Wciąż jeszcze pochlipywała i nagle poczułem naprawdę skruchę i żal, że tak brzydko się do niej odezwałem.

- Chodź, Sally, odwiozę cię do domu, słowo daję.

- Trafię do domu sama, dziękuję ci pięknie. Jeżeli sobie wyobrażasz, że wpuściłaby cię za próg domu, mylisz się grubo. Jak żyję, żaden chłopiec nie odezwał się do mnie w ten sposób.

Cała historia była mimo wszystko trochę zabawna, jeżeli się nad nią zastanowić, i nagle zrobiłem coś, czego nie powinienem był, broń Boże, zrobić. Wybuchnąłem śmiechem.

A trzeba wiedzieć, że z natury śmieję się okropnie głośno i głupio. Na przykład w kinie, gdybym siedział za takim jak ja bubkiem, pewnie bym się do niego nachylił i powiedział mu, żeby był łaskaw zamknąć buzię.

Sally wściekła się na dobre.

Przez chwilę jeszcze się jej czepiałem, przepraszałem, usiłowałem przebłagać, ale wszystko na darmo. Powtarzała wciąż swoje: „Idź sobie, zostaw mnie!” W końcu dałem za wygraną. Zwróciłem wynajęte łyżwy, odebrałem swoje buty i rzeczy; wyszedłem zostawiając Sally samą. Tego także nie powinienem był robić, ale już miałem tej hecy wyżej uszu.

Jeżeli chcecie wiedzieć prawdę, nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle wpakowałem się w tę awanturę. To znaczy, dlaczego proponowałem Sally wspólną wyprawę do Massachusetts, do Vermont i cały dalszy ciąg. Prawdopodobnie nie wziąłbym jej z sobą, nawet gdyby chciała. Nie nadawała się do tego wcale. Przerażające jest coś innego: to, że w momencie, kiedy robiłem tę propozycję, byłem szczery. To jest przerażające. Przysięgam Bogu - mam bzika.

18.

Wyszedłem ze ślizgawki trochę głodny, więc wstąpiłem do drugstore'u; zjadłem kanapkę z serem szwajcarskim, popiłem słodowanym mlekiem, a potem wlazłem do budki telefonicznej. Myślałem, czyby nie zadzwonić do Jane, żeby się dowiedzieć, czy już przyjechała na święta. Miałem przecież cały wieczór wolny przed sobą, więc gdybym zatelefonował i gdyby się okazało, że Jane jest w domu, mógłbym ją zaprosić na jakiś dansing czy coś w tym rodzaju. Znałem ją tak dawno, a nigdy jeszcze z nią nie tańczyłem. Tylko raz widziałem ją tańczącą. Wyglądała mi na dobrą danserkę. Było to czwartego lipca na zabawie w klubie. Nie znałem jej jeszcze wtedy na tyle, żeby ją odbijać partnerowi. Przyszła do klubu z okropnym bubkiem, który nazywał się Al Pike i był w college'u w Choate. Jego też nie bardzo znałem, chociaż kręcił się stale koło pływalni. Chodził w spodenkach kąpielowych z białego lastexu i skakał z najwyższej trampoliny. Zawsze zresztą przez cały boży dzień tym samym kiepskim stylem, z odwróceniem się w powietrzu na plecy. Innego skoku nie umiał, ale uważał się za wielkiego asa. Dużo mięśni, mało mózgu. Z tym właśnie bubkiem Jane przyszła tego wieczora na zabawę. Nie mogłem jej zrozumieć. Słowo daję, nie mogłem. Później, kiedy już trzymaliśmy z nią sztamę, spytałem, jak mogła umawiać się na randki z takim bencwałem. Odpowiedziała, że Al wcale nie jest bęcwałem. Że ma biedak kompleks niższości. Może i ma, ale moim zdaniem wcale to nie wyklucza bęcwalstwa. Dziewczyny! Nigdy nie można przewidzieć, co sobie uroją. Kiedyś zaprosiłem na randkę oprócz swojej sympatii jej koleżankę, do towarzystwa dla jednego mojego przyjaciela. To był Bob Robinson, który naprawdę miał kompleks niższości. Zauważyłem dobrze, że wije się ze wstydu, ponieważ jego rodzice wyrażali się niegramatycznie, zachowywali niezupełnie tak, jak wypada, i nie mieli forsy. Ale Bob nie był bęcwałem ani czymś w tym rodzaju. Porządny chłopak. No i nie spodobał się koleżance mojej ówczesnej sympatii, Roberty Walsh. Oświadczyła Robercie, że Bob jest zarozumiały. A dlaczego nazwała go zarozumialcem? Bob w rozmowie wspomniał, że jest kapitanem zespołu dyskusyjnego. Taki drobiazg wystarczył, żeby nabrała o nim fatalnej opinii. Z dziewczynami to właśnie jest najgorsze, że jeśli im się chłopak podoba, może być bęcwałem nie z tej ziemi, one będą się rozczulały nad jego kompleksem niższości. A jeśli im się nie podoba, niechby był najprzyzwoitszym chłopcem na świecie, niechby miał naprawdę cholerny kompleks niższości - powiedzą, że jest zarozumiały, i to się sprawdza nawet z najinteligentniejszymi dziewczynami.

Spróbowałem więc raz jeszcze zadzwonić do Jane, ale nikt się nie odezwał; musiałem odłożyć słuchawkę. Zacząłem przeglądać notes z zapisanymi adresami i numerami telefonów, rozmyślając, kogo by tu wytrzasnąć na dzisiejszy wieczór. Na nieszczęście miałem w notesie zapisane tylko trzy numery: po pierwsze Jane, po drugie Pana Antoliniego, który był w Elkton Hills moim nauczycielem, po trzecie - biurowy ojca. Stale zapominałem wpisywać do notesu numery. W końcu zatelefonowałem do Carla Luce'a. Luce skończył szkołę w Whooton po moim wyjeździe stamtąd. Był mniej więcej o trzy lata Marszy ode mnie i nie za bardzo go lubiłem, ale bądź co bądź uchodził w szkole za jednego z największych intelektualistów - podczas badań inteligencji osiągnął w Whooton najwyższy współczynnik - przyszło mi więc do głowy, że może zechce zjeść gdzieś ze mną obiad, to miałbym z kim inteligentnie pogadać. Czasem można się było od niego dowiedzieć czegoś ciekawego. Słowem, zadzwoniłem do tego Carla Luce'a. Studiował wtedy już na uniwersytecie Columbia, ale mieszkał w mieście, przy Sześćdziesiątej Piątej Ulicy, i wiedziałem, że o tej porze zastanę go w domu. Kiedy w końcu dodzwoniłem się do niego, powiedział, że na obiad przyjść nie może, ale zaproponował spotkanie o dziesiątej wieczorem w barze „Wicker", przy Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Miałem wrażenie, że zaskoczył go mój telefon. Nazwałem go przecież kiedyś spasionym kabotynem.

Do dziesiątej wieczorem zostało mi sporo czasu do zabicia, cóż było robić, poszedłem do kina w Radio City. Już chyba nic głupszego nie mogłem wymyśleć, ale przynajmniej kino miałem pod ręką, a zresztą nic innego nie wpadło mi do głowy.

Wszedłem na salę w momencie, kiedy odbywały się występy sceniczne. Girlsy wymachiwały nogami, aż się w głowie mąciło, jak to one zwykle, kiedy ustawią się w szereg i splotą za plecami ręce w łańcuszek. Widzowie klaskali jak zwariowani, a jakiś facet za mną wciąż powtarzał żonie: „Wiesz, w czym cała sztuka? W precyzji". Zirytował mnie ten cymbał. Po girlsach zjawił się na scenie bubek w smokingu, który uganiał na wrotkach między ciasno ustawionymi stolikami, nurkował nawet pod nimi, a w dodatku przez cały czas opowiadał kawały. Jeździł na wrotkach pierwszorzędnie, fakt, ale nie szalałem z zachwytu, bo wciąż wyobrażałem sobie, ile on musiał się namęczyć i natrenować, zanim mógł wystąpić na scenie jako mistrz wrotek. Ale może to się komu wyda głupie. Przypuśćmy, że po prostu nie byłem w odpowiednim nastroju. Po występie bubka zaczął się numer gwiazdkowy, jak co roku w Radio City w okresie świątecznym. Zawsze wtedy z wszystkich kątów wyłażą anioły, roi się wszędzie od facetów niosących krzyże, a cała banda - no, tysiące luda! - śpiewa jak najęta: „Przybywajcie, wierni!" Okropna szopa. Wiem, że to niby ma być szalenie pobożne i przepiękne, ale ja tam się nie mogę dopatrzeć ani pobożności, ani piękności, słowo daję, w

bandzie aktorów obnoszących po scenie krucyfiksy. Kiedy skończyli swój numer, wynosili się co prędzej i założę się, że pilno im było na papierosa i tak dalej. W zeszłym roku oglądałem ten sam spektakl razem z Sally Hayes, która nie mogła się uspokoić z zachwytu nad pięknością widowiska, kostiumów i całej parady. Ja wtedy powiedziałem, że Pan Jezus chyba pojechałby do rygi, gdyby zobaczył tę hecę, błazeńskie stroje i resztę. Sally oburzyła się i nazwała mnie bluźniercą i ateuszem. Może i miała rację. Ale mnie się zdaje, że Panu Jezusowi spodobałby się tylko muzykant, który w orkiestrze grał na kotle. Obserwuję go od dawna, zauważyłem go po raz pierwszy, kiedy miałem osiem lat. Bywaliśmy na tym przedstawieniu, ja i Alik z rodzicami, i zawsze podsuwaliśmy się aż pod samą orkiestrę, żeby się temu grajkowi z bliska przyjrzeć. W życiu lepszego nie widziałem. Ledwie parę razy podczas całego spektaklu miał okazję uderzyć w bęben, ale nie miał wcale znudzonej miny, kiedy czekał na swoją kolej. A kiedy wreszcie uderzał, grał tak ładnie, tak miło, a na twarzy miał wyraz wielkiego przejęcia. Kiedyś wyjechaliśmy z ojcem do Waszyngtonu i Alik posłał temu muzykowi z podróży kartkę z widoczkiem i pozdrowieniami. Myślę, że muzyk tej kartki nie dostał, bo nie bardzo wiedzieliśmy, jak zaadresować.

Dopiero po tej szopie gwiazdkowej zaczął się film. Ckliwa szmira - oczu nie mogłem od niej oderwać. „Treść była taka: pewien facet, Anglik, na imię mu było Alec, był ranny na wojnie i stracił pamięć, leżał w szpitalu i tak dalej. Wychodzi ze szpitala o lasce, kuleje, łazi po całym mieście - po Londynie - nie ma pojęcia, kim jest naprawdę. A jest naprawdę księciem, ale nic o tym nie wie. Na przystanku autobusowym spotyka miłą, szczerą, dobrą dziewczynę. Wiatr jej porywa kapelusz, ten Alec chwyta go, potem już razem siedzą na górnych miejscach w autobusie i zaczynają rozmowę o Dickensie. Okazuje się, że to ulubiony pisarz i jej, i jego. On ma przy sobie „Oliwera Twista" - ona także. Rzygać mi się chciało. No i natychmiast wybucha miłość, wszystko dlatego, że oboje przepadają za Dickensem. Alec pomaga dziewczynie w prowadzeniu wydawnictwa, bo ona ma firmę wydawniczą. Na nieszczęście nie bardzo jej się wiedzie, ponieważ jej brat pije i puszcza całą forsę w knajpach. Ten brat jest okropnie rozgoryczony; jako lekarz był na wojnie i miał szok nerwowy, dlatego teraz nie może operować pacjentów i z rozpaczy pije bez przerwy, ale w gruncie rzeczy chłopak jest bardzo inteligentny i zdolny. No i ten Alec pisze książkę, dziewczyna ją wydaje, wspólnie zarabiają na tym grubszą forsę. Już są zdecydowani pobrać się, kiedy nagle zjawia się druga babka, niejaka Marcja. Marcja była narzeczoną Aleca, zanim stracił pamięć, poznaje dawnego narzeczonego, kiedy Alec w księgarni rozdaje autografy. Od tej Marcji Alec dowiaduje się, że jest księciem, ale nie chce jej wierzyć i nie chce z nią iść do swojej matki. Matka jest ślepa jak nietoperz. Dopiero ta pierwsza, miła dziewczyna namawia Aleca, żeby

jednak tam poszedł. Bo jest bardzo szlachetna i nadzwyczajna. Więc Alec idzie. Ale pamięci nie odzyskuje nawet wtedy, kiedy jego dawny pies, olbrzymi dog skacze mu na piersi, ani kiedy rodzona matka wodzi palcami po jego twarzy i pokazuje mu pluszowego misia. którego w szczenięcych latach kochał nad życie. AŻ pewnego dnia jakieś pętaki grają w krokieta na trawniku i przypadkiem trafiają chłopa kulą w głowę. W oka mgnieniu cała przeszłość staje się mu znowu w pamięci, biegnie facet prosto w objęcia matki i całuje ją w czoło. Odtąd znów jest księciem wedle wszelkich prawideł, a dla odmiany zapomina o miłej dziewczynie, która prowadzi dom wydawniczy. Opowiedziałbym wam tę historię do końca, ale boję się porzygać. Dlatego nie dokończę, a nie dlatego żeby wam nie psuć przyjemności, gdybyście na ten film poszli. Słowo daję, nic tam już nie ma do zepsucia. Krótko mówiąc, Alec i miła dziewczyna pobierają się, brat - ten pijak - wraca do równowagi nerwowej, operuje matkę, która dzięki temu odzyskuje wzrok, a wtedy doktor pijak żeni się z Marcja. Na zakończenie wszyscy razem siedzą przy bardzo długim stole i zaśmiewają się do rozpuku, kiedy nagle olbrzymi dog wchodzi niosąc w pysku cały pęczek szczeniaków. Nikt nie wiedział, że ten pies to suka; na tym zdaje się, dowcip polega. Jedno w każdym razie na pewno mogę wam powiedzieć; nie idźcie na ten film, jeżeli nie chcecie się porzygać.

A już najbardziej ze wszystkiego zdziwiło mnie, że paniusia siedząca obok mnie zalewała się rzewnymi łzami przez cały czas wyświetlania tego filmu. Im głupsza była jakaś scena, tym głośniej paniusia łkała. Można by to sobie wytłumaczyć cholernie dobrym sercem, ale siedziałem blisko niej, więc przekonałem się, że wcale za dobrego serca nie miała. Był z nią mały pętak, który się okropnie nudził i potrzebował iść do toalety, a paniusia nie chciała go tam zaprowadzić. Powtarzała mu wciąż, żeby siedział cicho i był grzeczny. Takie dobre serce to i wilk by miał. Możemy się założyć, że na dziesięć osób, które oczy wypłakują nad głupią historią z filmu, dziewięć Jest w gruncie rzeczy sobkami i łajdakami. Poważnie mówię.

Film się skończył, wyszedłem i polazłem w stronę baru „Wicker", gdzie miałam się spotkać z Carlem Luce'em, a po drodze rozmyślałem o wojnie i tak dalej. Filmy z czasów wojny zawsze tak na mnie działają Myślę, że nie zniósłbym tego, gdybym musiał iść na wojnę. Naprawdę bym nie mógł tego znieść. Nie to najgorsze, że wysłaliby człowieka nie wiadomo dokąd i może ustrzelili czy coś w tym rodzaju, ale to, że trzeba by tak cholernie długo służyć w wojsku. W tym właśnie sęk. Mój brat, D.B., tkwił w wojsku przez całe cztery lata. Był też na wojnie - lądował w czerwcu 1944 roku z armią sojuszniczą we Francji i tak dalej - ale zdaje mi się, że bardziej nienawidził wojska niż wojny. Ja byłem wtedy jeszcze mały, pamiętam jednak, że kiedy przyjeżdżał do domu na urlop, nic nie robił, tylko wciąż leżał na łóżku. Nawet rzadko kiedy pokazywał się w innych pokojach. Później, kiedy

popłynął do Europy na wojnę, nie był ranny, i nie zabijał nikogo. Po prostu szoferował jakiemuś generałowi i obwoził go łazikiem po całych dniach. Powiedział kiedyś Alikowi i mnie, że gdyby musiał strzelać, nie wiedziałby, w którą stronę obrócić karabin. Mówił, że w naszej armii było właściwie nie mniej łajdaków niż u hitlerowców. Pamiętam, Alik raz zapytał go, czy nie wyszło mu jednak na dobre, że był na wojnie, bo skoro jest pisarzem, będzie miał teraz o czym pisać. Wtedy D.B. kazał Alikowi przynieść tę jego rękawicę baseballową i spytał, kto lepiej pisał o wojnie: Rupert Brooke czy Emily Dickinson. Alik odpowiedział, że Emiły Dickinson. Nie znam się na tych rzeczach, bo rzadko czytuję poezję, ale wiem, że oszalałbym, gdybym musiał tkwić w wojsku w bandzie takich bubków jak Ackley, Stradlater i Maurice w jednej osobie i z nimi razem odbywać marsze i inne tego rodzaju przyjemności. Należałem kiedyś do drużyny skautów, przez tydzień mniej więcej, i nie mogłem wytrzymać, tak nie cierpiałem widoku pleców i karku kolesia. którego wciąż miałem przed sobą. Bo wciąż mnie pouczali, żebym trzymał wzrok utkwiony w kark chłopaka. który stoi albo idzie przede mną. Słowo daję, jeżeli będzie kiedyś znów wojna, mogą mnie od razu wyprowadzić i postawić przed frontem plutonu egzekucyjnego. Nie będę miał nic przeciwko temu. Co mnie najbardziej dziwi, to ze D.B., chociaż tak nienawidzi wojny, dał mi zeszłego lata do czytania książkę pod tytułem „Pożegnanie z bronią". Mówił, że to wspaniała książka, i tego już nie mogę zrozumieć. Występuje w tej powieści porucznik Henry, niby to nadzwyczaj sympatyczny. Nie wiem, jak to możliwe, żeby D.B., który tak okropnie nie cierpi wojny i armii, lubił taką lipę. Chodzi mi o to, jak może D.B. zachwycać się fałszywą książką i jednocześnie lubić książki Ringa Lardnera albo tę książkę, za którą tak przepada: „Wielkiego Gatsby". D.B. rozzłościł się, kiedy mu to wygarnąłem, i powiedział, że jestem za młody, żeby mieć o tym zdanie. Ale ja nie przyznaję mu racji. Powiedziałem mu, że podobają mi się książki Lardnera i „Wielki Gatsby". To zresztą szczera prawda. Za „Wielkim Gatsbym" nawet szalałem. Gatsby! Równy chłop. Ten mnie wziął. No, ale w gruncie rzeczy cieszę się, że wynaleziono bombę atomową. Jeżeli znów będzie wojna, siądę sobie na tej cholernej atomówce. Zgłoszę się na ochotnika, słowo daję.

19.

Na wypadek, gdyby ktoś z was nie znał Nowego Jorku, wyjaśniam, że bar „Wicker" mieści się w bardzo szykownym hotelu „Seton". Dawniej często tam bywałem, ale potem dałem spokój. Odzwyczaiłem się z czasem. To jeden z lokali, które uchodzą za bardzo wyrafinowane, a kabotyni pchają się tam drzwiami i oknami. Były tam dwie babki, Francuzki, Tina i Janina, które parę razy w ciągu nocy występowały. Jedna grała na fortepianie - pitoliła potwornie - a druga śpiewała, przeważnie okropne świństwa albo francuskie piosenki. Janina - ta śpiewaczka - zawsze najpierw ćwierkała do mikrofonu: „A teraz zechcą państwo posłuchać piosenki o małej francuskiej dziewczynce, która przyjechała do wielkiego miasta, takiego jak Nowy Jork, i zakochała się w chłopcu z Brooklynu. Mamy nadzieję, że się państwu spodoba". Potem, kiedy się już naszeptała i namizdrzyła przed mikrofonem, zaczynała śpiewać jakąś kretyńską piosenkę pół po angielsku, pół po francusku, a tłum kabotynów szalał z radości. Jak się tam posiedziało czas jakiś i uszy człowiekowi spuchły od oklasków i uciechy tych kabotynów - musiał człowiek znienawidzić w końcu wszystkich ludzi na świecie. Słowo daję. Barmana także, bo to był okropny mydłek. Cholerny snob. Gęby do ciebie nie otworzył, jeżeli nie byłeś jakąś grubą rybą, sławnym asem albo czymś w tym rodzaju. A jeżeli byłeś grubą rybą, sławnym asem albo czymś w tym rodzaju - barman mógł cię przyprawić o mdłości. Podchodził do ciebie, uśmiechnięty od ucha do ucha, jakby chciał cię przekonać, ze jest przy bliższym poznaniu cholernie porządnym chłopakiem, i mówił: „Witam! Co słychać w Connecticut?", albo: „Co nowego na Florydzie?" Tak, to był obrzydliwy lokal, poważnie mówię. Z czasem przestałem tam bywać.

Przyszedłem trochę za wcześnie, usiadłem przy barze - tłok był niewąski - i zanim zjawił się Luce, wypiłem parę szkockich z sodą. Zamawiałem whisky stojąc przed kontuarem, żeby barman widział, jaki jestem wysoki, i nie potraktował mnie jak małoletniego smarkacza. Potem przez czas pewien obserwowałem tutejszych kabotynów. Jakiś bubek obok mnie okropnie bujał swoją babkę: wmawiał jej uporczywie, że ma arystokratyczne ręce. Aż mnie zatkało. U drugiego końcu baru roiło się od pedziów. Nie wyglądali za bardzo kompromitujące, nie mieli długich włosów na przykład, ale i tak od pierwszego rzutu oka poznałem, że to pedały. Wreszcie przyszedł Luce.

Stary koleś Luce. Co za typ! W Whooton miał niby być, jako starszy student, doradcą naszej grupy. Ale naprawdę udzielał nam swojej wiedzy tylko w sprawach seksualnych, kiedy zebrała się u niego późnym wieczorem paczka chłopaków. Znał się na tych rzeczach wcale

nieźle, zwłaszcza na zboczeniach. Stale nam opowiadał o koszmarnych typkach, co zadają się z owcami, albo takich, którzy wszywają w podszewkę swojego kapelusza damskie majtki. Także o pedałach i o lesbijkach. Luce na Pamięć znał wszystkich pedziów i wszystkie lesbijki na obszarze Stanów Zjednoczonych. Wystarczyło przy nim Upomnieć byle jakie nazwisko, a mój Luce zaraz objaśniał, czy to pedzio, czy nie. Czasem wprost trudno było pierzyć, że to wszystko są zboczeńcy, te różne osoby, które Luce wymieniał, aktorzy, gwiazdy filmu i tym podobne - Niektórzy z facetów, przez niego zaliczeni do pedziów, byli nawet żonaci. Więc zawsze ktoś przypierał Luce'a do muru: „Powiadasz, że Joe Blow jest taki? Joe Blow? Ten ogromny, silny chłop, który stale gra role gangsterów albo kowbojów?” A Luce na to: „Oczywiście”. Zawsze odpowiadał: „Oczywiście”. Tłumaczył nam, że nic to nie ma do rzeczy, czy facet jest żonaty, czy nie. Twierdził, że połowa żonatych mężczyzn na świecie to homoseksualiści, którzy często wcale nawet o tym nie wiedzą, że są homoseksualistami. Mówił, że można się stać homoseksualistą nagle w ciągu kilku godzin, jeżeli się ma predyspozycje do tego. Szerzył wśród nas panikę. Ze strachem czekałem dnia i godziny, kiedy się ni z tego, ni z owego zmienię w pedała. Co najdziwniejsze, sam Luce trochę mi na pedzia wyglądał. Zawsze proponował: „Może się zmierzymy?”, i łaskotał nas, jeśli którego mijał w korytarzu. A kiedy wchodził do klozetu, zostawiał z reguły drzwi otwarte i zagadywał do ciebie, jeżeli przypadkiem właśnie myłeś zęby nad umywalnią. Takie zwyczaje zalatują pedziem. Fakt. Znałem kilku prawdziwych pedziów, spotykałem ich w internatach szkolnych i gdzie indziej i wiem, że mają podobne maniery, dlatego trochę podejrzewałem Luce'a. Ale poza tym chłopak był rzeczywiście inteligentny. Fakt.

Kiedy przyszedł, nie powiedział „dzień dobry” ani nic w tym rodzaju. Ledwie usiadł, już oznajmił, że ma tylko kilka minut dla mnie, bo się z kimś umówił. Potem zamówił u barmana martini. Zastrzegł, że ma być wytrawny i żeby mu do niego nie podawać oliwek.

- Spójrz, mam dla ciebie chłopczyka - powiedziałem. - Tam, przy końcu kontuaru. Nie patrz teraz. Specjalnie go dla ciebie zachowałem.

- Świetny dowcip - odparł. - Nic się, jak widzę, nie zmieniłeś. Kiedy nareszcie wydoroślejesz?

Nudziłem się okropnie. Na pewno. Ale on mnie bawił. Należał do typu bubków, którzy mnie bardzo bawią.

- Jak tam twoje życie seksualne? - zapytałem. Nie cierpiał pytań w tym rodzaju.

- Uspokój się - powiedział. - Siądź sobie wygodnie i uspokój się, na Boga.

- Jestem spokojny - odpowiedziałem. - Jak ci leci na uniwerku? Lubisz Columbię?

- Chyba, że lubię. Gdybym nie lubił, to bym do tej budy nie chodził - rzekł. Czasem jednak i on bywał nudny.

- W czym się specjalizujesz? - spytałem. W zboczeniach? - Oczywiście żartowałem tylko.

- Czy to miał być dowcip?

- Nie, tak sobie gadam. Ale wiesz, Luce, ty jesteś chłopak inteligentny. Potrzebuję twojej rady. Jestem w cholernym...

Luce wydał z siebie groźny pomruk.

- Słuchaj, Caulfield. Jeżeli chcesz posiedzieć tu i w spokoju, grzecznie, napić się trochę przy spokojnej, grzecznej rozmów...

- Dobrze, dobrze - przerwałem mu. - Nic się nie bój! - Wiedziałem, że nie ma ochoty rozmawiać ze mną na jakiś poważniejszy temat. Zawsze tak jest z tymi cholernymi intelektualistami. Nie będą z tobą dyskutować poważnie, jeżeli nie są w nastroju. Wobec tego zacząłem zwykłą gadkę. - Bez żartów, co nowego w twoim życiu seksualnym? - spytałem. - Czy wciąż jeszcze chodzisz z tą babką, z którą romansowałeś za czasów Whooton? Wiesz, z tą, co miała taki fenomenalny...

- Broń Boże! - przerwał mi.

- Co się stało? Gdzie się podziała?

- Nie mam zielonego pojęcia. Skoro pytasz, przypuszczam, że do tej pory zdążyła się wyrobić na czołową dziwkę całego New Hampshire.

- A to brzydko z twojej strony, Luce. Jeżeli była na tyle przychylna, że się chciała z tobą tak długo zadawać, Mógłbyś przynajmniej w ten sposób na nią nie pyskować.

- O rany! - jęknął Luce. - A więc czeka mnie typowa rozmówka w stylu Caulfieldowskim? Wolałbym z góry wiedzieć.

- Nie - odparłem. - Ale co brzydko z twojej strony, to brzydko. Skoro była na tyle przychylna, ze pozwalała ci...

- Czy nie moglibyśmy zmienić tego natrętnego toku myśli?

Na to już nic nie odpowiedziałem. Bałem się, ze Luce wstanie i zostawi mnie samego, jeżeli nie zamilknę. Cóż było robić, zamówiłem jeszcze whisky. Miałem ochotę zalać się w pestkę.

- A z kim teraz flirtujesz? - spytałem. - Jeżeli możesz mi to powiedzieć, oczywiście.

- Nie znasz jej.

- Nie, ale kto to jest? Może właśnie ją znam.

- Babka z Greenwich Village. Rzeźbiarka. Skoro koniecznie chcesz wiedzieć.

- Taak? Poważnie mówisz? A ile ma lat?

- Bój się Boga! Nie pytałem jej.

- No, mniej więcej?

- Trzydzieści kilka, jak sądzę - rzekł Luce.

- Trzydzieści kilka? Takie wolisz? Lubisz starsze panie? - pytałem, bo wiedziałem, że Luce zna się na tych rzeczach. Był jednym z niewielu chłopców, o których wiedziałem, że się na tym naprawdę znają. Stracił cnotę mają czternaście lat, w Nantucket. Fakt.

- Jeżeli o to ci chodzi, wolę kobiety dojrzałe. Oczywiście.

- Naprawdę? Dlaczego? Bez żartów, powiedz, te starsze są lepsze? Pod względem seksualnym, rozumie się...

- Słuchaj no, postawmy sprawę jasno. Nie będę dzisiaj odpowiadał na żadne pytania typowe dla stylu Caulfieldowskiego. Kiedy, do diabła, wydoroślejesz?

Przez chwilę nic nie mówiłem. Dałem na razie za wygraną. Luce zażądał jeszcze jednego martini i pouczył barmana, że ma być znacznie bardziej wytrawny.

- Powiedz, Luce, jak długo będziesz się trzymał tej babki, tej rzeźbiarki? - spytałem. Naprawdę mnie to interesowało. - Czy znałeś ją już wtedy, kiedy byłeś w Whooton?

- Nie. Przyjechała do Stanów dopiero parę miesięcy temu.

- Tak? A skąd?

- Z Szanghaju.

- Bujasz! Chinka? Rany boskie!

- Oczywiście.

- Bujasz! To ci się podoba? Że jest Chinką?

- Oczywiście.

- Dlaczego? Chciałbym wiedzieć, naprawdę bym chciał.

- Po prostu dlatego, że filozofia Wschodu zadowala mnie bardziej niż filozofia Zachodu. Jeśli chcesz wiedzieć.

- Tak? A co rozumiesz przez filozofię? Seks? Te rzeczy? W Chinach lepiej się na tym znają. Tak?

- Niekoniecznie właśnie w Chinach. Powiedziałem: Wschód. Czy musimy kontynuować tę bezsensowną rozmowę?

- Luce, ja mówię poważnie - odparłem. - Bez żartów. Dlaczego Wschód lepiej się zna na tych rzeczach?

- Bój się Boga, to zbyt zawiły problem, żeby go tutaj wyjaśniać - rzekł Luce. - Oni po prostu uważają doznania seksualne za przeżycia zarówno fizyczne, jak duchowe. Jeśli myślisz, że ja...

- Ja też tak uważam! Ja też uważam, że to są te... jak się nazywa... doznania zarazem fizyczne i duchowe. Słowo daję. Ale wszystko zależy od tego, z kim. Jeżeli z kimś, kogo nawet wcale...

- Ciszej, na miłość boską! Jeżeli nie umiesz mówić ciszej, daj w ogóle spokój tym tematom.

- Dobrze, ale słuchaj - powiedziałem. Byłem już mocno podniecony i rzeczywiście gadałem trochę za głośno. Często mówię za głośno, kiedy jestem pod. niecony. - Właśnie o to mi chodzi. Wiem, że to powinno być zarazem i fizyczne, i duchowe, i artystyczne, i tak dalej. Ale chodzi mi o to, że nie można z każdym, z byle dziewczyną, która ci wpadnie w ręce, tego wszystkiego osiągnąć. A ty jak uważasz?

- Zmieńmy temat - rzekł Luce. - Jeśli pozwolisz.

- Dobrze, ale słuchaj. Na przykład ty z tą twoją cholerną babką. Dlaczego wam dwojgu tak dobrze ze sobą?

- Prosiłem cię, zmień temat.

Rzeczywiście zagalopowałem się z tymi pytaniami za daleko. Sam wiem. Ale właśnie to jest najgorsza wada Luce'a. Już w Whooton był taki: zawsze wyciągał z ciebie zwierzenia o najbardziej osobistych twoich sprawach, ale jeżeli ty nawzajem spytałeś go przypadkiem o jego osobiste sprawy, wpadał w złość. Intelektualiści lubią inteligentną rozmowę tylko pod tym warunkiem, że sami nią dyrygują. Zawsze wymagają, żebyś zamykał buzię, jeżeli oni już nie mają nic więcej do powiedzenia, i żebyś wracał do swojego pokoju, skoro oni mają ochotę wrócić już do swojego pokoju. Kiedy byliśmy w Whooton, Luce wściekał się - słowo daję, widać to było po nim - jeżeli po jego wykładzie na temat seksu cała kompania nie rozłaziła się zaraz do swoich pokojów, ale chciała jeszcze chwilę między sobą pogadać. Cała kompania, to znaczy ja i reszta chłopców. W pokoju któregoś z nas. Luce tego ścierpieć nie mógł. Życzył sobie, żeby każdy wynosił się do własnego pokoju i żeby wszyscy trzymali jęzory za zębami, skoro on już swój numer odstawił. Wiem, czego się bał: żeby ktoś inny nie powiedział czegoś jeszcze inteligentniejszego niż wszystkie mądrości, które on wygłosił. Bawił mnie ten Luce. słowo daję.

- Chyba pojadę do Chin - powiedziałem. - Moje życie seksualne jest pod psem.

- Oczywiście. Nie dojrzałeś jeszcze intelektualnie.

- To fakt. Sam sobie zdaję sprawę. A wiesz, w czym sęk? Nie mogę wpaść w nastrój seksualny - tak naprawdę, poważnie - jeżeli nie lubię dziewczyny. To znaczy, jeżeli jej naprawdę bardzo a bardzo nie lubię. Rozumiesz? Muszę tę dziewczynę szalenie lubić. Bo jak nie, to właściwie tracę całe zainteresowanie, no, nie chcę jej i już. Mówię ci, że przez to moje życie seksualne zupełnie nawala. Moje życie seksualne jest do kitu.

- Oczywiście. Mówiłem ci już przecież poprzednim razem, kiedy się widzieliśmy, czego ci potrzeba.

- Masz na myśli psychoanalizę i te historie? - spytałem. Bo Luce powiedział mi kiedyś, że powinienem się dać zbadać. Jego ojciec był psychoanalitykiem z zawodu.

- Mój Boże, jak sobie chcesz. To nie mój interes, co zrobisz ze swoim życiem.

Przez chwilę nic nie mówiłem. Myślałem.

- Przypuśćmy, że pójdę do twojego ojca i dam się zanalizować i tak dalej - rzekłem w końcu - Co on ze mną zrobi? No, powiedz, co mi zrobi?

- Nic strasznego. Będzie po prostu do ciebie mówił, a ty będziesz mówił do niego. Przede wszystkim pomoże ci rozeznać się we własnym układzie psychicznym.

- W czym?

- W układzie psychicznym. Twoja psychika... Ale słuchaj, nie myślę urządzać tu dla ciebie elementarnego kursu psychoanalizy. Jeżeli cię to interesuje, zatelefonuj do mego ojca i zamów sobie przyjęcie u niego. A jeżeli nie, to nie. Szczerze mówiąc, mnie to nic a nic nie obchodzi.

Położyłem mu rękę na ramieniu. Bawił mnie ten Luce żalenie.

- Życzliwy z ciebie koleś - powiedziałem. - Zdajesz sobie z tego sprawę?

Luce spojrzał na zegarek.

- Muszę spływać - oznajmił wstając. - Miło było spotkać się z tobą.

Przywołał barmana i kazał sobie podać rachunek.

- Powiedz mi, Luce - zagadnąłem go w ostatniej chwili. - Czy twój ojciec analizował kiedy ciebie?

- Mnie? Dlaczego o to pytasz?

- Tak sobie. No, co! Analizował?

- Niezupełnie. Dopomógł mi tylko w pewnym stopniu w przystosowaniu się, ale gruntowniejsza analiza nie była potrzebna. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Coś mi przyszło do głowy.

- No, tak. Więc trzymaj się, Caulfieid - powiedział. Zostawił napiwek i zbierał się już do odejścia.

- Wypij jeszcze jednego - zaproponowałem. - Proszę cię. Czuję się cholernie samotny. Bez żartów.

Ale powiedział, że nie może dłużej zostać. Już i tak się spóźnił. Wyszedł.

Taki był Luce. Sympatyczny właściwie jak wrzód na tyłku, ale trzeba przyznać, że miał bogaty słownik. Żaden chłopak w Whooton za moich czasów nie miał tak bogatego słownika jak Luce. Sprawdzali to przecież w szkole metodą testów.

20.

Siedziałem dalej sam, zalewałem się szkocką whisky i czekałem, żeby Tina i Janina wystąpiły ze swoim numerem, ale jakoś ich nie było widać. Za to pokazał się gość z miną pedzia i kędzierzawymi włosami i grał na fortepianie, a potem zjawiła się nowa jakaś babka, Walencja, i śpiewała. Dobrze to ta Walencja nie śpiewała, ale bądź co bądź lepiej niż Tina i Janina; przynajmniej repertuar miała lepszy. Fortepian był po prawej stronie baru, przy którym siedziałem, więc Walencja stała tuż koło mnie. Sypnąłem do niej oko, ale udawała, że mnie w ogóle nie widzi. Na trzeźwo nie zrobiłbym tego, byłem jednak już zalany w pestkę. Kiedy skończyła piosenkę, wymknęła się z sali tak błyskawicznie, że nie miałem okazji zaproponować, żeby usiadła i napiła się czegoś ze mną, więc zawołałem starszego kelnera. Prosiłem go, żeby zapytał grzecznie Walencji, czyby nie zechciała napić się czegoś w moim towarzystwie. Kelner obiecał powtórzyć jej moje zaproszenie, ale pewno jej wcale nic nie powiedział. Nikt nigdy nie spełnia takich próśb.

Tkwiłem przy tym cholernym barze aż do pierwszej po północy czy coś koło tego i zalewałem pałę coraz dokładniej. Już mi się wzrok mącił. Pilnowałem się tylko, zęby nie hałasować. Bałem się, żeby ktoś nie zwrócił na nie uwagi i nie zapytał, ile mam lat. Ale mówię wam, świata już nie widziałem dokoła. Kiedy już byłem na amen pijany, zacząłem znów zgrywać się głupio, udając sam przed sobą, że dostałem kulę w brzuch. Byłem jedynym gościem w barze z kulą w bebechach. Trzymałem rękę pod kurtką na żołądku, żeby zatamować krew i nie zachlapać podłogi. Nie chciałem, żeby ktokolwiek dowiedział się, że jestem ranny. To był mój sekret. Wreszcie w tym nastroju zachciało mi się zadzwonić do małej Jane i przekonać się czy już przyjechała na święta do domu. Zapłaciłem rachunek. Wyszedłem z baru i poszukałem telefonu. Rękę wciąż trzymałem pod marynarką, niby tamując krwotok. Nie macie pojęcia, jaki byłem zalany.

Ale kiedy znalazłem się w budce telefonicznej, jakoś odechciało mi się dzwonić do Jane. Za bardzo byłem pijany, pewnie dlatego. Niewiele myśląc zatelefonowałem do Sally Hayes.

Ze dwadzieścia numerów nakręciłem, zanim trafiłem na właściwy. Cholernie mi się wzrok mącił.

- Halo! - powiedziałem, kiedy w końcu ktoś odezwał się w słuchawce. Właściwie nie powiedziałem, ale wrzasnąłem. Taki byłem pijany.

- Kto mówi? - spytał bardzo ozięble kobiecy głos.

- To ja, Holden Caulfield. Chciałbym mówić z Sally.

- Sally śpi. Przy telefonie jej babka. Dlaczego dzwonisz o takiej niemożliwej porze, chłopcze? Czy wiesz, która jest godzina?

- Wiem. Chcę mówić z Sally. Ważna sprawa. Niech ją pani poprosi do telefonu.

- Sally śpi, młody człowieku. Proszę zatelefonować jutro, za dnia. Dobranoc.

- Niech ją pani obudzi! Niech ją pani obudzi! Koniecznie!

Z kolei odezwał się inny kobiecy głos.

- Holden, to ja! - mówiła Sally. - Co to znów za pomysł?

- Sally? To ty?

- Tak. Nie krzycz. Upiłeś się?

- Aha. Słuchaj, słuchaj, przyjdę do ciebie w Wigilię. Dobra? Przyjdę ubierać tę twoją zasmarkaną choinkę. Dobra? Powiedz, Sally.

- Dobrze. Jesteś pijany. Idź do łóżka. Skąd dzwonisz? Kto tam z tobą jest?

- Sally! Przyjdę ubierać dla ciebie choinkę, dobra? Powiedz, dobra?

- Ależ tak. Teraz idź spać. Gdzie jesteś? Kto tam z tobą jest?

- Nikt. Sam jestem, samiutki z sobą samym... - Nie macie pojęcia, jaki byłem zalany, i wciąż trzymałem się za brzuch. - Dostali mnie. Banda Rocka mnie dostała. Słyszysz, Sally? Słyszysz?

- Nie, bardzo źle słychać. Idź do łóżka. Ja już muszę kończyć tę rozmowę. Zadzwoń jutro.

- Ej, Sally! Chcesz, żebym ci ubrał choinkę? Chcesz? No, mów.

- Dobrze. Dobranoc. Wracaj do domu i połóż się spać.

Odłożyła słuchawkę.

- Dobranoc, dobranoc, Sally, malutka, Sally najmilsza, kochana - gadałem. Widzicie, jaki byłem zalany? W końcu także powiesiłem słuchawkę. Wyobrażałem sobie, że Sally dopiero co wróciła z jakiejś randki. Wyobraziłem sobie, że spędziła wieczór z Luntami i z tym durniem z Andover. Wyobrażałem sobie całe to towarzystwo pływające w herbacie, przerzucające się wyrafinowanymi dowcipami, nadzwyczaj urocze i cholernie fałszywe. W brodę sobie plułem, że zadzwoniłem do Sally. Kiedy się upiję, zupełny ze mnie wariat.

Nie wyłaziłem z tej budki telefonicznej dość długo. Czepiałem się telefonu, myślałem, że się przewrócę, Jeżeli wypuszczę z rąk to oparcie. Prawdę powiedziawszy. marnie się czułem. W końcu jakoś się stamtąd wygramoliłem i zataczając się jak kretyn polazłem do toalety dla panów. Nalałem pełną umywalnię wody, wpakowałem w nią łeb aż po uszy. Nawet nie próbowałem potem wytrzeć głowy. Co mi tam, niech kapie, cholera. Siadłem pod

oknem na kaloryferze. Kaloryfer był przyjemny, ciepły. To mi się spodobało, bo trząsłem się cały od dreszczy jak kundel. Dziwna rzecz, zawsze mnie tak trzęsie, kiedy jestem pijany.

Nie miałem nic lepszego do roboty, więc siedziałem na kaloryferze i liczyłem białe kafelki w podłodze. Tymczasem przemokłem do nitki. Chyba z galon wody pociekł mi z głowy na kark, miałem już mokrzuteńki kołnierz i krawat, i wszystko, ale nie zwracałem na to uwagi. Za bardzo byłem pijany, żeby na cokolwiek zważać. Jakoś w chwilę potem wszedł ten facet, który akompaniował na fortepianie Walencji, ten kędzierzawy, pedziowaty gość; przyszedł, żeby przyczesać swoje złote loki. Kiedy się czesał, zagaiłem coś w rodzaju pogawędki, ale nie bardzo się palił do znajomości ze mną.

- Będzie się pan widział z tą małą Walencją, jak pan wróci do baru? - spytałem.

- Rzecz jest nader prawdopodobna - odpowiedział. Dowcipniś. Stale się natykam na takich dowcipnisiów.

- Niech pan jej się kłania ode mnie. Niech pan spyta, czy kelner powtórzył jej moją prośbę. Spyta pan?

- Dlaczego pan nie idzie do domu? i w ogóle, ile pan ma lat?

- Osiemdziesiąt sześć. Słuchaj pan... Proszę się jej ode mnie kłaniać. Dobra?

- Dlaczego pan nie idzie do domu?

- Ani mi się śni. Wie pan co, pan fajnie gra na fortepianie, słowo daję - powiedziałem. Chciałem go wziąć pod włos. Prawdę mówiąc grał podle. - Powinien pan występować w radio. W dodatku chłopak jak lalka. Z tymi złotymi lokami. Nie szuka pan czasem impresaria?

- Idź pan lepiej grzecznie do domu. Idź pan do domu i wal się do łóżka.

- Nie mam domu, nie mam dokąd iść. Bez żartów, nie potrzebuje pan czasem impresaria?

Nic już na to nie odpowiedział. Wyszedł. Przyczesał, przyklepał, przygładził loki, więc wyszedł. Tak samo jak Stradlater. Wszyscy ci ładni chłopcy są tacy. Jak już skończą wylizywać swoje przepiękne włosy, puszczają cię kantem.

Kiedy wreszcie zlazłem z kaloryfera i powlokłem się do szatni - płakałem. Nie wiem czemu, ale płakałem. Chyba dlatego, że czułem się okropnie przybity i samotny. No, a kiedy dobrnąłem do szatni, nie mogłem w żaden sposób znaleźć numerka. Ale szatniarka zachowała się bardzo sympatycznie, nie robiła o to hecy. Dała mi palto i tak. Podała mi także płytę z „Małą Shirley Beans”, bo miałem przecież tę płytę ze sobą. Chciałem jej wetknąć dolara, ale szatniarka nie przyjęła. Powtarzała wciąż, że powinienem wracać do domu i iść spać. Próbowałem ją namówić, żeby poszła ze mną na randkę czy coś w tym rodzaju, ale za nic nie

chciała. Mówiła, że mogłaby być moją matką. Pokazałem jej swoje siwe włosy i przysięgałem, że mam czterdzieści dwa lata, oczywiście tylko dla żartu. Sympatyczna była ta babka, słowo daję. Obejrzała też moją czerwoną dżokejkę i pochwaliła, że ładna. Zanim wyszedłem, kazała mi czapkę włożyć na głowę, bo włosy miałem jeszcze dobrze mokre. Porządna kobiecina.

Na dworze nie czułem się już tak strasznie pijany, ale było bardzo zimno i znowu zacząłem zębami dzwonić cholernie. Nie mogłem tego ani rusz opanować. Poszedłem na Madison Avenue i stanąłem na przystanku autobusowym, bo forsy zostało mi niewiele i musiałem teraz Już oszczędzać na taksówkach i tym podobnych rzeczach. Ale nie miałem ochoty pakować się do autobusu. Zresztą wcale nie wiedziałem, dokąd chcę jechać. Cóż było robić, postanowiłem iść piechotą przez park. Kombinowałem że pójdę nad jeziorko i przekonam się w końcu, co kaczki robią, zobaczę, czy są tam gdzieś w pobliżu, czy też ich nie ma. Ale po dziś dzień nie wiem, jak jest naprawdę z tymi kaczkami. Do parku było niedaleko, poza tym nie miałem dokąd iść, nie wiedziałem nawet, gdzie przespać resztę nocy, więc poszedłem. Nie czułem się ani trochę zmęczony. Tylko przegrany jak diabli.

Właśnie wchodziłem do parku, kiedy stało się coś okropnego: upuściłem tę płytę, którą kupiłem dla Phoebe. Rozbiła się w drobny mak. Nic nie pomogła gruba koperta, całe opakowanie; płytę diabli wzięli i tak. O mało się nie rozpłakałem, tak mi się cholernie przykro zrobiło; pozbierałem kawałki, wsadziłem do kieszeni. Na nic już się nie mogły przydać, ale nie chciałem ich wyrzucać. Wszedłem do parku, Ciemno było tam, choć oko wykol.

Od urodzenia mieszkałem w Nowym Jorku, Park Centralny znam jak własną kieszeń, bo kiedy byłem mały, całymi dniami rozbijałem się po nim na wrotkach albo na rowerze, a mimo to nie mogłem tamtej nocy trafić nad jeziorko. Wiedziałem, gdzie jest - w południowej części parku - ale nie mogłem go znaleźć w żaden sposób. Musiałem być gorzej zalany, niż mi się wydawało. Szedłem i szedłem, coraz ciemniej się robiło dokoła i coraz bardziej ponuro. Nigdzie w parku żywej duszy nie spotkałem. Z tego zresztą byłem zadowolony. Pewnie bym zwiał ze strachu, gdybym się na kogoś napatoczył. W końcu znalazłem, czego szukałem. Woda była częściowo zamarznięta, a częściowo nie. Kaczek ani śladu. Obszedłem całe to cholerne jeziorko, raz o mały włos nie chlupnąłem do wody, ale kaczek ani widu, ani słychu. Przyszło mi na myśl, że jeżeli są w pobliżu, to pewnie o tej porze śpią gdzieś tuż nad brzegiem, w trawie. No i tym sposobem o mało nie wpadłem do wody. Ale kaczek nie znalazłem. Ani jednej.

Wreszcie siadłem na ławce, wybierając miejsce, odzie było trochę mniej ciemno. Trząsłem się wciąż jak kundel, co wylazł z wody, a chociaż miałem czapkę na ołowie, włosy nad karkiem pozamarzały mi w sople lodu. To mnie jednak niepokoiło. Pomyślałem, że pewnie dostanę zapalenia płuc i umrę. Zacząłem sobie wyobrażać tłum frajerów, którzy się zlecą na mój pogrzeb, i tak dalej. przyjechałby na pewno dziadek, który mieszka w Detroit i ma zwyczaj wykrzykiwać numery ulic, kiedy się z nim jedzie autobusem; zjechałyby ciotki - mam około pół setki ciotek - i kupa durnych kuzynów. Ależ byłby ścisk. Kiedy umarł Alik, wszyscy przyjechali, cała ta cholerna banda głupców. Mam między innymi ciotkę idiotkę, której cuchnie z ust i która powtarzała w kółko, że Alik wygląda tak pogodnie, jakby spał. Opowiadał mi to D.B., bo mnie przy tym wszystkim nie było. Zatrzymali mnie w szpitalu. Musiałem iść do szpitala z powodu skaleczonej ręki. No, więc siedziałem w parku i martwiłem się, że dostanę zapalenia płuc od tych sopli lodu we włosach i umrę. Cholernie mi było żal matki i ojca. Zwłaszcza matki, bo matka dotąd nie przebolała śmierci Alika. Widziałem ją, jak stoi nad moimi ubraniami i sprzętem sportowym i nie wie, co z tym całym kramem zrobić. Pocieszała mnie tylko jedna myśl: że matka nie pozwoli małej Phoebe iść na mój pogrzeb, bo Phoebe to przecież jeszcze dzieciak. To był jedyny pocieszający szczegół w tej historii. Potem myślałem o tym, jak wszyscy odejdą, a mnie zostawią na cmentarzu, pod nagrobkiem, na którym będzie wypisane moje imię i nazwisko. Między umarłymi. Umieją człowieka przygwoździć, kiedy umrze. Mam nadzieję, że kiedy ja umrę, znajdzie się ktoś, kto wpadnie na mądrzejszy pomysł i wrzuci mnie do jakiejś rzeki czy do czegoś w tym rodzaju. Niech ze mną zrobią, co chcą, byle mnie nie Okopywali na cmentarzu. Nie chcę, żeby ludzie przywodzili w niedzielę i kładli mi na brzuchu wiązankę kwiatów. Nie chcę tych bzdur. Komu po śmierci kwiaty potrzebne? Nikomu.

Moi rodzice często, jeżeli jest ładna pogoda, jadą z kwiatami na grób Alika. Parę razy byłem tam z nimi ale potem dałem temu spokój. Przede wszystkim wcale mi nie jest miło widzieć Alika na cmentarzu. Między umarłymi i nagrobkami. Jeszcze w słoneczne dni można to było jakoś znieść, ale dwa razy - dwa razy! - zdarzyło się, że deszcz nas zaskoczył. To było okropne. Deszcz padał na wstrętne nagrobki, deszcz padał na trawę, która rośnie na Aliku. Deszcz zalewał wszystko. Ludzie, którzy przyszli na cmentarz odwiedzić zmarłych, rzucili się na łeb na szyję do swoich samochodów. A mnie wtedy wściekłość ogarnęła. Wszyscy ci goście mogli wsiąść do swoich samochodów, włączyć radia, pojechać gdzieś na dobry obiad... wszyscy mogli to zrobić z wyjątkiem Alika. Nie mogłem tego ścierpieć. Rozumiem, że na cmentarzu jest tylko jego ciało, a dusza jest w niebie, znam wszystkie te bajki na pamięć, ale i tak nie mogę się z tym pogodzić. Po prostu nie chcę, żeby Alik był w grobie.

Wyście go nie znali. Gdybyście go znali, zrozumielibyście, o czym mówię. Jeszcze póki słońce świeci, można wytrzymać, ale słońce przecież pokazuje się tylko wtedy, kiedy mu się podoba.

Po jakimś czasie wyciągnąłem z kieszeni pieniądze i przy bardzo marnym świetle latarni zacząłem je liczyć; po prostu po to, żeby nie myśleć o zapaleniu płuc i o dalszym ciągu. Całego majątku zostały mi trzy dolary, pięć ćwierćdolarówek i jedna niklowa pięciocentówka. Rany boskie, ile ja forsy przeputałem, odkąd wyjechałem z „Pencey". No i co zrobiłem? Poszedłem na sam brzeg jeziora i puściłem wszystkie ćwierćdolarówki i pięciocentówkę na wodę w miejscu, gdzie nie było lodu. Nie wiem dlaczego, ale fakt, że to zrobiłem. Chyba po to, żeby się rozerwać i nie myśleć dłużej o zapaleniu płuc i o śmierci. Ale nie pomogło.

Znowu zacząłem myśleć o tym, jak się Phoebe zmartwi, jeżeli zachoruję i umrę. Może to było dziecinne z mojej strony, ale nie mogłem się jednak powstrzymać od tych myśli. Phoebe zmartwiłaby się okropnie, gdyby coś takiego się stało. Ona mnie lubi. Nawet bardzo. Fakt. No i tak mnie te myśli opętały, że w końcu wykombinowałem, żeby zakraść się do domu, cichcem oczywiście, i pogadać chociaż trochę z Phoebe. Najwięcej kłopotu miałbym z drzwiami frontowymi. Skrzypią jak diabli. Dom jest z tych starszych, a wałkoń administrator nie dba o nic, wszystko skrzypi i trzeszczy. Bałem się, że rodzice usłyszą, jak się będę zakradał do mieszkania. Ale i tak postanowiłem spróbować.

Wyniosłem się zaraz z parku; poszedłem ku domowi. Całą drogę lazłem piechotą. Nie było daleko, ale nie czułem zmęczenia, nawet wytrzeźwieć już także zdążyłem. Tylko zimno było okropnie i żywej duszy nigdzie dokoła.

Od dawna nie trafiła mi się lepsza szansa niż wtedy, bo gdy wszedłem do domu, okazało się, że windziarz Pete, który zwykle obsługuje dźwig w nocy, nie miał tego dnia dyżuru. Zastępował go jakiś nowy, który mnie na oczy nigdy nie widział, więc mogłem liczyć, że jeśli nie napatoczą się na mojej drodze rodzice, będę mógł pogadać z Phoebe i zwiać tak, żeby się nikt o mojej wizycie nie dowiedział. To było wyjątkowe szczęście. Tym bardziej że ten nowy windziarz wydawał się głupawy. Powiedziałem mu bardzo swobodnym tonem, że jadę do Dicksteinów. Tak się nazywają nasi sąsiedzi z tego samego piętra. Przedtem już zdjąłem czerwoną dżokejkę, żeby nie budzić żadnych podejrzeń i nie zwracać na siebie uwagi. Wszedłem do windy prędko, jakby mi się szalenie spieszyło.

Windziarz zatrzasnął drzwi i już mieliśmy ruszyć w górę, kiedy nagle obejrzał się i oznajmił:

- Państwa Dicksteinów nie ma w domu. Są na przyjęciu, na czternastym piętrze.

- Nie szkodzi - odparłem. - Umówiliśmy się, że na nich poczekam. To moi wujostwo.

Przyjrzał mi się głupim, podejrzliwym wzrokiem.

- Lepiej by pan zaczekał na dole w hallu - rzekł.

- Chętnie bym tak zrobił - powiedziałem - ale mam chorą nogę. Muszę ją trzymać w specjalnej pozycji. Dlatego wolę siąść na krześle pod ich drzwiami.

Nie zrozumiał z tego nic, więc odpowiedział tylko „Aha" - i zawiózł mnie na górę. Nieźle mi poszło. Dziwna rzecz. Wystarczy pleść jakieś głupstwa, których nikt nie może zrozumieć, a ludzie zrobią wszystko, czego od nich zażądasz.

Wyszedłem z windy na naszym piętrze, kulejąc jak diabli, i pokuśtykałem na stronę Dicksteinów. Dopiero kiedy windziarz zamknął szczelnie drzwi i zjechał na dół, zawróciłem na stronę naszego mieszkania. Czułem się fajnie. Gaz mi się już z głowy ulotnił. Wyciągnąłem z kieszeni klucze i otworzyłem drzwi systemem bezszmerowym. Bardzo ostrożnie, cichutko wsunąłem się do wnętrza i zamknąłem drzwi za sobą. Jak babcię kocham, urodziłem się na włamywacza.

W przedpokoju ciemno było oczywiście jak w studni, no i także oczywiście nie mogłem zapalić światła. Musiałem szalenie uważać, żeby czegoś nie potrącić i nie narobić hałasu. Ale nawet po ciemku widziałem dobrze, że jestem w domu. Nasz przedpokój ma swój własny zapach, niepodobny do zapachów wszystkich innym miejsc na świecie. Co tam tak pachnie, diabli wiedzą. Nie kalafior i nie perfumy, to pewne, ale co - pojęcia nie mam. W każdym razie nosem człowiek od razu czuje, że jest w domu. Zacząłem zdejmować płaszcz, żeby go powiesić w schowku, ale w ostatniej chwili przypomniałem sobie, że tam jest do licha i trochę wieszadeł, które stukają cholernie, kiedy się coś wiesza między nimi, więc rezygnowałem. Wolniutko, krok za krokiem, ruszyłem korytarzem w stronę pokoju Phoebe. Wiedziałem, że służąca mnie nie usłyszy, bo miała biedaczka bębenek tylko w jednym uchu. Kiedy była mała, brat wetknął jej jakiś patyk do ucha i przebił bębenek. Sama mi to Powiadała. Głucha była jak pień. Ale rodzice, a zwłaszcza matka, słuch ma jak pies gończy. Toteż pod drzwiami sypialni rodziców specjalnie cicho starałem się przemknąć. Dla wszelkiej pewności nawet oddech wstrzymałem. Ojcu by można rozbić krzesło na głowie i nie zbudzić się, ale z matką inna sprawa: gdybym zakaszlał na drugiej półkuli - matka usłyszy. Nerwowa jest szalenie Często przez całą noc oka nie zmruży, tylko ćmi papierosa za papierosem.

Zdawało mi się, że godzinami tak szedłem, nim dobrnąłem do pokoju Phoebe. No i Phoebe wcale tam nie było. Na śmierć zapomniałem, że Phoebe zawsze sypia w pokoju D.B., kiedy nasz brat jest w Hollywood czy też w ogóle gdzieś poza domem. Lubi jego pokój, największy z całego mieszkania. Lubi też szalenie olbrzymie, zwariowane biurko, które D.B.

kupił od jakieś zapijaczonej damy w Filadelfii i olbrzymie łóżko, które ma chyba dziesięć mil długości i szerokości. Od kogo D.B. to łoże kupił, nie mam pojęcia. W każdym razie Phoebe lubi sypiać w pokoju D.B., kiedy jego w domu nie ma, a D.B. pozwala jej na to. Trzeba widzieć Phoebe, jak odrabia lekcje czy też coś skrobie w zeszycie przy tym wariackim biurku. Biurko jest prawie równie wielkie jak łoże. Małej Phoebe nie widać po prostu za nim. Ale właśnie takie rzeczy Phoebe szalenie lubi. Własnego pokoju nie lubi, bo za mały, jak twierdzi. Powiedziała mi, że lubi dużo miejsca, żeby się rozpostrzeć. Tym mnie zastrzeliła. Bo co taka mała Phoebe ma do rozpościerania? Słowo daję: nic.

Wsunąłem się więc cichutko do pokoju D.B. I zapaliłem lampę na biurku. Phoebe nie obudziła się nawet wtedy. Chwilę się oswajałem ze światłem i rozglądałem, potem popatrzyłem na Phoebe. Spała z twarzą przytuloną do brzegu poduszki. Usta miała trochę otwarte. Dziwna rzecz. Przyjrzyjcie się dorosłym ludziom: wyglądają obrzydliwie, kiedy śpią z otwartymi ostami; ale małe dzieci „ wcale nie. Dzieci wyglądają zupełnie ładnie. Taki pętak, nawet jeżeli się ślini i moczy poduszkę, wygląda sympatycznie.

Obszedłem pokój dokoła, oczywiście na palcach, Po cichutku, i obejrzałem sobie wszystko. Teraz dla odmiany czułem się fajnie. Już się nawet nie bałem, że dostanę opalenia płuc i tak dalej. Czułem się doskonale i kropka. Ubranie Phoebe leżało na krześle tuż przy łóżku. Jak na taką smarkate, Phoebe jest bardzo porządna. Nigdy nie rozrzuca swoich rzeczy tak jak inne dzieci. Phoebe nie jest flejtuch. Kurteczka od brunatnego kompletu, który jej matka kupiła w Kanadzie, wisiała na poręczy krzesła. Spódniczka, bluzka i reszta leżała na krześle. Buciki stały na samym środku pod krzesłem, równiutko, jeden obok drugiego. Nowe buty, nigdy ich przedtem nie zauważyłem. Ciemnobrązowe mokasynki, trochę podobne do moich, dobrane fajnie do tego kompletu, który jej matka przywiozła z Kanady. Matka bardzo fajnie ubiera Phoebe. Fakt. Matka ma w niektórych sprawach pierwszorzędny gust. O łyżwach czy innych tego rodzaju rzeczach nie ma zielonego pojęcia, ale co do ubrania ma gust. Phoebe zawsze jest ubrana szałowo. A zauważcie, ile dzieci, nawet bogatych rodziców, chodzi w okropnie brzydkich ubraniach. Szkoda, żeście nie widzieli mojej Phoebe w tym komplecie, który matka dla niej kupiła w Kanadzie. Słowo daję.

Siadłem przy biurku i przejrzałem wszystko, co na nim leżało. Przeważnie rzeczy Phoebe, jej szkolne zeszyty, podręczniki i tak dalej. A najwięcej książek. Na wierzchu tom pod tytułem: „Arytmetyka to zabawa”. Otworzyłem tę książkę i na pierwszej kartce zobaczyłem napis:

Phoebe Weatherfieid Caulfieid

4B-1

Aż mnie zatkało. Phoebe ma na drugie imię Józefina, jak Bozię kocham, wcale nie „Weatherfieid”. Tylko że nie cierpi tego swojego imienia. Za każdym razem, kiedy się z Phoebe widzę, dowiaduję się o nowym drugim imieniu które sobie właśnie wybrała.

Pod arytmetyką leżała geografia, a pod geografia podręcznik ortografii. Phoebe jest asem w ortografii. W ogóle dobrze się uczy, ale wyróżnia się szczególnie w dyktandzie Pod ortografią było mnóstwo notesów. Phoebe ma zawsze tysiąc notesów. W życiu nie widziałem dziecka, które by gromadziło tyle notesów co ona. Otworzyłem pierwszy z brzegu i zajrzałem na pierwszą kartkę. Było tam napisane:

Bereniko, musimy się spotkać w kloklo, mam coś szalenie ważnego do powiedzenia!

Na pierwszej kartce tylko tyle. Na drugiej było więcej.

Dlaczego w południowo-wschodniej Alasce jest tak dużo wytwórni konserw? Ponieważ jest tam mnóstwo łososi. Dlaczego rosną tam tak bujne lasy? Ponieważ klimat jest odpowiedni. Co zrobił nasz rząd, by ułatwić życie Eskimosom na Alasce?

Nauczyć się tego na jutro!!!

Phoebe Weatherfieid Caulfieid

Phoebe Weatherfieid Caulfieid

Phoebe Weatherfieid Caulfieid

Phoebe W. Caulfield.

Wielmożna panna Phoebe Weatherfieid Caulfield.

Proszę cię, podaj dalej do Shirley!!!

Shirley, powiedziałaś, że jesteś urodzona pod Strzelcem, ale to nieprawda, bo pod Bykiem. Jak do mnie przyjdziesz, przynieś koniecznie łyżwy.

Tak siedząc przy biurku D.B. przeczytałem notes Phoebe od deski do deski. Nie potrzeba było na to wiele czasu, zresztą lubię takie rzeczy, dziecinne notatki małej Phoebe czy innego pętaka mógłbym czytać dniem i nocą. Szalenie mi się podobają. Zapaliłem papierosa - ostatniego, więcej już nie miałem przy sobie. Wypaliłem tego dnia chyba ze trzy paczki. W końcu obudziłem Phoebe. Nie mogłem przecież siedzieć tak przy biurku na wieki

wieków amen, a poza tym bałem się, że nagle wpadną rodzice, chciałem więc przynajmniej parę słów zamienić z Phoebe, nim bomba wybuchnie. Dlatego w końcu ją zbudziłem.

Obudzić Phoebe nigdy nie jest trudno. Nie trzeba krzyczeć, nie trzeba jej szarpać. Wystarczy po prostu usiąść na jej łóżku i powiedzieć: „Phoebe, zbudź się” - i hop! - Phoebe otwiera oczy.

- Holden! - odpowiedziała natychmiast. Objęła mnie za szyję, zaczęła całować. Bardzo jest czuła. Bardzo czuła, jak na takie małe dziecko. Czasem nawet zanadto. Pocałowałem ją nawzajem, a ona zapytała: - Kiedy przyjechałeś?

Ucieszyła się, kiedy mnie zobaczyła. To było po niej widać.

- Ciszej, Phoebe. Dopiero co. Jak ci się powodzi?

- Świetnie. Dostałeś mój list? Napisałem na pięciu stronach...

- Dostałem. Mów ciszej. Dziękuję za list.

Rzeczywiście napisała do mnie ogromny list. Nie miałem już czasu odpowiedzieć. Cały list był o przedstawieniu szkolnym, w którym miała występować. Prosiła, żebym się nie umawiał z nikim na piątek i nie robił na ten dzień innych planów, bo muszę koniecznie być na tym widowisku.

- A jak tam z twoim przedstawieniem? - spytałem. - Jak to się ma nazywać?

- „Widowisko gwiazdkowe dla Amerykanów”. Chata ale ja gram Benedykta Arnolda. Mam właściwie najważniejszą rolę - powiedziała Phoebe. Ani trochę nie była śpiąca. Phoebe zawsze szalenie się zapala, kiedy mówi o takich rzeczach. - Na początku leżę na łożu śmierci Jest Wigilia Bożego Narodzenia i zjawia się duch i pyta czy mi nie wstyd. Rozumiesz? Muszę się wstydzić, że zdradziłam ojczyznę i tak dalej. Przyjdziesz? - Zerwała się w łóżku na równe nogi. - Dlatego specjalnie do ciebie pisałam. Przyjdziesz? Powiedz.

- Przyjdę na pewno. Mur beton.

- Tatuś nie może przyjść. Musi lecieć do Kalifornii - powiedziała Phoebe. Ani trochę nie była zaspana. W okamgnieniu otrząsnęła się zupełnie ze snu. Siedziała czy raczej klęczała na środku łóżka i trzymała mnie za ręce. - Słuchaj no, Holden. Matka mówiła, że przyjedziesz dopiero w środę. Wyraźnie mówiła: w środę.

- Puścili mnie wcześniej. Mów ciszej. Pobudzisz wszystkich.

- A która to godzina? Bo matka mówiła, że wrócą bardzo późno. Pojechali na jakieś przyjęcie do Norwalk - odparła Phoebe. - Zgadnij, gdzie byłam dzisiaj po południu! Zgadnij, jaki film widziałam.

- Nie mam pojęcia... Słuchaj, Phoebe... Czy rodzice nie mówili, o której godzinie..

- „Lekarza”! - przerwała mi Phoebe. - To taki specjalny film wyświetlany w „Fundacji Listera”. Tylko jeden jedyny raz, właśnie dzisiaj. O jednym lekarzu z Kentucky, który zadusił prześcieradłem dziecko, bo nie mogło chodzić, było kaleką. Zamknęli go za to w więzieniu. Wspaniały film

- Posłuchaj mnie, Phoebe, chociaż minutkę. Czy rodzice nie mówili kiedy...

- Temu doktorowi okropnie było żal chorego dziecka. Dlatego zakrył mu twarz prześcieradłem i udusił to biedactwo. Skazali go na dożywotnie więzienie, ale dziecko, wiesz, to któremu okręcił głowę prześcieradłem, wciąż do niego przychodzi i dziękuje za to, co z nim zrobił. Bo on zabił je z litości, i sam rozumie, że zasłużył na więzienie, bo lekarzowi nie wolno zastępować Pana Boga. Wzięła mnie na ten film matka jednej dziewczynki z mojej klasy, Alicji Holmborg. To moja najukochańsza przyjaciółka. Jedyna dziewczynka w całej szkole...

- Czy nie mogłabyś na sekundę przerwać tej historii? Odpowiedz najpierw, przecież pytałem cię... Czy mówili, o której wrócą, czy nie mówili?

- Nie mówili, o której, tylko że bardzo późno. Pojechali samochodem, żeby mieć większą swobodę i nie liczyć się z pociągami. Wiesz, mamy teraz w wozie radio. Tylko że mamusia nie pozwala grać, kiedy się jedzie przez ulicę.

Uspokoiłem się trochę. Przestałem się denerwować, że rodzice mogą mnie w domu nakryć. Co, u diabła! Nakryją, to nakryją, trudno.

Szkoda, że nie widzieliście Phoebe. Miała na sobie pidżamę z czerwonymi słoniami na kołnierzu. Phoebe ma bzika na punkcie słoni.

- Taki dobry był ten film? - spytałem.

- Świetny, tylko że Alicja miała katar, a jej matka w kółko ją pytała, czy nie ma przypadkiem grypy. Podczas filmu! Zawsze w najważniejszych miejscach, kiedy się działo coś szalenie ciekawego, matka Alicji nachylała się i zasłaniała mi ekran, bo musiała się dowiedzieć, czy Alicja nie ma przypadkiem grypy. Okropnie mi działała na nerwy.

Opowiedziałem Phoebe tę historię z płytą.

- Kupiłem dla ciebie płytę. Ale stłukłem ją po drodze! - Wyjąłem z kieszeni kawałki i pokazałem. Byłem pod gazem.

- Daj mi te kawałki - odparta. - Schowam je sobie.

Wygarnęła resztki płyty z mojej ręki i wpakowała do szuflady w stoliku przy łóżku. Phoebe ma takie zabójcze pomysły.

- Czy D.B. przyjedzie na święta do domu? - spytałem.

- Może tak, a może nie. Tak mówiła mamusia. Zależy. Możliwe, że będzie musiał zostać w Hollywood i pisać scenariusz do filmu o Annapolis.

- O rany, Annapolis!

- To będzie taka historia miłosna. Nie zgadniesz, kto w niej ma grać. Która gwiazda? No, zgadnij!

- Nie jestem wcale ciekawy. Annapolis, o rany! Co D. B. wie o Annapolis, chciałbym wiedzieć. Co Annapolis ma wspólnego z rzeczami, które D.B. pisuje? - Nie macie pojęcia, jak mnie te historie złoszczą. Przeklęte Hollywood. - Co ci się stało w ramię? - spytałem. bo zauważyłem przylepiony nad łokciem Phoebe ogromny plaster. Zauważyłem go, bo pidżama nie miała rękawów.

- A to jeden chłopak z naszej klasy, Curtis Weintraub, popchnął mnie, kiedy zbiegałam w parku ze schodów - wyjaśniła Phoebe. - Chcesz zobaczyć?

I zaczęła odrywać plaster.

- Zostaw, nie ruszaj! Dlaczego ten chłopak cię pchnął na schodach?

- Nie wiem. Zdaje się, że on mnie nienawidzi - powiedziała Phoebe. - Bo ja i jeszcze jedna dziewczynka, Selma Atterbury, wysmarowałyśmy mu kurtkę atramentem i różnymi paskudztwami.

- Fe, wstydź się, Phoebe, dziecko jesteś czy co, u Boga Ojca?

- Ee, nie, ale on zawsze za mną łaził, kiedyśmy byli całą klasą w parku. Wciąż się mnie czepiał. Działa mi na nerwy.

- Może za tobą łaził, bo cię lubi. To jeszcze nie racja, żeby smarować atramentem...

- Wcale nie chcę, żeby mnie lubił - powiedziała Phoebe. Nagle zaczęła mi się przyglądać podejrzliwie. - Holden! Coś w tym jest, że wróciłeś przed środą.

- O co ci chodzi? - spytałem.

Okropnie trzeba uważać z małą Phoebe. Sprytna jest jak mucha, słowo daję.

- Dlaczego wróciłeś do domu przed środą? - spytała. - Chyba cię znów nie wyrzucili ze szkoły, powiedz.

- Przecież mówiłem. Puścili nas wcześniej. Puścili wszyst...

- Wyleciałeś ze szkoły! Wyleciałeś! - krzyknęła Phoebe. Rąbnęła mnie pięścią w udo. Twardą ma pięść, jeżeli chce uderzyć porządnie. - Wyleciałeś! O, Holden!

Przyciskała ręką usta, okropnie była przejęta. Phoebe szalenie łatwo się wzrusza, słowo daję.

- Skąd ci do głowy strzeliło, że mnie wylali? Nikt przecież tego nie mówił.

- Wyleciałeś! Wyleciałeś! - zawołała i znów rąbnęła mnie pięścią. Jeżeli wam się zdaje, że to nie boli, to się grubo mylicie. - Tatuś cię zabije! - powiedziała. I padła na łóżko plackiem, na brzuch, a głowę nakryła poduszką. Często tak robi. Czasem Phoebe zachowuje się zupełnie po wariacku.

- Przestań! - powiedziałem. - Nikt mnie nie zabije. Nikt nawet... Proszę cię, Phoebe, wyleć spod tej cholernej poduchy. Nikt mnie nie zabije.

Ale Phoebe ani drgnęła. Nie sposób jej zmusić, żeby zrobiła coś, na co nie ma ochoty. Powtarzała w kółko: „Tatuś cię zabije", ale trudno było zrozumieć, co bełkotała Pod tą cholerną poduchą.

- Nikt mnie nie zabije. Zastanów się, głuptasie. PQ pierwsze wieję stąd. Wiesz, co zrobię? Znajdę sobie pracę na jakimś ranczo albo coś w tym rodzaju i prześledzę tam jakiś czas. Znam faceta, którego dziadek ma ranczo w Colorado. Możliwe, że tam dostanę pracę - powiedziałem. - Będę ci dawał o sobie znać, jak wywieję... Jeżeli wywieję. Uspokój się, Phoebe. Zdejmij ten tłumik z głowy. No, Phoebe! Proszę cię, proszę, słyszysz?

Phoebe jednak za nic nie chciała zrzucić z głowy poduszki. Próbowałem ją ściągnąć, ale mała jest piekielnie silna. Niełatwo ją pokonać. Słowo daje, jeśli Phoebe postanowi zatrzymać na głowie poduszkę, zatrzyma ją, nie ma rady.

- Phoebe, zrzuć te poduchę, proszę cię - powtarzałem. - No, Phoebe! Pokaż się, Weatherfieid! Wyleź!

Nie chciała wyleźć spod poduszki. Czasem nie sposób się z nią dogadać. W końcu wstałem, poszedłem do salonu, wziąłem kilka papierosów z pudełka, co stało na stoliku, wsunąłem je do kieszeni. Byłem zupełnie wykończony.

21.

Kiedy wróciłem, wszystko już było w porządku; tak jak przewidywałem, Phoebe wylazła spod poduszki, ale chociaż niby leżała spokojnie na wznak, wciąż jeszcze nie chciała na mnie patrzeć. Kiedy obszedłem łóżko dokoła i znowu na nim przysiadłem, odwróciła rozwścieczoną twarz w przeciwną stronę. Bojkotowała mnie po prostu. Tak samo jak drużyna szermierzy z „Pencey", kiedy zgubiłem w kolei podziemnej te ich przeklęte florety.

- Jak się miewa Hazel Weatherfieid? - spytałem. - Czy napisałaś o niej coś nowego? To opowiadanie, które mi przysłałaś, mam w walizie. Na dworcu w przechowalni. Bardzo ci się udało.

- Tatuś cię zabije.

No tak. Jak Phoebe wbije sobie ćwieka w głowę, niełatwo go sobie da wybić.

- Nie. Nie zabije mnie. W najgorszym wypadku zrobi znów straszliwe piekło i pośle mnie do tej cholernej szkoły wojskowej. Tylko tyle i nic więcej. A właściwie nie zrobi nawet tego, bo mnie tu nie zobaczy. Będę daleko stąd. Może w Colorado, na ranczo.

- Nie bądź śmieszny. Przecież nawet nie umiesz Jeździć konno.

- Kto nie umie jeździć konno? Ja? Właśnie że umiem. Żebyś wiedziała, umiem. Tego można się nauczyć raz-dwa - powiedziałem. - A ty przestań skubać ten opatrunek. - dodałem, bo Phoebe skubała plaster na ćmieniu. - Kto cię tak ostrzygł? - Zauważyłem dopiero teraz, że włosy miała ostrzyżone najgłupiej w świecie O wiele za krótko.

- Nie twój interes - odburknęła. - Phoebe potrafi być bardzo niegrzeczna, kiedy jest zła. Bardzo. Domyślam się, że zawaliłeś znowu wszystkie przedmioty - powiedziała. Ze złością. Trochę to nawet było zabawne. Bo czasem Phoebe, taka smarkula, przemawia jak nudny belfer.

- Wcale nie - odparłem. - Z angielskiego miałem bardzo dobrze! - I nagle, ni z tego, ni z owego, uszczypnąłem ją w pupę. Leżała na boku i wypięła pupę aż na środek pokoju. Co prawda, nie miała wiele do wypinania. Nie uszczypnąłem jej mocno, ale podskoczyła i chciała mnie trzepnąć po łapie, cofnąłem ją jednak w porę.

Niespodzianie powiedziała:

- Och, dlaczegoś to zrobił?

Chodziło jej oczywiście o to, że wyleciałem ze szkoły. Powiedziała to takim głosem, że zrobiło mi się jako smutno.

- Phoebe, na Boga, nie pytaj mnie o to. Już mi w gardle stoi to pytanie; wszyscy mi je zadają po kolei - powiedziałem. - Miałem milion powodów. To była jedna z najgorszych szkół, jakie dotychczas poznałem. Roiła się od durniów, i od podleców. Tylu podleców naraz w życiu nie widziałaś. Na przykład kiedy paczka kolesiów zebrała się na pogaduszki w którymś z pokoi, a ktoś chciał tam wejść, nie wpuszczali go, jeżeli to był chłopak głupawy i pryszczaty. Wszyscy się zamykali w swoich pokojach na klucz, żeby nikogo innego nie dopuścić. A w dodatku mieli ten swój cholerny tajny związek, do którego przez tchórzostwo nawet ja wstąpiłem. Pewien chłopiec, pryszczaty, nudny gość, Robert Ackley, koniecznie chciał także do tego należeć. Wciąż usiłował się dostać, ale tamci go nie chcieli przyjąć. Tylko dlatego, że pryszczaty i nudny. Nawet mówić o tym już się nie chce. Wstrętna buda. Możesz mi wierzyć na słowo.

Phoebe nie odzywała się, ale słuchała uważnie. Widziałem tylko jej kark i tył głowy, ale miałem pewność, że mnie słucha uważnie. Phoebe zawsze słucha, kiedy się jej coś opowiada. A najdziwniejsze, że prawie zawsze rozumie, o co chodzi. Fakt. Rozgadałem się o budzie „Pencey”. Jakoś chciało mi się o tym gadać.

- Nawet tych paru sympatycznych belfrów to także byli w gruncie rzeczy durnie - mówiłem. - Taki na przykład stary pan Spencer. Jego żona zawsze częstowała mnie gorącą czekoladą i różnościami, oboje byli naprawdę sympatyczni. Ale trzeba było widzieć Spencera, kiedy podczas lekcji historii wchodził dyrek, stary Thurmer, i siadał w głębi klasy. Często przyłaził i zwykle siadał w głębi klasy na jakieś pół godziny. Niby że bierze udział w lekcji incognito. Po pewnym czasie z końca sali zaczynał rzucać głupie żarciki, przerywając Spencerowi wykład co chwila. A stary Spencer mało nie pękał ze śmiechu i rozpromieniał się, i uśmiechał, i wdzięczył jak przed jakimś cholernym królem.

- Nie choleruj tyle.

- Mówię ci, że porzygałabyś się, gdybyś to widziała. A znów Dzień Weteranów! Obchodzi się w szkole taką uroczystość, kiedy wszyscy durnie, którzy w „Pencey” kończyli studia od 1776 roku czy coś w tym guście - zjeżdżają się i łażą po całym terenie z żonami, dziećmi i tak dalej. Żebyś zobaczyła jednego z tych typków! Miał gość pod pięćdziesiątkę. Przyszedł pod nasz pokój, zapukał do drzwi i spytał, czy nie mamy nic przeciw temu, że skorzysta z toalety. Toaleta mieści się w końcu korytarza, nie rozumiem, po jaką cholerę nas pytał o pozwolenie. Nie zgadniesz, jak nam tę swoją chęć Umączył. Powiedział, że chce sprawdzić, czy na drzwiach Jednego z klozetów widać jeszcze jego inicjały. Okazało się, że przed stu laty czy coś koło tego wyrył na drzwiach klozetu swoje litery i teraz był ciekaw, czy są tam wciąż jeszcze wyryte. No więc kolega z mojego pokoju poszedł razem ze mną, żeby

dotrzymać towarzystwa facetowi i przyglądać się, jak będzie szukał tych swoich inicjałów. Gęba się staruszkowi nie zamykała, zwierzył nam się, ze pobyt w „Pencey” uważa za najszczęśliwszy okres swojego życia, i udzielał nam mnóstwo dobrych rad na przyszłość. Nie masz pojęcia, jak mnie ten gość przygnębił. Nie mówię, że to był jakiś podlec, nie, wcale poczciwy facet. Ale nie trzeba być podlecem, żeby działać przygnębiająco, czasem poczciwi ludzie także potrafią człowieka do rozpaczy doprowadzić. Wystarcza, jeśli udzielają idiotycznych rad, szukając jednocześnie swoich inicjałów na drzwiach klozetu - nic więcej nie trzeba. Bo ja wiem? Może by to wszystko nie było takie okropne, gdyby staruszek cały czas nie sapał. Widocznie zaszkodziło mu wejście na schody, był strasznie zasapany i szukając swoich liter na klozetowych drzwiach dyszał ciężko, nozdrza mu jakoś dziwnie i smutno latały, ale mimo to bez wytchnienia pouczał Stradlatera i mnie, żebyśmy jak najlepiej wykorzystywali szczęśliwe lata w „Pencey”. Zrozum, Phoebe, nie umiem ci tego jaśniej wytłumaczyć. Po prostu nie lubiłem nic z tego, co się działo w „Pencey”. Nie umiem wytłumaczyć.

Phoebe coś na to odpowiedziała, ale nie dosłyszałem. Leżała z ustami przyciśniętymi do poduszki i trudno ją było zrozumieć.

- Co mówisz? - spytałem. - Odklejże usta od poduszki. W ten sposób nic nie rozumiem, co tam gadasz.

- Ty w ogóle nic nie lubisz.

Kiedy to powiedziała, ogarnęło mnie jeszcze gorsze przygnębienie.

- Właśnie że lubię. Tak, lubię. Na pewno. Nie mów tak. Po kiego diabła mówisz takie głupstwa.

- Mówię, bo tak jest. Nie lubisz żadnej szkoły. Nie lubisz miliona rzeczy. Nic nie lubisz.

- Lubię! Bardzo się mylisz, nie masz ani trochę racji. Po kiego diabła mi to powiedziałaś? - odparłem. Teraz znów Phoebe zgnębiła mnie na amen.

- Mówię, że nie lubisz, bo nie lubisz - powtórzyła. - No, wymień chociaż jedną rzecz, którą lubisz.

- Jedną rzecz? Taką rzecz, którą lubię? - powiedziałem. - Dobra, zaraz powiem.

Na nieszczęście nie mogłem ani rusz skupić myśli. Czasem okropnie trudno mi jest skupić myśli.

- Czy to musi być coś, co bardzo lubię? - spytałem.

Nie odpowiedziała. Leżała w dziwacznej pozycji na drugim brzegu łóżka. Była o tysiąc mil ode mnie.

- No, mów! - nalegałem. - Coś, co bardzo lubię, czy też coś, co po prostu lubię?

- Coś, co bardzo lubisz!

- Dobra! - powiedziałem. Na nieszczęście wciąż nie mogłem się skupić. Nie przychodziło mi na myśl nic prócz tych dwóch zakonnic, które zbierały składki na biednych do obdartego, starego koszyka. Zwłaszcza jedną z nich zapamiętałem, tę w drucianych okularach. Przypomniał mi się też jeden chłopak, którego znałem w Elkton Hills.

Był w Elkton Hills pewien chłopiec, nazywał się James Castle, który nie zgodził się odwołać tego, co Powiedział o Philu Stabile, okropnym zarozumialcu. James Castle właśnie to o nim powiedział, że jest okropnym zarozumialcem, a któryś z podłych przyjaciół Stabile'a Poleciał z jęzorem i powtórzył mu wszystko. Stabile wziął ze sobą sześciu takich samych jak on drani, poszedł do Pokoju Jamesa Castle, zamknął drzwi na klucz i próbował zmusić chłopaka, żeby odwołał to, co powiedział. Ale James nie chciał. Wtedy tamci zaczęli się nad nim znęcać. Nie będę opowiadał, co z nim wyprawiali, to zanadto okropne. W każdym razie nic nie wskórali, James Castle nie załamał się mimo wszystko. A trzeba go było widzieć! Chudy, mały, wyglądał na cherlaka, a ręce miał w kostkach cienkie jak patyki. Jak już nie miał innej rady wolał oknem wyskoczyć niż odwołać. Ja w tym momencie stałem w kabinie pod prysznicem, a mimo to usłyszałem jak spadł na ziemię. Ale myślałem, że to wyleciało przez okno coś takiego jak radio czy też biurko, do głowy mi nie przyszło, że to mógł skoczyć któryś chłopiec czy w ogóle żywy człowiek. Potem usłyszałem tupot w korytarzu i na schodach, jakby wszyscy z domu biegli na dół więc włożyłem płaszcz kąpielowy i pobiegłem za innymi. Patrzę, a tam James Castle leży na kamiennych stopniach przed domem. Zabił się na miejscu, zęby, krew, wszystko rozprysło się na dziedzińcu, nikt nie śmiał zbliżyć się do niego. Miał na sobie sweter, które ode mnie pożyczył. Chłopaków, którzy byli z nim zamknięci w pokoju, wyrzucono ze szkoły - tylko tyle. Nie aresztowano ich nawet.

Nic innego nie przychodziło mi na myśl. Tylko te dwie zakonnice, które obok mnie jadły rano śniadanie, i James Castle, chłopiec, którego poznałem w Elkton Hills. Co najdziwniejsze, to Jamesa bardzo mało znałem, jeżeli chcecie wiedzieć prawdę. Był jednym z najcichszych chłopców w szkole. Kolegowaliśmy w tej samej klasie matematyki, ale siedział daleko ode mnie, w drugim końcu sali, i prawie się nie odzywał ani nie wychodził do tablicy. Niektórzy chłopcy unikają zabierania głosu i podchodzenia do tablicy. Zdaje się, że rozmawiałem z nim jeden jedyny raz, wtedy, kiedy mnie prosił o pożyczenie swetra, bo miałem taki sweter wciągany przez głowę z wysokim kołnierzem. Taki byłem zaskoczony, kiedyś z tym do mnie zwrócił, że mało trupem nie padłem. Pamiętam ten moment, właśnie myłem zęby w umywalni kiedy James Castle mnie zagadnął. Mówił, że jakiś kuzyn

przyjedzie po niego, żeby go zabrać na przejażdżkę. Nawet nie przypuszczałem, że James wie, jaki ja mam sweter. Bo ja o nim wiedziałem tylko to, że jego nazwisko figuruje na liście tuż przed moim; zawsze wywoływano w tym porządku: Cabel R., Cabel W., Castle, Caulfieid - do dziś umiem tę litanię na pamięć. Jeżeli mam być szczery, mało brakowało, żebym mu odmówił pożyczenia tego swetra. Po prostu dlatego, że się prawie nie znaliśmy.

- Co? - spytałem, bo Phoebe powiedziała coś, czego nie dosłyszałem.

- Nie możesz wymyślić ani jednej rzeczy.

- Właśnie, że mogę. Żebyś wiedziała, mogę.

- No, to mów.

- Lubię Alika - powiedziałem. - Lubię robić to, co robię w tej chwili, to znaczy siedzieć tutaj z tobą i gadać, i myśleć o różnych sprawach, i...

- Alik umarł, sam to zawsze powtarzasz. Jeżeli ktoś umarł i jest już w niebie, to nie można...

- Wiem, że umarł. Co ty sobie wyobrażasz? Że zapomniałem o tym? Ale na miłość boską, jeżeli ktoś umarł, to jeszcze nie powód, żeby go przestać lubić, zwłaszcza jeżeli to był ktoś tysiąc razy sympatyczniejszy niż inne znajome osoby, które żyją.

Phoebe nic nie odpowiedziała. Jeżeli nie może wymyślić odpowiedzi, milczy jak zaklęta.

- A poza tym lubię to, co teraz robię - powtórzyłem. - Lubię taką chwilę jak ta. Siedzieć sobie tutaj z tobą, gadać, żartować...

- To się nie liczy. Miało być coś prawdziwego.

- Właśnie to jest bardzo prawdziwe. Na pewno to się liczy. Dlaczego, u diabła, nie miałoby się liczyć? Ludzie nigdy nie chcą przyznać, że coś jest prawdziwe. Co, do cholery...

- Nie choleruj. No, dobrze, ale wymień coś jeszcze.

Powiedz na przykład, czym byś lubił być w życiu. Rozumiesz? Uczonym albo adwokatem, albo czym?

- Uczonym nie mógłbym zostać. Nie mam do tego zdolności.

- No, to może adwokatem, jak tatuś.

- Adwokat to całkiem przyzwoity zawód, ale mnie by to nie odpowiadało - odparłem. - To znaczy, przyzwoity wtedy, kiedy się ratuje życie niewinnym ludziom i tak dalej, to mi się podoba, ale adwokaci przecież nie tylko tym się zajmują. Przeważnie zbijają grubą forsę, grają w golfa i bridża, kupują sobie auta, piją cocktaile i dbają o elegancki wygląd. Zresztą... Nawet jeśli ktoś stara się i rzeczywiście ratuje jakiemuś niewinnemu facetowi życie, sam pewnie nie wie, czy robi to dlatego, że naprawdę chce ocalić porządnego człowieka, czy też

dlatego, że chce się popisać, zasłynąć jako wspaniały adwokat, żeby go wszyscy klepali po łopatce i winszowali mu w sądzie po skończonej rozprawie, żeby się do niego cisnęli reporterzy i tłum ludzi, jak to pokazują na głupich filmach. Jakim sposobem przekonać się, czy się nie jest po prostu obłudnym kabotynem? Właśnie to najgorsze, że takiego sposobu nie ma.

Nie jestem pewien, czy Phoebe zrozumiała, o co mi, u diabła, chodzi. Przecież to jeszcze małe dziecko. Ale przynajmniej słuchała uważnie. Jeżeli ktoś przynajmniej słucha, co się mówi, nie jest już tak źle.

- Tatuś cię zabije. Zabije cię - powiedziała.

Ale ja jej nie słuchałem. Przyszła mi do głowy pewna myśl, zupełnie wariacka.

- Wiesz, czym był chciał być? - spytałem. - Wiesz czym? Rozumie się, gdybym mógł, do cholery, naprawdę wybrać, co zechcę.

- Czym? Prosiłam cię, żebyś nie cholerował.

- Znasz tę piosenkę: „Jeśli ktoś przyłapie kogoś, co buszuje w zbożu”? Chciałbym...

- „Jeśli ktoś napotka kogoś, kto buszuje w zbożu” - poprawiła mnie Phoebe. - To wiersz. Wiersz Roberta Burnsa.

- Wiem, że to jest wiersz Burnsa. Swoją drogą miała rację. Wiersz rzeczywiście brzmi: „Jeśli ktoś napotka kogoś, kto buszuje w zbożu”. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

- Zdawało mi się, że tam jest: „Jeśli ktoś przyłapie kogoś...” - powiedziałem. - W każdym razie wyobraziłem sobie gromadę małych dzieci, które bawią się w jakąś grę na ogromnym polu żyta. Tysiące malców, a nie ma przy nich nikogo starszego, nikogo dorosłego... prócz mnie, oczywiście. A ja stoję na krawędzi jakiegoś straszliwego urwiska. Mam swoje zadanie: muszę schwytać każdego, kto się znajdzie w niebezpieczeństwie, tuż nad przepaścią. Bo dzieci rozhasały się, pędzą i nie patrzą, co tam jest przed nimi, więc ja muszę w porę doskoczyć i pochwycić każdego, kto by mógł spaść z urwiska. Cały dzień, od rana do wieczora, stoję tak na straży. Jestem właśnie strażnik w zbożu. Wiem, że to wariacki pomysł, ale tylko tym naprawdę chciałbym być. Wiem, że to wariacki pomysł.

Phoebe długo nic nie odpowiadała. Kiedy wreszcie przemówiła, powtórzyła swoje.

- Tatuś cię zabije.

- No, to niech zabije, gwiżdżę na to - odparłem. Wstałem z łóżka, bo postanowiłem iść do telefonu i zadzwonić do pewnego faceta, który w Elkton Hills był moim nauczycielem angielskiego, a nazywał się Antolini. Mieszka teraz już w Nowym Jorku. Wyniósł się z Elkton Hills. Uczy angielskiego na nowojorskim uniwersytecie. - Muszę do kogoś zatelefonować - powiedziałem. - Zaraz wrócę. Nie zaśnij tymczasem.

Nie chciałem, żeby usnęła przez ten czas, kiedy będę w salonie. Co prawda wiedziałem, że nie zaśnie, ale dla pewności wolałem jej to powiedzieć. Kiedy szedłem w stronę drzwi, Phoebe zawołała:

- Holden!

I odwróciła się twarzą do mnie. Siadła na łóżku Wyglądała bardzo miło.

- Wiesz, Holden, biorę specjalne lekcje czkania od jednej dziewczynki, Phyllis Margulies. Posłuchaj!

Nadstawiłem ucha i usłyszałem czknięcie, ale niezbyt imponujące.

- Brawo - powiedziałem. Wyszedłem na korytarz i do gabinetu, żeby zadzwonić do pana Antoliniego, tego nauczyciela, który w Elkton Hills uczył nas angielskiego.

23.

Załatwiłem ten telefon raz dwa, bo się bałem, żeby rodzice nie wpadli, kiedy będę w połowie rozmowy. Udało się jednak, a pan Antolini znalazł się bardzo grzecznie. Powiedział, że mogę do niego przyjść choćby natychmiast, jeżeli chcę. Zdaje się, że obudziłem i jego, i jego żonę, bo cholernie długo trwało, nim ktoś podniósł słuchawkę. Przede wszystkim pan Antolini spytał, czy coś się stało, więc mu powiedziałem, że nic szczególnego. Przyznałem mu się, że mnie wylali z „Pencey”. Uważałem, że lepiej będzie od razu mu to powiedzieć. Westchnął na to tylko: „O Boże!” Miał poczucie humoru. No i oświadczył, że mogę przyjść do niego choćby natychmiast, jeżeli mam ochotę.

To był chyba najlepszy ze wszystkich nauczycieli, z którymi miałem do czynienia. Bardzo jeszcze młody, niewiele starszy od mojego brata, D.B., i można było z nim pożartować bez obrazy majestatu. To on właśnie podniósł chłopca, który w Elkton Hills wyskoczył przez okno, Jamesa Castle, o którym opowiadałem. Pan Antolini najpierw dotknął przegubu ręki badając, czy jest tętno, a potem nakrył Jamesa swoim płaszczem i zaniósł biedaka do infirmerii. Nie zważał wcale na to, że jego Płaszcz cały nasiąknął krwią.

Zanim wróciłem do pokoju D.B., Phoebe włączyła radio. Grali muzykę taneczną. Phoebe ściszyła głośnik, żeby służąca nie usłyszała. Trzeba było widzieć moją Phoebe. Siedziała akurat pośrodku łóżka, nogi podwinęła - jak jakiś hinduski jog. Słuchała sobie muzyki. Phoebe jest fajna.

- Chodź! - powiedziałem. - Chciałabyś zatańczyć? - Nauczyłem ją tańczyć, kiedy była jeszcze zupełnie malutka. Świetnie tańczy. Właściwie to ja pokazałem jej tylko kilka różnych trików. Reszty sama się nauczyła. Nie sposób nauczyć kogoś naprawdę dobrze tańczyć, jeżeli ten ktoś sam nie ma do tego talentu.

- Ale ty masz buty na nogach - powiedziała.

- Zdejmę. Chodź!

Jednym susem wyskoczyła z łóżka, potem chwilę czekała, aż zdejmę buty, i wreszcie potańczyliśmy trochę. Phoebe naprawdę świetnie tańczy. Na ogół nie lubię, kiedy ludzie tańczą z małymi dziewczynkami, bo najczęściej wygląda to okropnie brzydko. Widzi się czasem w restauracji czy na jakiejś zabawie starszego gościa, który wyprowadza na parkiet swoją małą córeczkę. Zwykle przez nieuwagę podciąga jej sukienkę na plecach do góry, a poza tym smarkula nie ma pojęcia o tańcu i widok jest okropny; toteż nigdy nie tańczę z małą Phoebe publicznie. Co najwyżej bawimy się tak w domu. Zresztą z nią całkiem inna sprawa,

bo ona umie tańczyć. Daje się prowadzić i zawsze wie, czego od niej chcesz. Trzeba ją tylko trzymać blisko, żeby różnica wzrostu nie przeszkadzała. Phoebe zawsze błyskawicznie się dostosuje, czy chcesz zrobić przerzut, czy dać jakiegoś wariackiego nurka, czy nawet spróbować jitterbugga. Umie nawet tango zatańczyć, słowo daję.

Przetańczyliśmy coś około czterech numerów. W przerwach między jedną melodią a drugą Phoebe zachowywała się przekomicznie. Stała jak mur w pozycji tanecznej. Ani rozmawiać nie chciała. Żądała, żebym ja także zastygł bez ruchu, i tak oboje czekaliśmy, aż orkiestra zagra znowu. To mnie szalenie bawiło. Nie wolno było roześmiać się ani zażartować - nic.

No, więc przetańczyliśmy kilka razy, a potem wyłączyłem radio. Phoebe wskoczyła z powrotem do łóżka i osunęła się pod kołdrę.

- Zrobiłam postępy, co? - spytała mnie.

- Jeszcze jakie! - przyznałem. Siadłem znów na brzegu łóżka. Byłem trochę zasapany. Za dużo paliłem, brakowało mi tchu. Ale Phoebe ani trochę się nie zdyszała.

- Dotknij mojego czoła - powiedziała niespodzianie.

- Bo co?

- Dotknij. Zobacz.

Dotknąłem jej czoła, nie zauważyłem jednak nic nadzwyczajnego.

- Czy nie czujesz, jakie gorące? - spytała.

- Nie. A miało być gorące?

- Tak. Skupiam siłę woli, żeby dostać gorączki.

Spróbuj jeszcze raz.

Dotknąłem po raz drugi, ale znowu bez wrażenia; mimo to powiedziałem:

- Zdaje się, że teraz zaczyna się rozgrzewać. Nie chciałem jej przeczyć, żeby nie wpadła w kompleks niższości. Phoebe kiwnęła głową.

- Umiem nawet tak zrobić, żeby termometr podskoczył.

- Termometr. Co to za pomysł?

- Alicja Holmborg mnie tego nauczyła. Trzeba skrzyżować nogi, powstrzymać oddech i skupić myśli na Jakiejś bardzo gorącej rzeczy. Na przykład na kaloryferze albo na czymś w tym rodzaju. Wtedy czoło rozpala się tak, że kto go dotknie, może sobie rękę sparzyć.

Zastrzeliła mnie. Prędko odjąłem rękę od jej czoła, Jakbym się przeraził jakiegoś śmiertelnego niebezpieczeństwa.

- Dziękuję, że mnie ostrzegłaś - powiedziałem.

- Ech, tobie nie poparzyłabym przecież ręki. Przelałabym sztukę, zanimby skóra zaczęła syczeć.

Nagle Phoebe błyskawicznie odskoczyła w drugi koniec łóżka. Zląkłem się cholernie.

- Co się znów stało? - spytałem.

- Drzwi od frontu skrzypnęły - szepnęła donośnie. - To oni!

Zerwałem się, dopadłem biurka, zgasiłem lampę. Zdusiłem papierosa o podeszwę i schowałem do kieszeni. Gwałtownie machnąłem ręką w powietrzu, żeby rozpędzić dym. Rany boskie! Nie powinienem był tutaj palić. Złapałem buty w garść, dałem nura do szafy ściennej, zamknąłem za sobą drzwi. Nie macie pojęcia, jak mi serce waliło.

Usłyszałem, jak do pokoju weszła matka.

- Phoebe - powiedziała. - Nie udawaj. Widziałem przed chwilą światło, moja panienko.

- Halo! - odezwał się głos Phoebe. - Nie mogłam zasnąć. Czy dobrze się bawiliście?

- Wspaniale - odparła matka, ale łatwo było zgadnąć, że nie mówiła tego szczerze. Matka nigdy się dobrze nie bawi na przyjęciach. - Dlaczego nie śpisz, jeżeli wolno wiedzieć? Może jesteś za lekko przykryta?

- Nie, ciepło mi, tak tylko nie mogłam usnąć.

- Phoebe, paliłaś papierosa! Przyznaj się, proszę, moja panno.

- Co? - spytała Phoebe.

- Nie słyszałaś, co mówiłam?

- Tylko raz pociągnęłam. Przez sekundę. Jeden jedyny raz. Potem wyrzuciłam papierosa przez okno.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo nie mogłam usnąć.

- Wcale mi się to nie podoba, Phoebe, wcale a wcale - powiedziała matka. - Nakryć cię drugim kocem?

- Nie, dziękuję. Dobranoc - powiedziała Phoebe. Oczywiście chciała się co prędzej pozbyć matki z pokoju.

Jak tam było w kinie? Dobry film? - spytała matka.

- Świetny. Tylko matka Alicji psuła zabawę. Wciąż się nachylała przed moim nosem i pytała Alicji, czy przypadkiem nie ma grypy, i tak przez cały film. A do domu wróciłyśmy taksówką.

- Pokaż na czoło.

- Nie zaraziłam się na pewno. Zresztą Alicji nic nie jest. To tylko jej matka coś sobie wmówiła.

- No, dobrze. Teraz już śpij. Obiad dostałaś?

- Dostałam, ale parszywy.

- Nie pamiętasz, co tatuś mówił, żebyś tego słowa nie używała? Co w tym obiedzie było parszywego? Barani kotlecik? Chodziłam po mięso aż na Lexington Avenue, żeby ci dogodzić.

- Kotlet był dobry, ale Charlene zawsze na mnie chucha, kiedy podaje do stołu. Chucha na półmisek i na wszystko. Niemożliwie chucha.

- Ach, tak. No śpij wreszcie. Pocałuj mamusię. Pacierz zmówiłaś?

- Zmówiłam w łazience. Dobranoc.

- Dobranoc. Żebyś mi zaraz usnęła. Głowa mi pęka - powiedziała matka. Bardzo często miewa bóle głowy. To fakt.

- Zażyj aspiryny - poradziła Phoebe. - Holden przyjedzie w środę, prawda?

- O ile mi wiadomo, tak. Nakryj się kołdrą. Porządnie, pod brodę.

Usłyszałem kroki, matka wyszła, drzwi zamknęła za sobą. Przeczekałem jeszcze parę minut. Potem wylazłem z szafy, i natychmiast wpadłem w ciemnościach na Phoebe, która wyskoczyła z łóżka i dreptała ku szafie, żeby mnie wypuścić.

- Nie uderzyłem cię? - spytałem. Oczywiście szeptem, skoro oboje rodzice byli już w domu. - Muszę stąd wiać - powiedziałem. Omackiem znalazłem krawędź łóżka, przysiadłem i zacząłem kłaść buty. Byłem bardzo zdenerwowany. Tego się nie zapieram.

- Nie idź teraz - szepnęła. Phoebe. - Poczekaj aż zasną.

- Nie. Muszę wiać teraz. Teraz jest najlepszy moment - odparłem. - Matka poszła na pewno do łazienki, a tatuś chyba słucha dziennika radiowego czy coś w tym rodzaju. Teraz najlepszy moment. - Taki byłem roztrzęsiony, że nie mogłem sobie poradzić ze sznurowadłami. Nie bałem się, oczywiście, że mnie zabiją, o tym nie było mowy, ale byłoby cholernie nieprzyjemnie gdyby mnie nakryli. - Gdzie, u diabła, jesteś - spytałem. Było tak piekielnie ciemno, że nie widziałem małej Phoebe.

- Tutaj!

Stała tuż przy mnie, mimo to nie widziałem jej.

- Zostawiłem walizy na dworcu - powiedziałem. - Słuchaj, Phoebe, nie masz czasem trochę forsy? Spłukałem się zupełnie.

- Mam trochę forsy na gwiazdkowe prezenty. Jeszcze nie napoczęłam tego funduszu, dopiero miałam jutro iść po zakupy.

- Ach, tak.

Nie, nie chciałem zabierać jej gwiazdkowego funduszu.

- Chcesz, to ci coś z tego dam.

- Nie chcę ci zabierać przed Gwiazdką pieniędzy.

- Mogę ci trochę pożyczyć - odparła. Usłyszałem, jak majstruje przy biurku D.B., otwiera milion szuflad, szpera w nich po omacku. Ciemno było choć oko wykol. - Jeżeli wyjedziesz, nie zobaczysz mnie na scenie - powiedziała. Głos jej zabrzmiał przy tym jakoś dziwnie markotnie.

- Zobaczę. Nie wyjadę nigdzie przed tym przedstawieniem. Czy myślisz, że chciałbym stracić taką okazję? - odpowiedziałem. - Wiesz, co zrobię? Zatrzymam się u pana Antoliniego aż do wtorku wieczorem. potem się tutaj zjawię. Jeżeli się da, zatelefonuję do ciebie.

- Bierz - powiedziała Phoebe. Chciała mi dać forsę, ale nie mogła znaleźć mojej ręki.

- Dawaj. Gdzie jesteś?

Wcisnęła mi pieniądze do łapy.

- Ej, tyle nie potrzebuję - szepnąłem. - Daj mi tylko dwa dolary, wystarczy. Słowo daję. Trzymaj! - Próbowałem oddać jej fosę, ale za nic nie chciała wziąć.

- Bierz wszystko. Oddasz mi potem. Przynieś z sobą na przedstawienie.

- Bój się Boga, ile tego jest?

- Osiem dolarów i osiemdziesiąt pięć centów... Nie! Sześćdziesiąt pięć. Dwadzieścia przeputałam.

Nagle rozpłakałem się, ale nie mogłem powstrzymać łez. Płakałem cichutko, żeby nikt nie usłyszał, ale płakałem. Phoebe przestraszyła się okropnie, kiedy zauważyła, że płaczę, przycisnęła się do mnie i usiłowała mnie pocieszyć, ale jak się człowiek rozpłacze, niełatwo tak ni z tego, ni z owego przestać. Siedziałem wciąż jeszcze na brzegu łóżka, kiedy mnie to chwyciło, i Phoebe objęła mnie ramieniem za szyję, a ja nawzajem ją objąłem, ale długo nie mogłem się uspokoić. Miałem wrażenie, że się na śmierć uduszę łzami. Okropnie wystraszyłem biedną Phoebe. Okno było, diabli wiedzą po co, otwarte, czułem, jak Phoebe cała drży z zimna, bo nie miała na sobie nic prócz pidżamy. Próbowałem ją namówić, żeby wróciła do łóżka pod kołdrę, ale się nie zgodziła. W końcu przestałem Płakać. Trwało to jednak naprawdę bardzo długo. Poza finałem płaszcz, przygotowałem się do wyjścia. Powiedziałem Phoebe, że będę z nią utrzymywał łączność. Proponowała, żebym się przespał w jej łóżku, ale nie chciałem, uważałem, że powinienem raczej zwiać z domu, a w dodatku pan Antolini przecież mnie oczekiwał u siebie Wyciągnąłem z kieszeni płaszcza czerwoną dżokejkę i dałem ją małej Phoebe. Ona lubi takie wariackie nakrycia głowy. Robiła trochę

ceremonii, ale wreszcie musiała przyjąć. Założę się, że spała potem w tej czapce. Naprawdę przepadała za kapeluszami w tym guście. Jeszcze raz powtórzyłem, że na pewno zadzwonię, jeśli zdarzy się sposobność, i wyszedłem.

Sto razy łatwiej mi było wymknąć się z domu niż przedtem wejść, a to dla paru powodów. Po pierwsze bimbałem już teraz, czy mnie przyłapią, czy nie. Słowo daję, było mi już wszystko jedno. Niech tam, złapią, to złapią - tak sobie myślałem. Nawet trochę jakby chciałem, żeby mnie nakryli.

Zamiast zjeżdżać windą, zbiegłem ze schodów. Wybrałem schody kuchenne. O mało karku nie skręciłem, bo potknąłem się chyba o dziesięć milionów kubłów ze śmieciami, ale ostatecznie znalazłem się na dole. Windziarz mnie nie zauważył. Pewnie po dziś dzień myśli, że siedzę w dalszym ciągu u Dicksteinów.

24.

Państwo Antolini mieszkają z wielkim fasonem przy Sutton Place, mają apartament z dwoma schodkami między hallem a salonem, z barem i tak dalej. Byłem tam kilka razy po opuszczeniu Elkton Hills, bo pan Antolini dość często przychodził do moich rodziców na obiad i zawsze się dopytywał, jak mi się powodzi. Wtedy jeszcze był kawalerem. Potem, kiedy się ożenił, grywałem nieraz w tenisa z nim i z jego żoną w Forest Hills w klubie, do którego pani Antolini należała. Była do obrzydliwości bogata. Starsza o jakieś sześćdziesiąt lat od męża, ale wyglądali na dobraną parę. Przede wszystkim oboje byli szalenie inteligentni, zwłaszcza pan Antolini, chociaż w gruncie rzeczy w rozmowie okazywał więcej dowcipu niż inteligencji, stylem trochę przypominał D.B. Pani Antolini zwykle była poważniejsza. Cierpiała na ciężką astmę. Oboje czytali wszystkie opowiadania D.B. - pani Antolini także - a kiedy D.B. wybierał się do Hollywood, pan Antolini zatelefonował do niego i odradzał mu wyjazd. D.B. mimo to pojechał. Pan Antolini mówił, że ktoś, kto umie pisać, tak jak D.B., nie ma czegoś szukać w Hoolywood. Z ust mi to wyjął.

Miałem zamiar iść pieszo do państwa Antolini, bo nie chciałem wydawać z gwiazdkowego funduszu małej Phoebe ani centa ponad konieczność, ale kiedy się znalazłem na powietrzu, zrobiło mi się jakoś słabo. Zawrót głowy czy coś w tym rodzaju. Wsiadłem więc do taksówki. Nie zamierzałem jechać taksówką, ale musiałem. W dodatku cholernie trudno było znaleźć taksówkę.

Windziarz, łajdak, marudził, ale wreszcie zawiózł mnie na górę, zadzwoniłem i otworzył mi sam pan Antolini Miał na sobie szlafrok i na nogach ranne pantofle, a w ręku szklankę whisky. Facet był nie tylko intelektualnie wyrafinowany, ale także niezły oliwa.

- Holden, chłopcze kochany! - powiedział. - Na Boga, ależ ty urosłeś chyba znów o dwadzieścia cali. Cieszę się, że cię widzę.

- Jak się pan miewa? Jak się czuje żona?

- Oboje w doskonałej formie. Daj no ten płaszcz. - Wziął ode mnie palto i powiesił je na wieszaku. - Spodziewałem się, że ujrzę cię z noworodkiem na ręku. Bezdomną istotę. Z gwiazdkami śniegu na rzęsach. - Pan Antolini bywa dowcipny. Odwrócił się i krzyknął w stronę kuchni: - Lilian! Co się dzieje z kawą?

Pani Antolini ma na imię Lilian.

- Kawa gotowa! - odkrzyknęła. - Czy to Holden przyszedł? Halo, Holden!

- Halo, dobry wieczór pani.

W tym domu zawsze trzeba było krzyczeć. Państwo Antolini nigdy jakoś nie przebywali jednocześnie w tym samym pokoju. Było to nawet trochę zabawne.

- Siadaj, Holden - powiedział pan Antolini. Najoczywiściej był na lekkim gaziku. Sądząc po stanie salonu, musiało tam odbyć się tego wieczora jakieś przyjęcie. Gdziekolwiek spojrzałem, widziałem puste kieliszki i talerzyki pełne palonych orzeszków. - Wybacz ten nieład - rzekł. - Podejmowaliśmy kilku przyjaciół mojej żony, gości z Buffallo... Prawdziwe stado bawołów, mówiąc szczerze.

Roześmiałem się, a pani Antolini coś do mnie zawołała z kuchni, ale nie dosłyszałem.

- Co pańska żona powiedziała? - spytałem pana Antoliniego.

- Prosiła, żebyś na nią nie patrzał, kiedy wejdzie z kawą. Wyskoczyła prosto z łóżka. Może papierosa? Palisz?

- Dziękuję - odparłem. Wziąłem papierosa, którego mi podsunął. - Od czasu do czasu. Palę bardzo niewiele.

- To dobrze, dobrze - powiedział i podał mi ogień z dużej, stojącej na stole zapalniczki. - No, tak. A więc nić wiążąca cię z „Pencey” pękła - rzekł. Zawsze wyrażał się w tym stylu. Czasem bardzo mnie to bawiło, a czasem wcale nie. Bo trochę z tym przesadzał. Nie zaprzeczam mu dowcipu, owszem, był dowcipny, ale czasem denerwuje człowieka typ, który stale mówi rzeczy w tym guście: „A więc nić wiążąca cię z „Pencey pękła”. D.B. trochę przesadza w dowcipach tego rodzaju.

- Co się stało? - spytał pan Antolini. - Jakie miałeś oceny z angielskiego? Wyproszę cię natychmiast za drzwi, jeżeli ty, młodociany mistrz angielskiej prozy, przegrałeś na tym polu.

- Ach, nie, z angielskiego stałem dobrze. Co prawda zajmowaliśmy się przeważnie historią literatury. W ciągu całego semestru miałem zadane ledwie dwa piśmienne wypracowania - odparłem. - Za to nawaliłem na ustnym egzaminie z wymowy. Wie pan, mieliśmy obowiązkowy kurs wymowy. Na tym się oblałem.

- Dlaczego?

- Bo ja wiem... - Nie miałem ochoty wdawać się w wyjaśnienia. Wciąż jeszcze czułem się jakoś nieswojo i nagle rozbolała mnie cholernie głowa. Fakt. Ale widziałem, że pan Antolini naprawdę się tą sprawą zainteresował, więc mu coś niecoś wytłumaczyłem. - Na lekcjach każdy po kolei musiał wygłaszać przemówienia. Rozumie Pan? Bez przygotowania. A jeżeli odbiegał od tematu, cała klasa miała obowiązek czym prędzej przerwać mu i krzyczeć: „Nie na temat”! Mnie to doprowadziło do wściekłości. No i dostałem „niedostatecznie”.

- Dlaczego?

- Sam dobrze nie wiem. Denerwowały mnie te krzyki. Czy ja zresztą wiem... Widzi pan, ja właśnie lubię, kiedy mówca odbiega czasem od tematu. Wtedy przemówienie wydaje mi się znacznie ciekawsze.

- Nie zależy ci na tym, żeby ktoś, kto ci o czymś opowiada, rozwijał logicznie tok opowiadania?

- No, pewnie że zależy. Lubię, żeby się opowiadanie trzymało kupy. Ale nie lubię, kiedy ktoś zanadto kurczowo trzyma się jednego tematu. Nie umiem dobrze wytłumaczyć. Nie lubię, jeżeli ktoś ani na moment nie może się od jednego tematu oderwać. Najlepsze stopnie z wymowy dostawali chłopcy, którzy przez cały czas pilnowali jednego wątku, to fakt. Ale był pewien chłopiec, nazywał się Richard Kinsella. Ten nie bardzo się trzymał wątku i koledzy wciąż mu przerywali, wrzeszcząc: „Nie na temat". To było okropne, po pierwsze dlatego, że chłopak był strasznie nerwowy i kiedy przychodziła na niego kolej wygłaszania lekcji, wargi mu się trzęsły tak, że w dalszych ławkach nikt nie słyszał i nie rozumiał, co on gada. Ale kiedy się w końcu opanował i przestał trząść, mówił, jak na mój gust, lepiej od innych chłopców. Ale o mały włos byłby także oblał ten przedmiot. Dostał „ledwo dostatecznie" z plusem, bo koledzy wciąż podczas jego przemówienia krzyczeli: „Nie na temat". Na przykład opowiadał o farmie, którą jego ojciec kupił w Vermont. Klasa przez cały czas ryczała: „Nie na temat", a nauczyciel dał mu wtedy „niedostatecznie", bo Richard nie wymienił wszystkich zwierząt hodowlanych na farmie, roślin uprawianych na polu i w ogrodzie, i tak dalej. Wprawdzie zaczął o tym mówić, ale nagle przeszedł na zupełnie inny temat, przypominając sobie list, który jego matka dostała niespodzianie, z wiadomością, że jej brat zachorował w wieku czterdziestu dwóch lat na chorobę Heinego i Medina; opowiadał, jak ten jego wuj leżąc w szpitalu nie dopuszczał do siebie żadnych gości, bo nie chciał, żeby go ludzie widzieli w aparacie ortopedycznym. Przyznaję, że ta historia niewiele miała wspólnego z farmą, ale była sympatyczna. Bo to jest sympatyczne, kiedy chłopak opowiada w ten sposób o swoim wuju. Tym bardziej, że zaczął opowiadać o farmie ojca, a potem nagle zapalił się do historii chorego wuja tak, że o tamtych sprawach zapomniał. Uważam, że to było podłe przeszkadzać mu i wrzeszczeć: „Nie na temat", kiedy on mówił z takim przejęciem. Czy ja wiem... Trudno mi to jaśniej wytłumaczyć.

Prawdę rzekłszy nie chciało mi się tłumaczyć. Po pierwsze głowa mi pękała z bólu. Nie mogłem się doczekać, żeby pani Antolini przyniosła wreszcie tę kawę. Diabelnie mnie złoszczą takie rzeczy, na przykład kiedy ktoś mówi, że kawa jest gotowa, a naprawdę dopiero się bierze do zaparzania tej kawy.

- Pozwól... Jedno krótkie, trochę pedantyczne, pedagogiczne pytanie. Czy nie sądzisz, że na wszystko jest właściwy czas i odpowiednie miejsce? Czy twoim zdaniem ktoś, kto ma opowiedzieć o farmie swojego ojca, nie powinien trzymać się tematu, ale wolno mu odbiegać od niego po to, żeby rozwinąć historię swojego wuja i jego aparatu ortopedycznego? Skoro historia wuja tak bardzo go porwała, czy nie zrobiłby lepiej, gdyby ją właśnie obrał za temat swojego opowiadania, zamiast wtrącać ją w opowiadanie o farmie? Nie chciało mi się myśleć ani odpowiadać, ani argumentować. Głowa mnie bolała i czułem się parszywie. Jeśli mam powiedzieć prawdę, na domiar złego rozbolał mnie brzuch.

- Tak... Czy ja wiem. Pewnie, że byłoby lepiej. To znaczy, lepiej by zrobił wybierając za temat główny historię wuja, a nie farmy, skoro wuj bardziej go interesował niż farma. Ale, widzi pan, często człowiek sobie nie zdaje sprawy, co go najbardziej interesuje, dopóki nie zacznie mówić o czymś innym, mniej interesującym. Czasem to bywa silniejsze od niego. Wtedy, moim zdaniem, trzeba mu dać spokój, nie przeszkadzać, zwłaszcza jeżeli mówi interesująco i sam jest tym, co mówi, szalenie przejęty. Lubię, kiedy się ludzie czymś szczerze przejmują. To jest sympatyczne. Zresztą pan nie zna tego naszego nauczyciela, Vinsona. I on, i te jego lekcje mogły człowieka do szału doprowadzić. Vinson wciąż tylko napominał, żeby „ujednolicać" i „upraszczać". A przecież nie ze wszystkim tak można. Chcę przez to powiedzieć, że pewnych spraw człowiek nie może ujednolicić, uprościć, i to tylko dlatego, że ktoś mu tak nakazuje. Nie zna pan tego typka Vinsona. Przyznaję, jest, jak to się mówi, inteligentny, ale rozumu wcale nie ma, to się czuje.

- Nareszcie jest kawa, moi panowie - powiedziała pani Antolini. Weszła niosąc na tacy kawę, ciastka i tak dalej. - Holden, nie wolno ci patrzeć na mnie. Jestem w proszku.

- Dobry wieczór pani - powiedziałem i podniosłem się z fotela, ale pan Antolini chwycił mnie za połę i pociągnął tak, że siadłem z powrotem. Pani Antolini miała we włosach mnóstwo metalowych klamerek, a twarz nie umalowaną i nie upudrowaną. Rzeczywiście nie przedstawiała się efektownie. Wyglądała staro i brzydko.

- Postawię wam tutaj cały ten kram. Teraz już usłużcie sobie sami - powiedziała stawiając tacę na stoliku z przyborami do palenia; puste szklanki odsunęła na bok. - Jak się czuje twoja matka?

- Dziękuję, doskonale. Co prawda nie widziałem jej dość dawno, ale ostatnim razem...

- Kochanie, gdyby Holden czegoś potrzebował, znajdziesz wszystko w szafie z bielizną. Na najwyższej półce. Ja już się położę. Jestem strasznie zmęczona - zwróciła się pani Antolini do męża. Widać było po niej, że naprawdę jest zmęczona. - Będziecie umieli, chłopcy, sami posłać łóżko?

- Bądź spokojna, poradzimy sobie. A ty kładź się zaraz - odparł pan Antolini. Pocałował żonę, ona jeszcze raz powiedziała mi dobranoc i poszła do swojej sypialni. Państwo Antolini zawsze chętnie całowali się przy świadkach.

Wypiłem niepełną filiżankę kawy i połknąłem pół ciastka twardego jak kamień. Pan Antolini wolał jednak zamiast kawy jeszcze jedną szklankę whisky. Pił bardzo mocną, ledwie rozcieńczoną whisky. Jeżeli nie będzie się pilnował, może skończyć jako alkoholik.

- Przed paru tygodniami jadłem lunch z twoim i ojcem - powiedział niespodziewanie. - Słyszałeś coś o tym?

- Nie. Nikt mi nic nie mówił.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że ojciec zamartwia się o ciebie?

- Wiem. Tak, wiem - odparłem.

- Zatelefonował do mnie i zaproponował spotkanie, ponieważ dostał właśnie dość przykry list od dyrektora szkoły z wiadomością, że nie wykazujesz ani źdźbła pilności w nauce. Że opuszczasz wykłady. Że przychodzisz na lekcje zupełnie nie przygotowany. Słowem, że jesteś całkowicie...

- Nie opuszczałem lekcji. Przecież tam nas pod tym względem pilnowano. Jeżeli od czasu do czasu zwiałem, to tylko z tego kursu wymowy, o którym panu opowiadałem, ale na ogół nie opuszczałem nic.

Cholernie mi się nie chciało dyskutować o tych rzeczach. Kawa pomogła mi wprawdzie trochę na żołądek, ale głowa dalej pękała z bólu.

Pan Antolini zapalił nowego papierosa. Palił masarni. Po chwili rzekł:

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem, co ci powiedzieć, Holden.

- Wiem. Ze mną trudno się dogadać. Zdaję sobie z tego sprawę.

- Czuję, że zmierzasz szybkim krokiem do jakiegoś straszliwego upadku. Nie wiem jednak, jakiego rodzaju ma to być upadek... Ale czy ty mnie słuchasz?

- Słucham.

Widziałem, że usilnie stara się skupić, dobiera słów.

- Może stanie się tak, że mając lat trzydzieści będziesz siedział gdzieś przy barze i z nienawiścią patrzał na każdego wchodzącego gościa, który sądząc z wyglądu, grywał w college'u w piłkę nożną. A może zdobędziesz tyle wykształcenia, żeby znienawidzić ludzi wyrażających się niegramatycznie. A może skończysz w jakimś biurze, gdzie będziesz rzucał spinaczami w najbliższą stenotypistkę. Nie wiem. Rozumiesz, o co mi chodzi? - Tak. Rozumiem - odpowiedziałem. Rzeczywiście rozumiałem. - Ale myli się pan co do tej nienawiści. Wie pan, co do tego, że będę nienawidził piłkarzy i różnych innych ludzi. Myli

się pan. Wcale nie ma tak wiele tych typków, których nienawidzę. Może się zdarzyć, że kogoś nienawidzę, ale tylko przez krótki czas, tak było na przykład ze Stradlaterem, jednym moim koleżką z „Pencey”, albo z Robertem Ackleyem, innym koleżką. Przyznaję, od czasu do czasu nienawidziłem ich, ale widzi pan, nigdy nie trwało to długo. Wkrótce mijało i jeśli ich nie widywałem, jeśli nie przychodzili do mego pokoju ani ich nie spotykałem w jadalni przez kilka dni z rzędu, zaczynało mi ich brakować. Wie pan, trochę jakbym do nich tęsknił.

Pan Antolini przez długą chwilę nic nie mówił. Wstał, wrzucił nową kostkę lodu do szklanki, usiadł z powrotem Widać było po nim, że rozmyśla. Wolałbym, żeby odłożył dalszy ciąg rozmowy na następny ranek, zamiast ją toczyć teraz, po nocy, ale pan Antolini najwyraźniej zapalił się do dyskusji. Że też ludzie zwykle rozpalają się do dyskusji właśnie wtedy, kiedy ty nie masz na nią najmniejszej ochoty!

- Dobrze. Posłuchaj mnie teraz... Być może nie uda mi się na razie ubrać tych myśli w tak pomnikową formę, jakbym pragnął, ale napiszę do ciebie list na ten temat w ciągu najbliższych paru dni. Wtedy będziesz mógł wszystko sobie uporządkować i wyjaśnić. Tymczasem jednak posłuchaj. - Znów zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie powiedział: - Upadek, do którego, jak mi się wydaje, zmierzasz, jest bardzo niezwykły i okropny. Człowiek, który w tę przepaść się stacza, nigdy nie odczuje i nie dowie się, że już sięgnął dna. Wciąż tylko spada, spada coraz niżej. Jest to los zgotowany człowiekowi, który w tym czy innym momencie swojego życia szukał czegoś, czego mu jego własne środowisko dać nie mogło - albo przynajmniej tak mu się zdawało - i który wobec tego zaniechał poszukiwań. Zrezygnował, nim jeszcze rozpoczął prawdziwe poszukiwania. Czy mnie rozumiesz?

- Tak, proszę pana.

- Na pewno?

- Tak.

Pan Antolini znów wstał i nalał sobie whisky. Usiadł. Przez dość długą chwilę milczał.

- Nie chciałbym cię straszyć - rzekł wreszcie - ale bardzo żywo mogę sobie wyobrazić ciebie oddającego życie w ten czy inny sposób za jakąś sprawę całkowicie niewartą tej ofiary. - Spojrzał na mnie jakoś dziwnie. - Jeżeli napiszę coś dla ciebie, czy obiecujesz, że przeczytasz to uważnie? i że zachowasz ten tekst?

- Obiecuję. Na pewno - odparłem. Dotrzymałem słowa. Po dziś dzień mam tę kartkę papieru, którą mi dał wtedy.

Pan Antolini przeszedł w drugi kąt pokoju, gdzie stało biurko, i stojąc napisał coś na karteczce. Wrócił na dawne miejsce i usiadł z tą kartką w ręku.

- Dziwnym przypadkiem nie napisanego zawodowy poeta. Autorem tych słów jest psychoanalityk. Wilhelm Stekel. Oto, co pow... Ale czy mnie słuchasz?

- Słucham, słucham.

- Oto co powiedział Stekel: „Dla człowieka niedojrzałego znamienne jest, że pragnie on wzniosie umrzeć za jakąś sprawę; dla dojrzałego natomiast - że pragnie skromnie dla niej żyć".

Pochylił się w fotelu i podał mi kartkę. Przeczytałem tekst, podziękowałem i schowałem kartkę do kieszeni. Ładnie ze strony pana Antoliniego, że zadawał sobie dla mnie tyle trudu. Naprawdę ładnie. Tylko że ja nie byłem w tym momencie zdolny do skupienia myśli. Nie macie pojęcia, jak okropnie poczułem się zmęczony, i to zupełnie nagle.

Ale pan Antolini nie był ani trochę zmęczony. Przede wszystkim dobrze się już naoliwił.

- Sądzę, że wkrótce już - powiedział - będziesz musiał uświadomić sobie, dokąd chcesz dojść. A kiedy sobie uświadomisz, musisz natychmiast wyruszyć w drogę. Natychmiast. Nie wolno ci tracić ani chwili. Tobie - nie wolno.

Skinąłem głową, ponieważ patrzał wprost na mnie, ale nie bardzo byłem pewien, o czym on właściwie mówi. Niby zdawało mi się, że wiem, ale jednocześnie wcale nie byłem pewien, czy się nie mylę. Cholernie się czułem zmęczony.

- Przykro mi, że muszę ci coś jeszcze powiedzieć - ciągnął dalej pan Antolini - sądzę jednak, że gdy raz jasno zrozumiesz, dokąd chcesz dojść, przede wszystkim zaczniesz się pilniej przykładać do nauki w szkole. To nieunikniony pierwszy krok. Jesteś typem intelektualisty, czy ci się to podoba, czy nie. Kochasz się w wiedzy. Myślę też, że gdy wreszcie przebrniesz przez etap panów Vinesów z ich lekcjami wymowy...

- Vinsonów - poprawiłem. Chodziło oczywiście o Vinsona, a nie o jakiegoś Vinesa. Swoją drogą, nie powinienem może przerywać panu Antoliniemu.

- Niech będzie Vinsonów. Więc kiedy przebrniesz przez wszystkich Vinsonów, zaczniesz się zbliżać coraz bardziej - naturalnie pod warunkiem, że tego zechcesz, że będziesz się o to starał i że będziesz na to cierpliwie czekał - zbliżysz się do tych wiadomości, które będą bardzo, bardzo cenne dla twego serca. Między innymi odkryjesz, że nie jesteś pierwszą ludzką istotą, w której postępowanie innych ludzi obudziło zamęt, strach, a nawet obrzydzenie. Bynajmniej nie jesteś pod tym względem pierwszy ani jedyny, a stwierdzenie tej prawdy na pewno doda ci otuchy i bodźca. Wiele, bardzo wiele ludzi przeżywało taki sam zamęt duchowy i moralny, jaki ciebie teraz ogarnął. Szczęściem, niektórzy z nich opisywali swoje przeżycia. Będziesz mógł dużo się od nich nauczyć, jeżeli zechcesz. Podobnie jak inni

będą mogli nauczyć się czegoś od ciebie, jeżeli kiedyś okaże się, że masz coś do powiedzenia. Piękna, wzajemna wymiana. To nie jest program szkolny. To historia. Poezja.

Umilkł i wychylił spory łyk whisky. Potem ciągnął dalej. Rany boskie, on się naprawdę rozpalił. Byłem z siebie rad, że nie próbowałem przerywać czy też ucinać tej rozmowy.

- Nie chcę wcale wmawiać w ciebie, że tylko kulturalni i wykształceni ludzie zdolni są dać światu coś wartościowego. Tak nie jest. Ale to pewne, że ludzie kulturalni i wykształceni, jeśli mają wrodzone świetne zdolności i twórczą ikrę, co niestety zdarza się nieczęsto, zazwyczaj zostawiają po sobie o wiele cenniejsze zapiski niż ci, którzy mają zdolności i iskrę twórczą bez kultury i wykształcenia. Tamci bowiem skłonni są do wyrażania swoich myśli jasno i dążą usilnie do przeprowadzenia ich wątku aż do końca. Co zaś najważniejsze, na dziesięciu z nich dziewięciu przynajmniej okazuje więcej pokory niż myśliciele niewykształceni. Czy ty mnie rozumiesz chociaż trochę?

- Tak, proszę pana.

Pan Antolini znowu umilkł na długą chwilę. Nie wiem, czy byliście kiedykolwiek w podobnej sytuacji, ale wierzcie mi, że okropnie trudno jest tak czekać, żeby ktoś wreszcie przemówił, kiedy ten ktoś siedzi naprzeciw was i myśli. Naprawdę trudno. Starałem się powstrzymać od ziewania. Nie dlatego nawet, żebym był znudzony, nie, wcale mi się nie nudziło, tylko cholernie zachciało mi się nagle spać.

- Wykształcenie uniwersyteckie da ci jeszcze coś ponadto. Jeśli wytrwasz i zajdziesz w studiach dość głęboko, zorientujesz się w wymiarach swego umysłu. Dowiesz się, co do niego pasuje, a co nie. Po pewnym czasie zaczniesz się orientować, jaki rodzaj myśli odpowiada szczególnym właściwościom twojego intelektu. Dzięki temu unikniesz przede wszystkim straty czasu i fatygi na przemierzanie niezliczonych ilości poglądów, które nie są na twoją miarę, z którymi ci nie jest dobrze. Poznasz własny format i będziesz mógł ubrać swój umysł odpowiednio.

Nagle ziewnąłem. Co za chamstwo. Nie mogłem w żaden sposób tego opanować. Ale pan Antolini tylko się roześmiał.

- No, chłopcze - powiedział wstając - chodź, pościelimy ci łóżko.

Poszedłem za nim. Pan Antolini otworzył szafę ścienną i z najwyższej półki usiłował ściągnąć prześcieradła, koce i tak dalej, ale ponieważ miał jedną rękę zajętą - trzymał w niej szklankę pełną whisky - nie mógł sobie z tym dać rady. W końcu wypił whisky, odstawił szklankę na podłogę i wtedy dopiero wyciągnął z szafy całą pościel. Pomogłem mu przenieść to wszystko na tapczan. Wspólnymi siłami usłaliśmy legowisko. Pan Antolini niezbyt

starannie to robił. Nie poutykał brzegów prześcieradła jak należy. Co prawda, było mi to dość obojętne. Taki się czułem skonany, że usnąłbym chyba nawet na stojąco.

- A co słychać z twoimi babkami? - spytał.

- Wszystko w porządku.

Ciężki był ze mnie partner do rozmowy, ale rzeczywiście czułem się parszywie.

- Jak się miewa Sally?

Pan Antolini znał Sally Hayes. Sam go kiedyś z nią zapoznałem.

- Doskonale. Widziałem się z nią dzisiaj po południu. - Nie do wiary, miałem wrażenie, że to się działo dwadzieścia lat temu... - Ale nie mamy już wiele wspólnego z Sally.

- Wyjątkowo ładna dziewczyna. A co z tą drugą?

Wiesz, opowiadałeś o niej. Ta twoja sąsiadka z Maine.

- Aha, Jane Gallagher. Także w porządku. Możliwe, że jutro do niej zadzwonię.

Tymczasem uporaliśmy się z posłaniem.

- No, łoże gotowe powiedział pan Antolini. Nie wiemy tylko, co zrobisz z tymi swoimi długimi nogami.

- Poradzę sobie. Przyzwyczajony jestem do za krótkich łóżek - odparłem. - Strasznie panu dziękuję. Państwo mi dzisiaj naprawdę ocalili życie.

- Do łazienki chyba trafisz, co? Gdybyś czegoś potrzebował, krzycz. Posiedzę jeszcze jakiś czas w kuchni. Czy światło nie będzie ci przeszkadzało?

- Diabli tam... Nie. Jeszcze raz dziękuję.

- Dobrze, dobrze. Dobranoc, mój śliczny.

- Dobranoc panu. Dziękuję.

Pan Antolini poszedł do kuchni, a ja do łazienki, żeby się rozebrać i umyć. Zębów nie miałem czym umyć, bo nie wziąłem ze sobą szczoteczki. Nie miałem także pidżamy, a pan Antolini zapomniał, że obiecał mi swojej pożyczyć. Wróciłem prędko do salonu, zgasiłem lampę stojącą przy tapczanie, wlazłem pod koc w samych kalesonach. Tapczan był o wiele za krótki, ale nawet na stojąco usnąłbym jak kamień od razu. Parę sekund leżałem rozmyślając o tym, co pan Antolini mi powiedział. O tym, że powinienem się zorientować w wymiarach własnego umysłu, i tak dalej. Facet jest naprawdę inteligentny. Ale oczy same mi się zamykały; zasnąłem.

Potem zdarzyło się coś, o czym nawet wspomnieć nie cierpię.

Obudziłem się nagle. Nie mam pojęcia, która była godzina, ale obudziłem się nagle. Czułem, że coś dotyka mojej głowy, jakaś ręka. Rany boskie, jak ja się wtedy przeraziłem.

Ręka należała do pana Antoliniego. Siedział facet na podłodze przy tapczanie, po ciemku, i gładził pieszczotliwie moją głowę. Skoczyłem niemal pod sufit.

- Co pan tu, do diabła, robi? - krzyknąłem.

- Nic. Po prostu siedzę tutaj i wielbię...

- Co pan tu robi? - powtórzyłem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Speszony byłem cholernie.

- Czy nie zechciałbyś mówić trochę ciszej? Po prostu siedzę tutaj...

- Muszę stąd iść - powiedziałem. Trząsłem się ze zdenerwowania. Zacząłem po ciemku wciągać spodnie. Tak się trząsłem, że nie mogłem sobie z tym poradzić. Nikt chyba nie spotkał tylu zboczeńców, ilu ja ich poznałem w szkołach i poza szkołami, zawsze właśnie w mojej obecności zaczynali swoje sztuki.

- Dokąd to musisz iść? - spytał pan Antolini. Starał się mówić tonem swobodnym i chłodnym, niby nigdy nic, wcale jednak nie był spokojny. Możecie mi wierzyć.

- Zostawiłem walizy na dworcu. Lepiej będzie, jeżeli zaraz po nie pojadę. Mam w tych walizach wszystkie swoje rzeczy.

- Walizy mogą poczekać do rana. Wracaj do łóżka. Ja także już się położę. Co ci się stało, chłopcze?

- Nic mi się nie stało, ale mam w walizce wszystkie pieniądze i różne rzeczy. Zaraz wrócę. Jeżeli złapię taksówkę, to wrócę raz-dwa - powiedziałem. Rany boskie, potykałem się w ciemnościach nawet o własne nogi. - Widzi pan, to nie jest moja forsa. To pieniądze matki i muszę...

- Nie bądź śmieszny. Wracaj do łóżka. Ja też się kładę. Pieniądze bezpiecznie poczekają do jutra.

- Nie, nie, bez żartów. Muszę iść zaraz. Naprawdę muszę.

Byłem już prawie zupełnie ubrany, tylko krawata nie mogłem znaleźć. Nie pamiętałem, gdzie go rzuciłem. Włożyłem marynarkę, trudno, można obejść się bez krawata. Pan Antolini siedział teraz w fotelu, dość daleko ode mnie i przyglądał mi się uważnie. W ciemnościach nie widziałem go wyraźnie, ale czułem, że mi się przygląda. W dalszym ciągu popijał whisky. Dostrzegałem szklankę w jego ręku.

- Bardzo dziwny chłopak z ciebie.

- Wiem - powiedziałem. Nawet nie szukałem już tego krawata. Wyszedłem wreszcie bez niego. - Do widzenia panu - powiedziałem. - Dziękuję bardzo. Naprawdę dziękuję.

Kiedy szedłem do wyjścia, pan Antolini deptał mi po piętach, a kiedy zadzwoniłem na windę, przystanął w drzwiach. Nic już więcej mi nie powiedział, powtórzył tylko jeszcze raz,

że ze mnie „bardzo, bardzo dziwny chłopak". Diabli tam dziwny. Nie ruszył się potem z progu, póki winda nie przyjechała. W życiu nie czekałem tak cholernie długo na żadną windę jak wtedy. Słowo daję.

Nie miałem pojęcia, co mówić, ta przeklęta winda nie przejeżdżała, a pan Antolini stał wciąż za mną. Wreszcie powiedziałem:

- Zabiorę się teraz do czytania dobrych książek. Naprawdę.

Coś przecież musiałem powiedzieć. Sytuacja była okropnie kłopotliwa.

- Złap, chłopcze, te swoje walizy i wracaj zaraz. Zostawię drzwi otwarte.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - odparłem. - Do widzenia.

Nareszcie zjawiła się winda. Wszedłem do niej i zjechałem na dół. Rany boskie, trząsłem się cały jak wariat. Spociłem się też jak mysz. Kiedy się natknę na coś takiego, zawsze pot mnie od razu oblewa. A od dzieciństwa natknąłem się na zboczeńców chyba ze dwadzieścia razy. Nie mogę tego ścierpieć.

25.

Kiedy się znalazłem na ulicy, dzień już świtał. Zimno było, ale to mi się podobało, bo przestałem się dzięki temu pocić.

Nie miałem pojęcia, dokąd iść. Nie chciałem iść znów do hotelu, żeby nie wydać na pokój całej forsy małej Phoebe. Poszedłem więc piechotą do Lexington i stamtąd pojechałem koleją podziemną na Dworzec Centralny. Tam przecież miałem swoje manatki i kombinowałem, że prześpię się w poczekalni, na którejś ławce. Tak też się stało, Z początku było nawet nieźle, bo ludzi kręciło się niewiele i mogłem nogi wyprostować. Ale wolę o tej nocy więcej nie opowiadać. Nie było przyjemnie. Nie próbujcie nigdy tej sztuki. Poważnie mówię. Cholernie przygnębiająca była ta noc.

Spałem ledwie do dziesiątej, bo jakoś o tej porze zaczęli do poczekalni walić ludzie, miliony ludzi, tak że musiałem nogi spuścić z ławki. Nie bardzo umiem spać na siedząco. Głowa mnie wciąż bolała jak diabli. Gorzej nawet niż przedtem, i zgnębiony byłem jak nigdy chyba w życiu.

Nie chciałem myśleć o panu Antolinim, ale jakoś mimo woli o nim myślałem i zastanawiałem się, co też on powie swojej żonie, kiedy pani Antolini wstanie i zobaczy, że ostatecznie u nich nie nocowałem. Zanadto się o niego nie martwiłem co prawda, bo wiedziałem, że pan Antolini jest sprytny i z pewnością wymyśli jakieś wiarygodne wyjaśnienie. Może jej powie, że zdecydowałem się wrócić do domu. Nie, o to się zanadto nie martwiłem. Znacznie bardziej gnębiło mnie przypomnienie tej chwili, kiedy się obudziłem i poczułem jego rękę na swojej głowie. Bo przychodziło mi na myśl, że może się myliłem podejrzewając go o jakieś zapędy. Może on po prostu lubi głaskać po głowie śpiącego chłopaka i nic więcej. Czy to można w takich sprawach mieć pewność? Nie można. Zaczynałem już nawet zastanawiać się, czyby nie wziąć walizek i nie wrócić do pana Antoliniego tak, jak mu niby obiecałem. Myślałem sobie, że nawet jeśli pan Antolini jest naprawdę pedziem, i tak okazał mi dużo dobroci. Nie pogniewał się przecież, że zatelefonowałem do niego o tak późnej godzinie, zaprosił mnie bez namysłu, powiedział, żebym przyszedł, jeżeli mam ochotę. Zadał sobie wiele trudu, żeby mi wytłumaczyć, w jaki sposób mogę dojść do poznania wymiarów własnego umysłu i tak dalej. Przypomniałem też sobie, że on jeden jedyny zbliżył się do Jamesa Castle, do tego chłopca, który się zabił w Elkton Hills, i on właśnie podniósł go z ziemi, jak wam to już opowiadałem. Myślałem o tym wszystkim. A im dłużej myślałem, tym bardziej czułem się załamany. Naprawdę już mi się

wydawało, że powinienem wrócić do pana Antoliniego i że on głaskał mnie po głowie tak sobie, bez żadnych złych zamiarów. Im więcej się zastanawiałem, tym bardziej byłem zgnębiony i tym mniej wiedziałem, co robić. Na dobitkę, oczy mnie rozbolały cholernie. Bolały i piekły od niewyspania. Prócz tego dostałem kataru, a nie miałem nawet chustki do nosa przy sobie. Miałem kilka chustek w walizce, ale jakoś nie chciało mi się wyciągać waliz z przechowalni i otwierać tutaj, na oczach tylu ludzi.

Ktoś zostawił na ławce obok mnie pismo ilustrowane, więc zacząłem je czytać, bo miałem nadzieję, że w ten sposób odczepię się chociaż na chwilę od myślenia o pani Antolinim i o milionie innych spraw. Tymczasem trafiłem na artykuł, który jeszcze gorzej mnie zgnębił. Cała historia o hormonach. Było tam opisane, jak powinien wyglądać człowiek, jego oczy i twarz, jeżeli hormony ma w porządku. A ja wyglądałem zupełnie nieprawidłowo. Właśnie tak jak facet, którego w artykule przedstawiono jako ofiarę źle funkcjonujących hormonów. Zaniepokoiłem się więc cholernie o swoje hormony. Potem przeczytałem drugi artykuł o tym, jak poznać, czy ktoś ma raka, czy nie. Pisali, że jeśli masz w jamie ustnej rankę, która się długo nie chce zagoić, to znak, że pewnie jesteś chory na raka. A ja miałem wargę od wewnątrz skaleczoną i nie goiła mi się przez całe dwa tygodnie. Wykombinowałem, że to rak. Dobre pisemko trafiło mi się na pociechę, nie ma co mówić. W końcu rzuciłem je i wyszedłem na powietrze, żeby się trochę przejść. Wyobraziłem sobie, że mam raka i umrę najdalej za kilka miesięcy. Słowo daję, tak myślałem. Byłem nawet całkiem tego pewny. A to oczywiście nie wprawiło mnie w świetny humor.

Zbierało się jakby na deszcz, ale nie zrezygnowałem ze spaceru. Przede wszystkim myślałem, że dobrze mi zrobi śniadanie. Nie byłem co prawda głodny, ale kombinowałem, że trzeba przynajmniej coś przegryźć. Coś takiego, żeby w tym były witaminy. Skręciłem więc ku wschodnim dzielnicom, gdzie są różne tanie restauracje, bo nie chciałem za dużo forsy wydawać.

Po drodze minąłem dwóch facetów, którzy wyładowywali z ciężarówki ogromną choinkę. Jeden pokrzykiwał do drugiego: „Trzymaj tego sukinsyna! Trzymaj go, na miłość boską!” Fajnie nazwał boże drzewko, szkoda gadać. Ale na swój okropny sposób było to zarazem bardzo śmieszne i wybuchnąłem śmiechem. Nic gorszego nie mogłem zrobić, bo kiedy się roześmiałem, zemdliło mnie i mało brakowało, a byłbym zwymiotował. Fakt. Już, już miałem rzygnąć, ale w ostatnim momencie jakoś mi przeszło. Nie mam pojęcia, co mi zaszkodziło. Nic prze cięż takiego nie jadłem, a zresztą żołądek na ogół mam najzdrowszy w świecie. No, ale jakoś mi przeszło i pomyślałem, że śniadanie dobrze mi zrobi. Wstąpiłem do restauracji, która na oko wydała mi się bardzo tania, zamówiłem racuszki i kawę. Racuszków

jednak nie zjadłem. Nie mogłem ani kęsa przełknąć. Bo kiedy człowiek jest bardzo zgnębiony, cholernie trudno mu przełykać. Kelner był sympatyczny. Zabrał racuszki i nie policzył mi za nie ani centa. Tylko kawę wypiłem. Potem wyszedłem i powędrowałem w stronę Fifth Avenue.

Był poniedziałek, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, wszystkie sklepy pootwierane. Dość przyjemnie się szło przez Fifth Avenue. Było jakoś bardzo gwiazdkowe. Na rogach ulic kudłaci święci Mikołajowie potrząsali dzwonkami, a dziewczęta z Armii Zbawienia - te, co to nie malują ust - także dzwoniły. Rozglądałem się trochę, czy nie zobaczę gdzieś moich dwóch zakonnic, z którymi poprzedniego dnia jadłem razem śniadanie, ale nigdzie ich nie było widać. Właściwie z góry wiedziałem, że ich tu nie spotkam, bo mówiły mi, że w Nowym Jorku będą pracowały jako nauczycielki, ale pomimo to ich wypatrywałem. Słowem, nagle zrobiło się wokół mnie bardzo gwiazdkowe. Miliony małych dzieci kręciły się po mieście ze swoimi matkami, wysiadały z autobusów, wsiadały, wchodziły i wychodziły ze sklepów. Żałowałem, że nie ma między nimi Phoebe. Nie jest już taka mała, żeby szaleć ze szczęścia w dziale zabawek, ale lubi bawić się i przyglądać w sklepach ludziom. Poprzedniego roku przed Gwiazdką razem wybraliśmy się na świąteczne zakupy. Bawiliśmy się świetnie. Zdaje się, że to było w sklepie u Bloomingdale'a. Poszliśmy do działu obuwia i udawaliśmy, że Phoebe chce kupić parę butów na wielkie błoto, takich z bardzo wysokimi cholewkami, co to je trzeba sznurować na sto tysięcy dziurek. O mało nie doprowadziliśmy biednego ekspedienta do wariacji. Phoebe przymierzała dwadzieścia par, a za każdym razem nieborak musiał jej sznurować buciki aż do samej góry. Właściwie podły kawał, ale Phoebe bawiła się jak król. W końcu kupiliśmy dla niej mokasyny. Ekspedient zachował się bardzo sympatycznie. Domyślił się chyba dość prędko, że chodzi tylko o kawał, bo Phoebe nigdy nie wytrzymała długo, żeby nie chichotać.

Szedłem więc tak sobie przez Fifth Avenue, a wciąż bez krawata i w ogóle nie umyty. Ni z tego, ni z owego zaczęły się ze mną dziać niesamowite rzeczy. Ile razy dochodziłem do przecznicy i złaziłem na jezdnię - miałem wrażenie, że nie dotrę nigdy do chodnika po drugiej stronie. Zdawało mi się, że po prostu idę, idę i nikt mnie już więcej na świecie nie zobaczy. Rany boskie, jaki mnie strach obleciał. Pojęcie przechodzi. Znów się spociłem jak mysz, koszula, podkoszulek - wszystko mi się do grzbietu lepiło. Wtedy wziąłem się na sposób. Ilekroć zbliżałem się do przecznicy, udawałem, że mówię do mojego brata Alika. I mówiłem mu: „Alik, nie pozwól mi zniknąć. Proszę cię, Alik!” A kiedy stawałem po przeciwnej stronie na chodniku, dziękowałem Alikowi, że mnie uchronił od zniknięcia. Potem przy następnej przecznicy cała historia powtarzała się od początku do końca. Ale wciąż szedłem naprzód.

Może się bałem zatrzymać, prawdę powiedziawszy nie pamiętam już tego dokładnie. Wiem tylko, że zatrzymałem się dopiero het za Sześćdziesiątą Ulicą, minąwszy zoo. Siadłem na ławce. Byłem zasapany i pociłem się w dalszym ciągu jak mysz. Siedziałem tam chyba z godzinę. W końcu namyśliłem się i postanowiłem, , że nigdy nie wrócę do domu i że nie dam się zapakować ! do żadnej nowej szkoły. Postanowiłem, że zobaczę się tylko z małą Phoebe, żeby się z nią pożegnać i tak dalej, no i żeby jej oddać forsę, a potem ruszę autostopem na zachód. Kombinowałem sobie, że najpierw dobrnę do Holland Tunnel, naciągnę jakiegoś kierowcę, żeby mnie podwiózł kawałek drogi, potem znów następnego, trzeciego i czwartego, aż po kilku dniach znajdę się daleko na zachodzie, w okolicy pięknej i słonecznej, gdzie nikt mnie nie zna, i tam znajdę pracę. Kombinowałem, że nadałbym się na przykład do obsługi stacji benzynowej, mógłbym pompować benzynę do samochodów. Zresztą było mi wszystko jedno, jaką pracę dostanę. Byle nikt mnie nie znał, byłem ja nawzajem nie znał nikogo. Wymyśliłem sobie na to sposób: będę udawał głuchoniemego. Jako głuchoniemy nie będę musiał prowadzić z nikim głupich rozmów bez sensu. Kto będzie miał do mnie interes, napisze kilka słów na kartce i podsunie mi pod oczy. Prędko się ludziom takie rozmówki sprzykrzą i dadzą mi święty spokój aż do końca życia. Będą myśleli, że jestem nieszczęsny kaleka, i przestaną mnie nudzić. Pozwolą mi jednak nalewać benzynę do swoich głupich wozów i będą mi za to płacili, a ja zbuduję sobie za zarobioną forsę małą chatę i będę w niej mieszkał do śmierci. Postawię chatę tuż pod lasem, a nie w lesie, bo chciałbym mieć zawsze jak najwięcej słońca w swoim domu. Sam sobie będę gotował i gospodarował, a jeżeli kiedyś później zechcę się ożenić, spotkam przepiękną dziewczynę, także głuchoniemą, i pobierzemy się z nią. Dziewczyna zamieszka ze mną w chacie, a jeśli będzie miała mi coś do powiedzenia, napisze to na kartce, tak samo jak wszyscy inni ludzie. Jeśli urodzą nam się dzieci, schowamy je w naszym kącie i sami nauczymy czytać i pisać.

Zapaliłem się do tych planów, naprawdę się zapaliłem. Zdawałem sobie sprawę, że z tym udawaniem głuchoniemego to wariacki pomysł, ale i tak szalenie przyjemnie było o tym chociaż pomarzyć. Za to wyjechać na zachód byłem poważnie zdecydowany. Chciałem tylko przedtem pożegnać się z małą Phoebe. Nagle więc jak wariat puściłem się pędem przez ulicę - jeśli chcecie wiedzieć prawdę, o mały włos nie zabiłem się przy tej okazji - wpadłem do sklepu z materiałami piśmiennymi, kupiłem blok papieru i ołówek. Kombinowałem, że napiszę do Phoebe parę słów, naznaczę jej godzinę i miejsce spotkania, żeby się z nią pożegnać i zwrócić jej tę pożyczoną forsę; potem list zaniosę do jej szkoły, zostawię u kogoś, w sekretariacie czy coś w tym rodzaju, z prośbą o doręczenie. Wsunąłem blok i ołówek do kieszeni i ruszyłem co sił w nogach w stronę szkoły; zanadto byłem podniecony, żeby na

miejscu, w tym sklepie, pisać list. Spieszyłem się szalenie, bo chciałem zdążyć, zanim Phoebe wyjdzie ze szkoły na lunch do domu, a czasu zostało już niewiele.

Wiedziałem oczywiście, gdzie jest szkoła małej Phoebe, bo sam także jako pętak tam chodziłem. Kiedy wchodziłem do gmachu szkolnego, było mi jakoś dziwnie. Nie byłem wcale pewny, czy dokładnie pamiętam, jak szkoła od środka wygląda, a tymczasem okazało się, że wszystko doskonale pamiętam. Nic się nie zmieniło od tamtych lat, został ten sam wewnętrzny dziedziniec, zawsze trochę ciemnawy, bo żarówki zabezpieczono drucianymi klatkami, żeby się nie stłukły, jeżeli w nie przypadkiem trafi piłka. Na podłodze tak samo jak dawniej bielały linie wymalowane do jakichś gier czy zabaw. Stare pierścienie od koszykówki wisiały jak za moich czasów puste, bez siatki; nic - tylko deseczki i puste pierścienie.

Nie było widać żywej duszy, pewnie dlatego, że nie trafiłem na pauzę, a do przerwy południowej brakowało jeszcze sporo czasu. Spotkałem tylko jednego malca - Murzynka - wędrującego do toalety. Z tylnej kieszeni spodni sterczał mu drewniany bloczek; taki sam dostawałem zawsze od nauczycielki jako dowód, że pozwoliła mi wyjść z klasy do toalety.

Wciąż jeszcze pociłem się, ale już trochę mniej. Odnalazłem schody, przysiadłem na pierwszym stopniu, wyciągnąłem papier i ołówek. Schody pachniały tak samo jak przed wielu laty, kiedy chodziłem do tej szkoły. Jak gdyby przed chwilą ktoś na nie nasiusiał. We wszystkich szkołach schody mają taki zapach. Siadłem więc i napisałem taki liścik:

Kochana Phoebe!

Nie mogę czekać aż do środy, więc pewnie już dziś po południu wyruszę autostopem na zachód. Spotkamy się w Muzeum Sztuki w pobliżu wejścia kwadrans po dwunastej, jeżeli oczywiście możesz przyjść. Chcę ci oddać twój gwiazdkowy fundusz. Wydałem z niego bardzo niewiele.

Twój kochający Holden

Szkoła mieściła się tuż przy muzeum. Phoebe musiała i tak po drodze do domu tędy przechodzić, wiedziałem więc, że na pewno będzie mogła bez trudu stawić się na to spotkanie.

Poszedłem schodami na piętro, gdzie był gabinet kierowniczki szkoły, żeby powierzyć komuś z personelu mój liścik i poprosić o zaniesienie go do klasy Phoebe. Złożyłem kartkę w dziesięcioro, tak że nikt nie mógłby przeczytać, bo napisałem. W żadnej cholernej szkole,

nikomu nie można ufać. Ale byłem pewny, że oddadzą Phoebe list, jako że to od rodzonego brata.

Kiedy lazłem po schodach, znów mnie nagle zemdliło i o mało nie pojechałem do rygi. Ale nie. Przysiadłem na chwileczkę i zaraz zrobiło mi się lepiej. Tylko że z tego miejsca, gdzie siedziałem, zobaczyłem coś takiego, że krew mnie po prostu zalała. Ktoś nagryzmolił na ścianie: „Pies cię...” Aż mnie zatkało z wściekłości. Wyobraziłem sobie ten moment, kiedy Phoebe i inne maluchy zauważą ten świński napis i zaczną sobie łamać głowy, co też może znaczyć, aż w końcu któryś zepsuty bachor wy tłumaczy im - oczywiście na swój bzdurny sposób - a potem dzieciaki będą o tym rozmyślać i może gryźć się co najmniej przez kilka dni. Chętnie bym zabił tego, kto to napisał. Przypuszczam, że był to jakiś łobuz, co zakradł się do szkoły późną nocą, żeby się wysiusiać i przy sposobności nabazgrał to świństwo na ścianie. Zacząłem sobie wyobrażać, jak by to było, gdybym drania przyłapał; tłukłbym jego łbem o kamienne schody, póki bym go na śmierć nie zatłukł. Ale wiedziałem, że w rzeczywistości nigdy bym się na to nie zdobył. Znam siebie. Tym bardziej się załamałem. Jeżeli chcecie wiedzieć całą prawdę, brakowało mi odwagi nawet na to, żeby własną ręką zetrzeć to plugastwo ze ściany. Bałem się, bo gdyby ktoś z nauczycielstwa nakrył mnie, mógłby pomyśleć, że ten napis to moja sprawka. Ostatecznie jednak starłem go jakoś. Dopiero potem wszedłem na górę do gabinetu kierowniczki.

Nie zastałem jej, tylko jakąś starszą panią - miała chyba ze sto lat - piszącą na maszynie. Przedstawiłem się, że jestem bratem Phoebe Caulfieid z czwartej B1, i poprosiłem, żeby była łaskawa doręczyć liścik siostrze. Powiedziałem, że chodzi o ważną sprawę, bo matka źle się czuje i nie może przygotować lunchu w domu, więc poleciła mi zaprowadzić małą na lunch do drugstore'u. Starsza pani była bardzo sympatyczna. Wzięła ode mnie liścik, zawołała z sąsiedniego pokoju drugą panią, która zaraz poszła z listem do klasy Phoebe. Potem pierwsza pani - ta stuletnia - ucięła ze mną małą pogawędkę. Wydała mi się dość miła, więc powiedziałem jej, że chodziłem kiedyś do tej samej szkoły, i moi dwaj bracia także. Zapytała, w jakiej szkole teraz jestem, ja odpowiedziałem, że w „Pencey”, a ona na to oznajmiła, że to bardzo dobra szkoła. Nawet gdybym chciał, nie mogłem wyprowadzić jej z błędu. Zresztą, skoro myśli, że „Pencey” to dobra szkoła, niech sobie dalej w to wierzy. Kto by tam - lubił otwierać oczy stuletnim staruszkom. One zresztą wcale sobie tego nie życzą.

Po jakimś czasie pożegnałem się ze starszą panią. Bardzo dziwnie to wypadło. Wykrzyknęła za mną: „Powodzenia” - zupełnie tak samo jak stary Spencer, kiedy opuszczałem „Pencey”. Nie cierpię, żeby mi ktoś życzył powodzenia, kiedy skądś odchodzę. To mnie okropnie przygnębia.

Zszedłem inną klatką i znowu zobaczyłem drugi świński napis na ścianie. Próbowałem go zetrzeć, ale na próżno, bo był wyskrobany scyzorykiem czy innym ostrym narzędziem. Nie było na niego sposobu. Zresztą i tak sprawa beznadziejna. Gdyby nawet człowiek spędził milion lat na tym zajęciu, nie starłby nawet połowy świństw wypisanych w różnych miejscach na świecie. Nie ma rady.

Przechodząc przez dziedziniec rekreacyjny spojrzałem na zegar. Do dwunastej brakowało jeszcze dwudziestu minut, więc zostało mi dużo czasu do zabicia przed spotkaniem z Phoebe. Poszedłem jednak prosto do muzeum. Gdzie miałem iść? Przyszło mi do głowy, że mógłbym z automatu zadzwonić do Jane Gallagher, nim wyruszę na zachód, ale jakoś nie byłem w odpowiednim nastroju. Przede wszystkim wcale nie wiedziałem na pewno, czy Jane już przyjechała do domu na wakacje. Poszedłem więc prosto do muzeum i tam kręciłem się przez jakiś czas.

Kiedy tak czekałem na Phoebe, kręcąc się w pobliżu głównych drzwi, podeszło do mnie dwóch pętaków i zapytało, czy nie wiem, gdzie są mumie. Jeden z tych maluchów miał portki rozpięte. Zwróciłem mu na to uwagę. Zapiął je natychmiast, ale tam, gdzie stał, nie przerywając rozmowy ze mną: nawet mu się nie śniło odchodzić na bok czy chować za jakiś słup. Szalenie mnie ubawił. Chciało mi się śmiać, ale bałem się, żeby znów mnie przy tej sposobności nie zemdliło, więc się powstrzymałem.

- No, gdzie są te mumie? - spytał po raz drugi pętak. - Wiesz?

Zabawiłem się trochę tymi smarkaczami.

- Jakie znów mumie? Co to takiego: mumie? spytałem.

- Ojej, wiesz przecież. Mumie. Umarlaki. Co to ich wyciągnęli z piramidów.

Z piramidów! Sto pociech.

- Jak się to dzieje, że nie jesteście w szkole? spytałem.

- U nas w szkole już dzisiaj nie ma lekcji - odpowiedział malec, który stale w imieniu obu przemawiał.

Kłamał smyk, jak amen w pacierzu. Ale że nie wiedziałem, co z sobą robić, póki się nie zjawi Phoebe, pomogłem maluchom odnaleźć salę, gdzie były mumie. Za dawnych czasów trafiłbym do nich z zawiązanymi oczami, ale nie byłem od wielu lat w muzeum.

- A wy się obaj interesujecie specjalnie mumiami? - zagadnąłem.

- Aha.

- Ten drugi kolega nie umie mówić?

- To nie kolega. To mój brat.

- I nie umie mówić? - Popatrzyłem na milczka. - Nie umiesz mówisz? - zapytałem.

- Umiem - odparł. - Ale mi się nie chce.

W końcu weszliśmy do właściwej sali i znaleźliśmy mumie.

- Wiecie, jak Egipcjanie chowali swoich umarłych? - spytałem rozmowniejszego malca.

- Nie!

- Warto wiedzieć. Bardzo ciekawa historia. Owijali ich całych, razem z twarzą, w płótno zmaczane w jakichś tajemniczych środkach chemicznych. Potem ci umarli mogli przez kilka tysięcy lat leżeć w grobowcu i ani twarz, ani ciało wcale się nie psuło. Ale ten sposób to sekret Egipcjan, nikt inny go nie zna. Nawet nowocześni uczeni.

Żeby się dostać do mumii, trzeba było iść przez długą, bardzo wąską salę, między kamieniami wyjętymi z grobowca faraona. Ponuro tam było niesamowicie i widziałem, że moje dwa zuchy jakoś zmarkotniały. Trzymali się obaj jak najbliżej mnie, a ten mniejszy, nie lubiący gadać, czepiał się nawet mojego rękawa.

- Chodźmy już - powiedział do brata. - Już wszystko widziałem. No, chodź.

Zawrócił na pięcie i zwiał.

- Ale ma pietra - powiedział ten drugi. - Do widzenia.

I także wziął nogi za pas.

Zostałem więc sam w grobowcu. Nawet mi się to dość podobało. Przyjemnie było, spokojnie. Nagle... nie zgadniecie, co zobaczyłem! Jeszcze jeden napis „Pies cię...” - na ścianie. Ktoś nagryzmolił to świństwo czerwonym ołówkiem czy może kredą tuż pod oszkloną częścią ściany na kamieniu. To właśnie największe zmartwienie. Nigdzie człowiek nie znajdzie przyjemnego, spokojnego miejsca, bo nie ma takiego miejsca na świecie. Możesz się łudzić, że gdzieś taki kąt jest, ale jeżeli tam wreszcie dotrzesz, ktoś wśliźnie się korzystając z chwili twojej nieuwagi i wypisze ci na ścianie tuż pod nosem jakieś plugastwo. Spróbujcie, a przekonacie się sami. Myślę, że nawet kiedy umrę i zakopią mnie na cmentarzu, i postawią nagrobek, na którym wyryją: „Holden Caulfieid”, a dalej rok urodzenia i rok śmierci, z pewnością tuż pod tymi datami będzie nagryzmolne: „Pies cię...” Mógłbym się założyć, że tak będzie.

Kiedy wyszedłem z sali mumii, musiałem iść do toalety. Jeżeli chcecie wiedzieć wszystko, miałem trochę biegunki. To nie byłoby jeszcze nic strasznego, ale zdarzyło się przy okazji coś więcej. Wychodząc z kabiny, nim jeszcze doszedłem do drzwi wyjściowych, nagle zemdlałem czy coś w tym rodzaju. Ale miałem szczęście. Mogłem przecież się zabić, gdybym rąbnął głową o podłogę, a zamiast tego wylądowałem łagodnie na boku. Najdziwniejsze, że

po tym omdleniu zrobiło mi się jakoś znacznie lepiej. Fakt. Bolało mnie ramię, na które upadłem, ale w głowie już mi się nie kręciło tak cholernie jak przedtem.

Tymczasem było już dziesięć po dwunastej, wróciłem więc do głównego wejścia, żeby tam czekać na Phoebe. Myślałem sobie, że zobaczę ją dzisiaj może ostatni raz w życiu. Może nikogo z rodziny więcej już nie zobaczę. A jeśli nawet spotkam się z nimi kiedyś, to w każdym razie bardzo nieprędko. Kombinowałem, że wrócę do domu dopiero, jak będę miał ze trzydzieści pięć lat, na wiadomość, że ktoś z moich bliskich jest chory i chce mnie ujrzeć przed śmiercią. Dla żadnego innego powodu nie dam się do domu ściągnąć. Tylko w takim przypadku opuszczę moją chatę i zjawię się w domu. Zacząłem sobie wyobrażać, jak to będzie. Wiedziałem, że matka przejmie się okropnie i rozpłacze, będzie mnie błagała, żebym został i nie wracał do swojej chaty, ale ja nie ustąpię. Zachowam zimną krew. Uspokoję matkę, a potem przejdę w drugi koniec salonu, gdzie stoi pudełko z papierosami, zapalę jakby nigdy nic. Zaproszę ich, żeby mnie od czasu do czasu odwiedzali, jeżeli mają ochotę, ale nalegać nie będę. Za to małą Phoebe ściągnę do siebie na letnie wakacje i na ferie świąteczne, na Gwiazdkę i na Wielkanoc. Pozwolę też przyjechać bratu na jakiś czas, gdyby D.B. potrzebował cichego i miłego kąta do pracy, ale musiałby pisać w mojej chacie opowiadania albo powieści, a nie scenariusze filmowe. Ustanowiłbym takie prawo, że w mojej chacie nikomu nie wolno zajmować się bzdurami. Kto by to prawo próbował .złamać, tego bym od siebie wyprosił.

Nagle spojrzałem na zegar w szatni. Było już pięć po wpół do pierwszej. Zląkłem się, że może starsza pani ze szkoły zabroniła tej drugiej pani doręczyć Phoebe mój list. Strach mnie obleciał, czy nie kazała spalić albo w ogóle zniszczyć tej karteczki. Na tę myśl aż się zatrząsłem ze strachu. Bardzo chciałem zobaczyć małą Phoebe, zanim ruszę w świat. Zwłaszcza że miałem cały jej fundusz gwiazdkowy w kieszeni.

Wreszcie zobaczyłem Phoebe. Zobaczyłem ją przez oszklone drzwi. A łatwo ją było zauważyć, bo miała na głowie moją zwariowaną dżokejkę, która nawet z odległości dziesięciu mil bije w oczy.

Wyszedłem przed drzwi i po kamiennych schodach w dół na jej spotkanie. Nie rozumiałem tylko, dlaczego Phoebe taszczy olbrzymią walizę. Ledwie ją mogła udźwignąć. Kiedy była już blisko, poznałem swoją starą walizę, tę, którą miałem jeszcze w Whooton. Po kiedy diabła Phoebe wzięła ją ze sobą, nie miałem pojęcia.

- Hej, Phoebe! - zawołałem, gdy się zbliżyła. Dyszała głośno, ta głupia walizka była dla niej o wiele za ciężka. - Już myślałem, że nie przyjdziesz - powiedziałem. - Co, u licha, niesiesz w tej walizce? Mnie przecież niczego nie potrzeba. Ruszam w drogę tak, jak stoję.

Nie wezmę nawet tych dwóch walizek, które zostawiłem na dworcu. Po co, u licha, taszczysz trzecią?

Postawiła walizę na ziemi.

- Mam w niej swoje ubranie - oznajmiła. - Jadę z tobą. Pozwolisz? Zgoda?

- Co takiego? - Mało trupem nie padłem, kiedy usłyszałem te słowa. Jak Boga kocham. Zakręciło mi się w głowie i miałem wrażenie, że znowu zemdleję, czy coś w tym rodzaju.

- Zjechałam kuchenną windą, żeby mnie Charlene nie zobaczyła. To wcale nie ciężkie. Nic w środku nie ma prócz dwóch sukienek, mokasynów, bielizny, skarpetek j jeszcze paru rzeczy. Spróbuj. Zupełnie lekka. No, spróbuj. Mogę jechać z tobą? Powiedz, Holden, że mogę. Proszę cię!

- Nie. I nie gadaj tyle.

Zdawało mi się, że znowu mdleję. Właściwie wcale nie chciałem tak ostro odpowiadać małej Phoebe, ale zdawało mi się, że mdleję.

- Dlaczego? Proszę cię, Holden! Nie będę ci przeszkadzała, tylko pojadę razem z tobą. Jeżeli nie chcesz, żebym zabierała te rzeczy, to zostawię wszystko... Wezmę tylko...

- Nic nie weźmiesz. Bo nigdzie nie pojedziesz. Wyruszam sam. Więc przestań gadać tyle.

- Proszę cię, Holden, proszę! Będę bardzo, bardzo, bardzo... Nawet nie zauważysz...

- Nie. Dość gadania. Daj mi to - powiedziałem odbierając jej walizę.

Byłem prawie gotów uderzyć małą Phoebe. Już, już byłbym ją trzepnął. Słowo daję. Phoebe zaczęła płakać.

- O ile mi wiadomo, miałaś w tym widowisku grać rolę Benedykta Arnolda - powiedziałem. A powiedziałem to bardzo złośliwym tonem. - Czego chcesz? Wyrzekasz się tego występu czy co, na miłość boską?

Phoebe rozpłakała się na dobre. Byłem zadowolony. Chciałem w tym momencie, żeby płakała, żeby sobie oczy wypłakała na amen. Prawie że jej nienawidziłem w tej chwili. Zdaje mi się, że nienawidziłem jej przede wszystkim za to, że nie będzie grała w tym przedstawieniu, jeżeli pojedzie ze mną na zachód.

- Chodź - powiedziałem, i zawróciłem schodami pod górę do muzeum. Wykombinowałem, że oddam tę głupią walizę, którą Phoebe przytaszczyła do szatni, a smarkula odbierze ją sobie, jak o trzeciej będzie wracała ze szkoły do domu. Oczywiście nie mogła zabierać walizy do szkoły. - No, chodź - powtórzyłem.

Ona jednak nie poszła za mną. Nie zważając na to, odniosłem walizę do szatni i oddałem na przechowanie, a potem zbiegłem z powrotem do Phoebe. Stała jak mur na chodniku, ale odwróciła się ode mnie plecami, kiedy podszedłem bliżej. Taka już jest Phoebe. Jeżeli się obrazi, odwraca się plecami.

- Wiesz, właściwie ja także nigdzie nie pojadę. Rozmyśliłem się. Przestań więc beczeć i nie gadaj tyle - powiedziałem. Głupio, bo ona przecież nic od dawna nie gadała, a teraz nawet już przestała płakać. No, ale tak powiedziałem. - Chodź, Phoebe. Odprowadzę cię do szkoły. Chodźże. Inaczej się spóźnisz.

Nic nie odpowiedziała, tylko zmiękła. Chciałem ją wziąć za rękę, ale nie pozwoliła. Wciąż odwracała się ode mnie uparcie.

- Lunch jadłaś? Powiedz, jadłaś co? - spytałem.

Milczała dalej. Za całą odpowiedź zerwała z głowy czerwoną dżokejkę - tę, którą dostała ode mnie - i cisnęła mi ją niemal prosto w twarz. Potem znów się odwróciła plecami. Aż mnie zatkało, ale nic nie mówiąc podniosłem czapkę i schowałem do kieszeni palta.

- No, chodź, odprowadzę cię do szkoły - powtórzyłem.

- Nie pójdę więcej do szkoły!

Nie miałem pojęcia co zrobić wobec tego oświadczenia. Przez chwilę stałem osłupiały.

- Musisz iść do szkoły. Przecież chcesz występować w przedstawieniu, prawda? Chcesz grać Benedykta Arnolda.

- Nie.

- Na pewno chcesz. Założę się, że chcesz. No, chodź, pójdziemy razem - powiedziałem. - Przede wszystkim ja także nigdzie się już nie wybieram. Słyszysz? Wracam do domu. Odprowadzę cię do szkoły i zaraz idę do domu. Wstąpię tylko na dworzec po walizki, a potem już prosto do domu...

- Powiedziałam ci, że nie pójdę więcej do szkoły. Możesz sobie robić, co ci się podoba, ale ja i tak do szkoły nie pójdę - odparła. - Więc zamknij buzię.

Pierwszy raz w życiu Phoebe powiedziała do mnie: „Zamknij buzię”. Zabrzmiało to okropnie. Gorzej niż gdyby mnie sklęła i w dalszym ciągu nie chciała na mnie patrzeć, a ilekroć próbowałem położyć rękę na jej ramieniu czy dotknąć jej, otrząsała się ze złością.

- Słuchaj, może zgodzisz się iść na spacer? - spytałem. - Może chcesz, żebyśmy poszli razem na przykład do zoo? Jeżeli pozwolę ci nie wracać dzisiaj do szkoły i wezmę cię na spacer, dasz spokój tym wszystkim bzdurom, dobrze?

Nie odpowiedziała, więc zacząłem raz jeszcze od początku:

- Jeżeli pozwolę ci zwagarować dzisiaj ze szkoły i pójdę z tobą na mały spacerek, machniesz ręką na te głupstwa, dobrze? Pójdziesz jutro rano znów do szkoły jak grzeczna dziewczynka?

- Może tak, a może nie - powiedziała. Nagle puściła się pędem w poprzek jezdni, nie patrząc wcale, czy nie jedzie jakiś samochód. Niezły wariat czasem z tej małej. Nie pobiegłem jednak za nią. Wiedziałem, że to ona za mną pójdzie, więc ruszyłem w kierunku zoo, wzdłuż parku; Phoebe szła równolegle do mnie po drugiej stronie ulicy. Nie oglądała się niby na mnie, ale byłem pewny, że kątem oka zerka i uważa, dokąd idę i co robię. W ten sposób zawędrowaliśmy aż do zoo. Raz tylko zdenerwowałem się, kiedy przejeżdżał piętrowy autobus i zasłonił mi widok na przeciwległy chodnik, tak, że przez chwilę nie wiedziałem, co się dzieje z Phoebe. Ale gdy znaleźliśmy się wreszcie u wejścia do zoo, krzyknąłem poprzez jezdnię: „Phoebe!

Ja idę do zoo! Chodź ze mną!” Nie patrzyła na mnie, ale wiedziałem, że usłyszała, a kiedy schodząc po schodach obejrzałem się, zobaczyłem, że Phoebe przechodzi przez ulicę i dalej idzie moim śladem.

W zoo nie było tłoku z powodu szkaradnej pogody, ale trochę ludzi zebrało się nad basenem, w którym pływały foki. Zamierzałem minąć to miejsce, ale Phoebe zatrzymała się, chciała widać przyjrzeć się karmieniu fok, bo właśnie jakiś facet rzucał im ryby. Zawróciłem więc, stanąłem sobie za plecami małej i spróbowałem niby od niechcenia połączyć ręce na jej ramionach. Phoebe jednak ugięła kolana i wymknęła mi się natychmiast. Bywa okropnie zawzięta, jeżeli jej coś strzeli do głowy. Stała cały czas, póki foki nie przestały jeść, a ja stałem tuż za nią. Nie próbowałem już więcej kłaść rąk na jej ramionach ani zaczepiać jej, bo gdybym to zrobił, pewnie by mi uciekła na amen. Dzieci mają swoje dziwactwa. Trzeba dobrze uważać, żeby ich nie spłoszyć.

Kiedy w końcu odeszliśmy od fok, Phoebe nie chciała iść ze mną, ale trzymała się w pobliżu. Ja szedłem jednym skrajem chodnika, ona - drugim. Nie było to wielkie osiągnięcie, ale bądź co bądź postęp; nie dzieliło nas już pół świata jak przedtem. Zawędrowaliśmy tak w głąb zoo, do misiów, na tę ich górkę, ale nie bawiliśmy tam długo, bo niewiele było do oglądania. Tylko jeden niedźwiedź - polarny - pokazał nos, drugi - ten brunatny - siedział w swojej jaskini i nie chciał z niej wy leźć. Ledwie można było dostrzec jego zad. Tuż obok mnie stał malec w kowbojskim kapeluszu, który mu wpadał na oba uszy, i powtarzał w kółko” „Niech tatuś mu każe wyleźć. Tatusiu, niech tatuś mu każe...” Spojrzałem na Phoebe, ale nie chciała się roześmiać. Dzieci, kiedy się obrażą, takie już są. Ani się nie śmieją, ani nic.

Zostawiliśmy w spokoju misie i wyszliśmy z zoo, a potem przecięliśmy wąską uliczkę i weszliśmy do parku przez jeden z tych małych tuneli, gdzie zawsze trochę śmierdzi, bo ludzie tam się załatwiają. Tędy prowadziła droga do karuzeli. Phoebe wprawdzie wciąż jeszcze nie odzywała się, szła jednak teraz tuż, tuż koło mnie. Niby żartem spróbowałem chwycić za patkę, którą miała z tyłu na płaszczu, ale mi na to nie pozwoliła. Puknęła: „Łapy przy sobie!" Wciąż jeszcze gniewała się na mnie, trochę jednak mniej niż przedtem. Tak idąc zbliżaliśmy się coraz bardziej do karuzeli i już dolatywała nam do uszu zwariowana muzyczka, która tam zawsze przygrywa. Grali „O, Marie!" - tę samą piosenkę, którą stąd pamiętałem sprzed stu lat, z czasów, kiedy to ja byłem mały. Najsympatyczniejsze w karuzeli jest właśnie to, że stale grają te same piosenki.

- Myślałam, że karuzela w zimie jest nieczynna - powiedziała Phoebe. Nareszcie się odezwała! Pewnie chwilowo zapomniała, że jest na mnie obrażona.

- Może ją uruchomili z powodu świąt - zauważyłem.

Nic już na to nie odpowiedziała. Pewnie sobie przypomniała, że jest na mnie obrażona.

- Chciałabyś się przejechać? - spytałem. Wiedziałem, że ma ochotę. Kiedy jeszcze była malutka i chodziliśmy do parku we czwórkę. - D.B., Alik, ja i ona - szalała za karuzelą. Nie mogliśmy jej ściągnąć z tej cholernej machiny.

- Za duża jestem - powiedziała. Nie spodziewałem się, że mi odpowie, ale odpowiedziała.

- Wcale nie uważam - odparłem. - Jazda! Poczekam na ciebie. Jazda!

Byliśmy na miejscu. Kilkoro dzieci jeździło na karuzeli, a ich rodzice stali wkoło albo siedzieli na ławkach. Niewiele myśląc podszedłem do okienka i kupiłem dla Phoebe bilet. Wręczyłem jej. Stała tuż przy mnie.

- Masz - powiedziałem. - Czekaj. Oddam ci przy sposobności resztę twoich pieniędzy.

Wyciągnąłem z kieszeni wszystko, co mi zostało z pożyczonej od Phoebe forsy.

- Zatrzymaj to! Przechowaj mi tę forsę - zawołała. I dodała: - Proszę: Kiedy ktoś mówi do mnie: „Proszę!" - zawsze mnie to okropnie przygnębia. Czy Phoebe, czy ktoś inny - wszystko jedno. Więc i tym razem, przygnębiło mnie to jej: „Proszę!" Ale schowałem forsę z powrotem do kieszeni.

- A ty nie przejechałbyś się także? - spytała. Popatrzyła na mnie jakoś dziwnie. Widać było, że już jej złość przeszła.

- Może następną rundę. Teraz wolę patrzeć, jak ty będziesz jeździła - powiedziałem. - Bilet masz?

- Mam.

- No, to idź. Będę siedział na ławce, tutaj bliziutko, i będę na ciebie patrzył.

Podszedłem do ławki, siadłem, a Phoebe pobiegła do karuzeli. Obeszła ją najpierw dokolutka. Tak, najpierw na własnych nogach zrobiła całe okrążenie. Dopiero potem wpakowała się na wielkiego, starego i mocno obdrapanego gniadego konia. Karuzela ruszyła, a ja patrzyłem, jak Phoebe krąży, krąży w kółko. Prócz niej ledwie pięcioro czy sześcioro dzieci brało udział w zabawie, a muzyczka grała teraz piosenkę: „Dym gryzie w oczy". Grali w stylu jazzowym, bardzo zabawnie. Wszystkie dzieci usiłowały dosięgnąć złotego pierścienia. Phoebe także, a ja trochę się bałem, żeby nie spadła z tego cholernego rumaka, ale nie mówiłem ani nie robiłem nic. Trzeba znać dzieci. Jeżeli chcą schwycić złoty pierścień, nie wolno im się sprzeciwiać ani robić uwag. Spadną, to spadną, ale najgorzej byłoby coś wtedy do nich zagadywać.

Po skończonej rundzie Phoebe zlazła z konia i podeszła do mnie.

- Teraz ty pojedź - powiedziała.

- Nie, wolę patrzeć, jak ty jeździsz. Wolę tylko patrzeć - odparłem. - Dałem jej znów trochę forsy z własnego gwiazdkowego funduszu. - Bierz. Kup od razu parę biletów.

Wzięła pieniądze.

- Wiesz, już się nie gniewam - powiedziała.

- Wiem. Biegiem, Phoebe, karuzela już rusza!

Niespodziewanie Phoebe pocałowała mnie. Potem, wysunęła przed siebie rękę i oznajmiła:

- Deszcz. Zaczyna padać deszcz.

- A tak.

Wtedy zrobiła coś wspaniałego - aż mnie zatkało: wyciągnęła z mojej kieszeni czerwoną dżokejkę i wsadziła mi ją na głowę.

- To ty już jej nie chcesz? - spytałem.

- Tymczasem ci ją pożyczam - odparła.

- Świetnie. Ale teraz pospiesz się, Phoebe. Stracisz rundę. Albo ktoś zajmie twojego konia. Phoebe jednak marudziła dalej. - Czy ty poważnie mówiłeś? Naprawdę już nigdzie nie uciekniesz? Naprawdę wrócisz dzisiaj do domu? - spytała.

- Tak - odparłem. Nie bujałem. Rzeczywiście wróciłem zaraz potem do domu. - Biegiem, Phoebe - dodałem. - Karuzela zaraz ruszy.

Puściła się pędem po bilet i w ostatniej chwili dopadła karuzeli. Znowu okrążyła ją, póki nie znalazła swojego starego konia. Wtedy dosiadła go. Machnęła do mnie ręką, a ja machnąłem jej nawzajem.

Rany boskie, ależ deszcz lunął. Jak z cebra, słowo daję. Wszyscy ojcowie, wszystkie matki, kto żyw uciekł pod daszek karuzeli, żeby nie przemoknąć do nitki, tylko ja zostałem jeszcze przez długą chwilę na ławce. Zmokłem cholernie, zwłaszcza nalało mi się za kołnierz i spodnie nasiąkły od razu deszczem. Dżokejka nieźle chroniła głowę, ale poza tym przemokłem na wylot. Nic sobie jednak z tego nie robiłem. Nagle poczułem się szalenie szczęśliwy patrząc, jak Phoebe krąży na karuzeli w kółko, w kółko. Jeśli mam być zupełnie szczery, przyznam się, że o mało nie krzyczałem ze szczęścia. Sam nie bardzo wiem, dlaczego. Po prostu chyba dlatego, że mała Phoebe wyglądała szalenie sympatycznie, kiedy tak kręciła się w kółko, w kółko w swoim niebieskim płaszczyku. Słowo daję, szkoda, żeście tego nie widzieli.

26.

To już wszystko, co chciałem opowiedzieć. Pewnie. mógłbym opowiedzieć jeszcze o tym, jak później poszedłem do domu, jak się rozchorowałem i tak dalej, a także w której szkole będę od jesieni, kiedy stąd wyjadę. Ale nie mam ochoty pisać więcej. Fakt. Na razie dalszy ciąg znacznie mniej mnie interesuje.

Wiele osób, a przede wszystkim psychoanalityk, który tutaj urzęduje, zanudza mnie pytaniami, czy będę się pilnie uczył, jak od września wrócę do szkoły. Głupie pytanie, moim zdaniem. Jakim cudem może człowiek wiedzieć, co zrobi, póki nie przyjdzie co do czego. Nie sposób z góry przewidzieć. Myślę, że będę się poważnie uczył, ale na pewno przecież tego nie wiem. Jak Boga kocham, głupie pytanie.

D.B. jest mniej nudny niż reszta towarzystwa, ale i on zadaje mi masę pytań. Zeszłej soboty przyjechał do mnie tutaj razem z tą Angielką, która ma grać w jego nowym filmie. Trochę nienaturalna, ale rzeczywiście bardzo ładna babka. No, więc kiedy ta ślicznotka poszła do toalety damskiej, która mieści się diabelnie daleko, w drugim skrzydle gmachu, D.B. spytał mnie, co myślę o tej całej historii, którą właśnie opisałem. Pojęcia nie miałem, co mu na to odpowiedzieć. Jeżeli chcecie znać całą prawdę, to wcale nie wiem, co o tym wszystkim myślę. Żałuję, że tylu ludziom tę historię opowiedziałem. Zwłaszcza dlatego, że - wiecie jak to jest - trochę jak gdybym tęsknił do każdej z osób, o których opowiedziałem. Nawet do takich, jak na przykład Stradlater i Ackley. Mam wrażenie, że nawet tego drania Maurice'a jakoś mi brak. Dziwna rzecz. Lepiej nigdy nikomu nic nie opowiadajcie. Bo jak opowiecie - zaczniecie tęsknić.